



Las nigdy nie wybacza...

# LAS

ZIELONA  
SOWA

SHARON GOSLING

# LAS

SHARON GOSLING

Przełożył: Mateusz Rulski-Bożek

ZIELONA  
SOWA

# Spis treści

Karta redakcyjna

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty  
Rozdział dziewiętnasty  
Rozdział dwudziesty  
Rozdział dwudziesty pierwszy  
Rozdział dwudziesty drugi  
Rozdział dwudziesty trzeci  
Rozdział dwudziesty czwarty  
Rozdział dwudziesty piąty  
Rozdział dwudziesty szósty  
Rozdział dwudziesty siódmy  
Rozdział dwudziesty ósmy  
Rozdział dwudziesty dziewiąty  
Rozdział trzydziesty  
Rozdział trzydziesty pierwszy  
Rozdział trzydziesty drugi

Załącznik I  
Załącznik II  
Załącznik III  
Załącznik IV

Podziękowania

Tytuł oryginału: FIR

Redaktor prowadzący: NATALIA GALUCHOWSKA

Korekta: AGNIESZKA LUBERADZKA

Skład i DTP: Studio 3 Kolory

Illustrations © Sharon Gosling, 2017

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o. Warszawa 2019

All rights reserved.

Wydanie I

ISBN 978-83-8154-289-0

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94

tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 51

e-mail: [wydawnictwo@zielonasowa.pl](mailto:wydawnictwo@zielonasowa.pl)

[www.zielonasowa.pl](http://www.zielonasowa.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Jeżeli obłęd ma kolor, to biały.  
Biel ciągnie się po widnokrąg,  
A potem dalej, obiega całą Ziemię,  
Dogania cię i klepie po ramieniu.

Aż trudno uwierzyć, jaki ogrom barw  
kryje biel. A jednak w niej są. Z czasem się je dostrzega.  
Oczy muszą przywyknąć.  
Poczekaj trochę,  
a zobaczysz. Wszystkie naraz i każdą z osobna.  
A my jesteśmy tu od bardzo, bardzo dawna.

## Rozdział pierwszy

– Nie jadę – powiedziałem.

– Nie bądź taki – odpowiedział ojciec. – Zobaczysz, to będzie dla nas dobre.

Nie widziałem tego. To, jakim cudem przeprowadzka w totalną dzicz miała być dla nas dobra, znajdowało się na samym początku listy tematów, które były dla mnie wtedy nieoczywiste. Powiedziałem to głośno i kilka razy powtórzyłem.

– Trudno, jeśli masz zamiar tak się zachowywać, to nie ma o czym gadać – odparł ojciec. – Porozmawiamy, kiedy ochłoniesz.

– A co ze szkołą? – wypaliłem.

– Będziesz się uczył w domu.

Z oburzenia aż chrząknąłem.

– Serio? To tam nawet szkoły nie ma? A co... – dodałem, bo nagle uderzyła mnie kolejna myśl – a co z Internetem? Będzie tam, prawda?

Ojciec nie odpowiedział. Nie było go już w pokoju.

Nie miałem pojęcia, dlaczego moi rodzice chcieli zrobić coś tak szalonego. Przez całe dwa miesiące przed naszym wyjazdem prawie w ogóle się do nich nie odzywałem. Rozmawianie i tak nie było moją mocną stroną, a oprócz tego byłem wściekły na tę całą głupią sytuację. Raz czy dwa mama próbowała zagadywać, ale szybko zdławiłem te próby. Ojciec zostawiał po całym domu książki o Szwecji Północnej i Norrbotten, pewnie w nadziei, że zainteresuję się tematem i którąś przeczytam. Nie zainteresowałem się. Nie przeczytałem. Byłem pewien,

że gdy tylko dotrzemy ma miejsce, rodzice zrozumieją, jak kolosalny zrobili błąd, i natychmiast wrócimy do Sztokholmu, tyle że wtedy już będziemy mieli przerąbane, bo przecież sprzedali nasz dom. A tego, który kupili, nigdy nawet nie zobaczyli. Taka to była właśnie chora akcja. Ot tak rzucili wszystko, żeby kupić dom, w którym nigdy nie byli, w dziurze, której nie widzieli na oczy, i tam zająć się biznesem, o którym nie mieli bladego pojęcia.

Serio, gdybym był choć odrobinę mniej wkurzony, to może zadałbym sobie pytanie „dlaczego?”, ale tego nie zrobiłem. A zresztą, oni też sami z siebie nie raczyli udzielić mi żadnych informacji. Kiedy tylko powiedziałem im jednoznacznie, że ten plan jest naprawdę głupi i że ciągną mnie tam wbrew mojej woli, wtedy oni postanowili przeczekać moją wściekłość, tak jakbym był głupim bachorem robiącym scenę o to, w której misce podadzą mu kluski z sosem. Ale mi przecież nie chodziło o miskę, tak? Chodziło o moje życie.

– Kto, u diabła, wyprowadza się tak daleko na północ? – spytała Poppy, kiedy następnego dnia szliśmy ze szkoły do domu.

– Jak widać, my.

– Totalna masakra – dodał Lars. – Ześwirujesz tam, w tym śniegu i ciemnościach. Świr pierwsza klasa – tyle z ciebie zostanie.

– Ale przecież mnie odwiedzicie, no nie? – spytałem. – Jakoś latem?

– Chyba żartujesz – odpowiedział Lars. – Żeby nas tubylcy pożarli?

– Albo upiekli jak kiełbaski na kiju? – dodała Poppy.

– Nie, dzięki – odezwali się jednocześnie.

Lars i Poppy to moi najlepsi kumple. Mam znikomy krąg znajomych.

Tak czy siak, w drugim tygodniu września przed naszą żółtą kamienicę zajechała ciężarówka, z której wysypali się faceci ubrani w schludne niebieskie koszule ze starannie wyhaftowanym logo i pasujące do reszty spodnie, i zaczęli ładować na pakę fragmenty naszego życia, czyli głównie skrzynki z ciuchami, sprzętem AGD i innymi pierdoletami. Większość naszych mebli miała trafić do magazynu, co według mnie dowodziło, że



mimo całej brawury rodzice nie byli tak bardzo pewni swojej decyzji, jak twierdzili. Kiedy faceci skończyli ładować ciężarówkę, wsiałem na tylne siedzenie naszego SUV-a i wbiłem wzrok w telefon, zastanawiając się, dlaczego Lars i Poppy nie raczyli się pojawić ani nawet wysłać pożegnalnego SMS-a, aż w końcu doszedłem do wniosku, że to świnie, a nie przyjaciele. Założyłem więc słuchawki i rozkręciłem na maksa Toolów, żeby utopić wszystko w muzyce.

Za szybko widziałem mamę i tatę. Stali na szczycie schodków naszej kamienicy. Obejmowali się, mama opierała głowę na ramieniu taty. Ostatnio często tak robiła, co, mówiąc szczerze, było zupełnie nie w jej stylu. Nie mówię, że to jakaś wyjątkowa twardzielka, ale też – że się tak wyrażę – żadna z niej kura domowa. Jest prawniczką. Pozywa i rozdeptuje w sądzie wielkie firmy – to jej codzienność. Gdybym miał ją opisać, na pewno nie użyłbym słowa „przytulaśna”. W końcu rodzice zamknęli drzwi do jedynego domu, w którym kiedykolwiek mieszkałem, zeszli po schodkach i wsiedli do samochodu.

Podążając za ciężarówką, opuściliśmy Sztokholm i ruszyliśmy na północ.

Jechaliśmy w górę mapy bardzo, bardzo długo.

Szybko się zorientowałem, że moi rodzice uznali, iż na koniec świata najlepiej jest jechać trasą tyleż malowniczą, co objazdową.

Myślałem, że będą mieli na tyle rozsądku, żeby zarezerwować nam jakiś nocleg w połowie drogi, ale najwyraźniej miałem zbyt wygórowane oczekiwania. Zatrzymywaliśmy się kilka razy na jedzenie i picie, i żeby rodzice mogli zmienić się za kółkiem. Poza tym jechaliśmy bez przerwy. Wciąż i bez końca. W tej niewiarygodnie nudnej podróży zaobserwowałem dwie rzeczy: po pierwsze moi przyjaciele nadal nie przysłali SMS-a, a po drugie rozmiary i gęstość drzew za oknami samochodu rosły w tempie wykładniczym, wprost przeciwnie do malejącej szerokości dróg. I, powiedzmy sobie szczerze, nie dodawało mi to otuchy.

Nie zgłosiłem moich spostrzeżeń dwojgu tak zwanym dorosłym

zajmujących przednie fotele. Oni trochę ze sobą rozmawiali, a trochę drzemali. Słuchali radia. Próbowali rozmawiać ze mną. Bezskutecznie.

Gdy zapadł zmrok, zasnąłem. Kiedy znów otworzyłem oczy, było już jasno i wciąż jechaliśmy. Rodzice musieli się zatrzymać, nie budząc mnie, bo teraz prowadziła mama, a nie ojciec. Bateria w moim telefonie zdechła na amen. Mogłem poprosić, żeby go podłączyli do ładowania, ale musiałbym się do nich odezwać, więc sobie darowałem. Ciężarówka od przeprowadzek wciąż turlała się przed nami. Drogę niezmiennie otaczał las poprzetykany gdzieniegdzie domami o czerwonych ścianach, które wyglądały znacznie radośniej, niż powinny w tych okolicznościach.

Spojrzałem na zegarek. Była dziewiąta rano.

I wciąż jechaliśmy.

W końcu ściana drzew zrobiła się tak gęsta, że wokół drogi zapadł mrok, a ja pomyślałem, że to zapowiedź tutejszej zimy. Noce stawały się już dłuższe, nawet w Sztokholmie. Ale tam, dokąd jechaliśmy, miało być jeszcze gorzej. W samym środku zimy słońce będzie ledwie wznosić się nad horyzontem. Spowije nas ciemność, tylko trochę mniej ciemna niż nocą. No i nie zapominajmy o śniegu. O całych miesiącach pod śniegiem i w ciemnościach – witajcie w nowym domu!

I wtedy, nareszcie, telepiąca się przed nami ciężarówka od przeprowadzek skręciła. Z całkiem rozsądnej drogi zjechaliśmy na zupełnie bezsensowną – kiedy pochyliłem się do przodu, żeby wyrzeć przez przednią szybę, zobaczyłem, jak gałęzie przydrożnych drzew smagają boki ciężarówki. Gdyby było jeszcze wężiej, moglibyśmy zbierać drewno na opał, nie wysiadając z samochodu. Czasami wydawało mi się, że mijane drzewa próbują opierać się o naszego SUV-a. Wszędzie tylko choinki. Chojaki i jeszcze więcej iglaków. A choinka – jeśli jeszcze się nie zorientowaliście – jest najnudniejszym drzewem na świecie.

Jechaliśmy tak jeszcze godzinę, po czym ciężarówka skręciła ponownie i minęła duży drewniany drogowy znak z wymalowanym napisem *Storaskogen*. I wtedy nagle przed nami po raz pierwszy zobaczyłem nasz nowy dom.

Był ogromny. Właściwie to nie był dom, ale dwór. Gmaszysko, w którym trzeba się nieźle wysilić, żeby policzyć okna na jednym piętrze. Zupełnie jakbym gapił się na zdjęcie z [visitsweden.com](http://visitsweden.com) czy z innego przewodnika.

Zakląłem. I to całkiem głośno.

– Nie wyrażaj się! – Mama skarciła mnie automatycznie, jak gdyby mój epitet nie był w tych okolicznościach całkowicie na miejscu.

– Ale tu są mieszkania, prawda? – zapytałem. – Chyba nie chcecie mi wcisnąć, że całość należy do nas?

Ojciec zachichotał.

– Muszę przyznać, że wygląda na większy niż na zdjęciach z agencji nieruchomości. Prawda, kochanie?

To było oczywiście do mamy, a nie do mnie. Bo, po pierwsze, mnie nigdy nie pokazali żadnych zdjęć, a po drugie – jeśli sami jeszcze nie załapaliście – słowo „kochanie” niespecjalnie do mnie pasowało.

Ciężarówka zatrzymała się przed głównym wejściem, czyli wielkimi czerwonymi drzwiami. Faceci wyskoczyli z kabiny i przeszli na tył wozu. Chyba im się śpieszyło. Przypuszczam, że chcieli wyjechać przed zmrokiem. Nie dziwię się im. Przeszło mi przez myśl, że gdybym wcisnął im trochę gotówki, pozwoliliby mi się schować na pace i zabrali ze sobą.

– Wygraliśmy na loterii, czy co? – spytałem, kiedy wszyscy gramoliliśmy się z samochodu. Byłem tak zeszywniały, że ledwie mogłem się wyprostować.

– Dawniej tak właśnie budowano domy na plantacjach – powiedziała mama, jak gdyby to wyjaśniało, skąd wzięliśmy szmalec na taką stodołę. Albo – skoro już o tym mowa – po co mielibyśmy ją kupować, nawet jeśli było nas stać?

Ruszyliśmy w stronę głównych drzwi za tatą, który wszedł do środka bez pukania. Przez chwilę wydało mi się to dziwne, ale potem przypomniałem sobie, że przecież ten dom należy do nas. A to było jeszcze dziwniejsze.

Ciekawe, od jak dawna stał niezamieszkały? We wnętrzu panowała cisza. Podłogę w wielkim holu wejściowym zrobiono z drewna, co nie było specjalnym zaskoczeniem, ale to, że była perfekcyjnie wypolerowana było pewną niespodzianką. No bo kto poleruje podłogę, po której nikt nigdy nie chodzi? Po lewej i prawej stronie znajdowały się drzwi i korytarze, a na wprost wejścia pięły się ogromne schody. W połowie wysokości rozdzielały się na dwa balkony górnego piętra, skąd prowadziły kolejne drzwi i korytarze.

A na środku staliśmy my – troje obcych ludzi w domu, który choć należał do nas, to jednak nie był nasz.

– Halo?! – zawołał ojciec po chwili. – Jest tu kto?!

Przysięgam, że w tej ciszy można by usłyszeć upadającą szpilkę. I wtedy coś faktycznie upadło, ale na zewnątrz – dobiegło nas głucho łupnięcie, jak gdyby jeden z gości od przeprowadzki nie zdołał utrzymać skrzynki. Miałem nadzieję, że to nie była skrzynka z moimi gratami, ale nawet się nie obejrzałem. Mama i ojciec też nie. Odniosłem wrażenie, że wszystkich nas pochłonęła cisza tego domu. Uczucie było takie, jakby ktoś napełnił mi uszy klejem.

– Halo? – ponownie zawołał ojciec, robiąc kolejny krok w głąb holu.

I wtedy z balkonu, objając się echem o ściany, uderzył nas wrzask. Mało się nie sfajdałem. Mama i ojciec też podskoczyli. Po pierwszym wrzasku rozległ się drugi, a po nich wariacki śmiech, jaki się słyszy, przechodząc obok drzwi pierwszej klasy po dzwonku na przerwę śniadaniową. Jedne z drzwi na balkonie się otworzyły i wypadła z nich grupka dzieciaków. Było ich pięcioro, a właściwie pięć – samych dziewczynek. Wszystkie w wieku mniej więcej dziesięciu lat.

– Hej! – krzyknął ojciec, przebijając się przez piskliwe wrzaski spadające na nas po schodach jak bomby rurowe.

Dziewczynki zatrzymały się u szczytu schodów. To był obrazek jak wyjęty z kreskówki: pierwsza stanęła jak wryta, a pozostałe wpadły na nią jak kaczuszki ślizgające się po zamrzniętym stawie i gapiły się na nas z rozdziawionymi buziami. Plus był taki, że przestały się drzeć, więc

wiecie: mizerna, licha, ale jednak ulga.

Otwarcie kolejnych drzwi nie towarzyszył wybuch potężnego wrzasku, pojawił się za to rozczochrany kędzierzawy okularnik w wieku dwudziestu kilku lat, z marsem na czole.

– Dziewczeta – powiedział tonem, z którego było wiadomo, że powtarzał to już milion razy i spodziewa się kolejnego miliona. – Co wam mówiłem o hałasie? – I wtedy spojrzął ponad balustradą balkonu i nas zobaczył. – Aha! – wykrzyknął, jakbyśmy byli jego dawno zaginioną rodziną. – To na pewno państwo Strombergowie! Witamy!

– Dzień dobry – odezwali się rodzice jednym głosem. Ja nic nie powiedziałem, ponieważ mój mózg wciąż upierał się przy wersji, że to wszystko jest jakimś dziwnym snem.

– To Strombergowie, rodzina, która kupiła las. – Facet zwrócił się do dziewczynek. – Jestem Tomas – dodał, jak sędzę, zwracając się do nas. – Kończę raport. Zapiszę go tylko i już schodzę. Momencik, dobrze?

– Jasne. – Ojciec kiwnął głową.

Tomas wrócił do pokoju i po sekundzie znów się pojawił.

– Hej! – zawołał. – Mówili wam o dzieciach, prawda?

Mama i ojciec się roześmiali, po raz kolejny uznając ten mega fuckup za sytuację całkowicie normalną.

– Tak, tak – odpowiedziała mama z uśmiechem. Uświadomiłem sobie, że od dawna nie widziałem jej szczerze uśmiechniętej. – Mówili nam o dzieciach.

Ale mnie nikt o nich nie wspomniał.

## Rozdział drugi

Godzinę później wszyscy siedzieliśmy przy dobrze rozpalonym ogniu w dawnej sali balowej albo czymś w tym rodzaju. Teraz była ona niemal pusta, nie licząc długiego drewnianego stołu ustawionego na środku i trzech okazałych sof ze skóry tworzących półkole, stojących przy masywnym kamiennym kominku pod jedną ze ścian szczytowych.

Okazało się, że dziewczynki, które widzieliśmy, to zaledwie część większej grupy dzieci obecnych w rezydencji. Teraz siedziały przy długim stole, jedząc kolację, częstując się z – nomen omen – szwedzkiego stołu ustawionego pod ścianą. Powiedziałem, że jadły kolację, ale równie dobrze mogły pracować nad rozpętanem trzeciej wojny światowej. Jakim cudem dwudziestka dzieciaków może robić tyle hałasu? Ani moi rodzice, ani Tomas zdawali tego nie zauważać. My też nałożyliśmy sobie kolację i przenieśliśmy się na sofy, gdzie mama i ojciec umościli się jak na swoim, mimo że nasz nowy dom był już przecież zamieszkały.

– Kiedy w agencji nieruchomości opowiedzieli nam o waszym programie, uznaliśmy, że to wspaniały pomysł – powiedziała mama, siedząc ze stopami wetkniętymi pod poduchę sofy, tak jak w domu. – Od jak dawna go prowadzicie?

„Jaki program? – spytałem w myślach. – Czy ktoś może mi wyjaśnić, co tu się, u diabła, dzieje?” Nie zamierzałem powtarzać tego głośno, bo nadal nie rozmawiałem z rodzicami.

– To będzie mój piąty rok – odpowiedział Tomas. – I z przyjemnością dodam, że nieźle nam idzie. Pochodzę z tego regionu, ale to ważne, żeby moimi tutejszymi działaniami zainteresowały się dzieciaki z dalszych zakątków kraju. – Z wyrazem gorliwości na twarzy pochylił się do przodu,

oparł łokcie na kolanach i zaplótł dłonie. – Może za wcześnie, by o to pytać, ale może myśleli już państwo o tym, czy będziemy mogli nadal korzystać z waszej plantacji? Byłoby wspaniale, gdyby program mógł trwać.

Poprawiłem się na sofie. Serio, o co im chodziło? Jaki znów program?

– Już o tym rozmawialiśmy i bardzo byśmy chcieli, żebyście go kontynuowali – powiedziała mama, a ojciec kiwnął głową.

– Mówiąc szczerze, prawdopodobnie przydadzą nam się pieniądze, które zarabia, przynajmniej na początku.

– Fantastycznie! – rzekł Tomas z niepokojąco szerokim uśmiechem. – W tych czasach bardzo niewiele jest miejsc otwartych na prowadzenie kursów z ochrony przyrody. Większe plantacje nie chcą o nich słyszeć ze względu na obostrzenia prawne dotyczące obecności na plantacji osób niezatrudnionych.

Ochrona przyrody. Więc o to chodziło. Tomas miał hopla na punkcie roślin, a jego życiowym celem było zaszczepienie szlachetnej sztuki przytulania drzew w następnych pokoleniach. Biorąc pod uwagę, że Szwecja jest pokryta lasami zaledwie w siedemdziesięciu procentach, dość oczywiste jest, że krzewienie akurat tej działalności nie idzie nam za dobrze. Pozostałe trzydzieści procent kraju mogłoby się tej szlachetnej sztuki nauczyć, póki nie jest za późno.

– To wspaniale, że będziecie kultywować tę rodzinną tradycję. Storaskogen ma fascynującą historię – ciągnął Tomas. – Zawsze sądziłem, że ktoś powinien napisać o niej książkę. W latach czterdziestych wyrąb nie przynosił wystarczających zysków. Plantacja prawie upadła, mało nie wchłonęły jej większe. A jednak wyszła z kryzysu i odtąd kwitnie, co jest niezwykle przy tak małej powierzchni upraw. Jestem pewien, że poznanie jej przyniesie wam dużo radości. Przykro mi tylko, że jeszcze przez kilka dni będziecie musieli dzielić dom z tymi łobuzami – dodał, obrzucając spojrzeniem wirujący chaos, który właśnie pożerał szwedzki stół.

Mama odpowiedziała uśmiechem, ale był on krzywy, jak gdyby ktoś

przypiął zszywaczem jeden koniec jej górnej wargi do zębów.

– To miło – powiedziała. – To znaczy miło, że będą tu dzieci.

Ojciec wyciągnął rękę i ścisnął dłoń mamy, gdy drzwi na drugim końcu sali się otworzyły i do środka na chwiejnych nogach weszła stara kobieta z pustą tacą. Spojrzała na nas tak, jakbyśmy cuchnęli gotowaną kapustą, po czym ruszyła wprost do stołu dziecięcego i zaczęła zbierać talerze. Wyglądała na jakieś pięćdziesiąt lat, ale poruszała się zbyt szybko. Dreptała dziwnie, na palcach, małymi kroczkami, jakby zaraz miała zerwać się do biegu, ale wiedziała, że jej nie wypada.

– Ach, to na pewno Dorotea, prawda? – spytał tata pogodnie.

– Gospodyni, tak. – Tomas kiwnął głową.

– Pani Doroteo – zawołał ojciec, wstając, żeby do niej podejść. – Nie mieliśmy jeszcze okazji się poznać. Może na chwilę zostawi pani obowiązki? Proszę się do nas przyłączyć. Napijemy się razem, a potem pomożemy pani sprzątać ze stołu.

Stara nie odpowiedziała ani słowem. Odwrócona plecami do nas, piętrzyła na tacy brudne talerze.

– Pani Doroteo? – powtórzył ojciec, ale tym razem głośniej. Chyba doszedł do wniosku, że jest głucha, co w tych okolicznościach miało sporo sensu. Ale starucha miała świetny słuch, bo wtedy właśnie odwróciła się i wbiła w niego wzrok.

– Dzień dobry – ponownie odezwał się ojciec z odrobiną niepewności.  
– Zapraszamy do nas, napijmy się. Chcielibyśmy się przywitać jak należy.

Gospodyni obrzuciła spojrzeniem naszą trójkę spoczywającą na sofie. Wrażenie było podobne, jak wtedy, kiedy wydaje nam się, że wiszący na ścianie obraz z czyjąś podobizną wodzi za nami wzrokiem. Potem odwróciła się na pięcie i zniknęła za drzwiami, które zamknęły się z trzaskiem. Tata wrócił na sofę ze zbolalym wyrazem twarzy.

– Nie przejmujcie się nią – pocieszył Tomas. – Staruszka jest dziwaczna, ale nikt nie zna tego domu lepiej od niej. Pracuje tu już kilkadziesiąt lat. Ma swoje nawyki, ale i do was się przyzwyczai.



Ojciec się uśmiechnął i rozsiadł na sofie.

– Będę musiał zdobyć ją swoim czarem. Słynę z niego, prawda, kochanie?

To było znów do mamy, a nie do mnie – wyjaśniam na wypadek, gdybyście jeszcze sami nie skumali.

– W przyszłości będziemy pewnie wracać do Sztokholmu po sezonie, ale w tym roku zostajemy na zimę – ciągnął ojciec. – Głównie dlatego, że potrzebuję przejrzeć książki rachunkowe i pomyśleć, jak ponownie uruchomić działalność. Trzeba odnowić umowy z tartakami. Z mapy wynika, że duży pas lasu w północnej części naszego terenu nie jest zagospodarowany. Chcę go wyciąć w przyszłym sezonie.

Twarz Tomasa skamieniała. Wbił oczy w tatę.

– Pan chyba żartuje – powiedział.

– Słucham? – spytał tata.

– Obszar, o którym mowa, to las pierwotny.

Tata wzruszył ramionami.

– No fakt, rośnie tam chyba od dawna.

– „Od dawna”? – powtórzył Tomasz z parsknięciem, które nie miało nic wspólnego ze śmiechem. – Raczej od tysięcy lat.

Zorientowałem się, że był rozdrażniony. Ba, wściekły. Wyprostowałem się na sofie. Nagle zrobiło się znacznie ciekawiej.

– Rozeznałem się w sytuacji – odpowiedział ojciec, nieświadomy, po jak grząskim stąpa gruncie. – Z biznesowego punktu widzenia znacznie więcej sensu ma wycięcie tego pasa i zastąpienie go uprawami leśnymi.

– No cóż – wycedził Tomasz. – Przypuszczam, że tak, jeśli jest się kompletnym troglodytą bez pojęcia o szerszej odpowiedzialności ekologicznej.

Ojciec otworzył usta, ale z początku nie powiedział ani słowa. Wybałuszył za to oczy w zdumieniu i wydukał:

– Zaraz, zaraz. Chwileczkę...

– Czy pan widział to, co planuje wyciąć? Zresztą nie musi pan nic mówić, bo znam odpowiedź. Oczywiście, że pan nie widział. A nawet gdyby pan zobaczył, to nie zrozumiałby pan, na co patrzy.

– Tomasiu... – odezwała się mama łagodnym tonem, ale tata wszedł jej w słowo, zanim zdążyła cokolwiek dodać.

– Jestem pewien, że nie muszę oglądać kolejnego hektara czy dwóch hektarów choinek, żeby się zorientować, z czym mam do czynienia, choćby nie wiem, jak stare drzewa tam rosły. Dlaczego ekolodzy zakładają, że wszyscy inni są kompletnymi idiotami?

– No więc, po pierwsze: to nie są żadne choinki – warknął Tomas wściekle. – Gdyby naprawdę sumiennie rozeznał się pan w sytuacji, to by pan to wiedział.

– Oczywiście, że wiem – tata parsknął śmiechem. – Mamy tu jodłę zwyczajną i świerk pospolity. Tak tylko powiedziałem, ogólnie. Wszystkie iglaki wyglądają tak samo. Większość ludzi nie zdołałaby ich rozróżnić, więc nie ma znaczenia, jak je nazwę. No chyba że mamy się licytować na to, który z nas jest bardziej nadętym bucem.

– To nie jest bez znaczenia – syknął Tomas – kiedy osoba, która powinna zaopiekować się tym obszarem, nie umie rozróżnić gatunków, a co gorsza – ma to w nosie.

– Drzewo to drzewo – wypalił ojciec. – A to wszystko są drzewa i wszystkie rosną na mojej ziemi, która, jak sam pan zaznaczył, od dziesięcioleci produkuje drewno na sprzedaż.

– Proszę wybaczyć – przerwał Tomas. – Muszę zająć się dziećmi. – Po czym wstał i przeszedł do stołu dziecięcego, odwracając się do nas plecami.

Byłem pod wrażeniem. Zwykle ojciec potrzebuje więcej czasu, żeby kogoś tak zjeżyć. Ja też wstałem.

– No dobra – odezwałem się. – Więcej emocji już dziś nie zniosę. Idę się położyć. Postaraj się nie wkurzyć innych lokalsów, tato, dobra? Prawdopodobnie wszyscy mają tu widły albo inne miotacze ognia.

Zostawiłem ich i znów poszedłem na górę, do mojego pokoju. Wcześniej byłem w nim może pięć minut – przywlokłem się za facetami od przeprowadzki, taszcząc moją skrzynkę. Mama już wcześniej zdecydowała, gdzie mam spać.

– To tylko na początek – powiedziała. – Jeśli zechcesz, będziesz mógł się potem przenieść.

Jak na te okoliczności, pokój nie był zły. Miał swój rozmiar – jakżeby inaczej: wszystko w tym pokręconym domu było duże – i znajdował się w tylnej części budynku. W kształcie i wystroju był dość kwadratowy i staromodny. Ale niby czego miałem się spodziewać? Na wielkim łożu piętrzyły się kołdry i koce, a na środku wypolerowanej podłogi stała moja skrzynka. Była niebieska. Na drewnianym oceanie podłogi wyglądała jak zabłąkana arka Noego.

Podszedłem do okna. Na zewnątrz było ciemno, opasły księżyc wisiał na nocnym niebie w towarzystwie wątych gwiazd. Las otaczał dom, zaczynał się o kilka metrów od jego tylnej ściany. Na moje oko drzewa wyglądały na choinki, co by tam nie mówił Tomas. Wszystkie były trójkątne, jak bożonarodzeniowe drzewko, ale żeby zmieścić jedną z nich w kącie salonu, trzeba by mieć naprawdę ogromny dom. Na przykład taki jak ten. Wciąż nie docierało do mnie, że teraz mamy w nim zamieszkać. Że to będzie *nasz* dom. W Sztokholmie też nie gnieździliśmy się w klitce, ale tu to była zupełnie inna para kaloszy. Nie wiedziałem, czy mi się podoba, i to nie tylko dlatego, że byłem wściekły na rodziców za zrujnowanie mi życia. Był za wielki, zbyt dziwaczny. Nie wydawał się... normalny.

Przez chwilę gapilem się na drzewa. Były potężne i rosły gęsto. Wrzecionowate wierzchołki kołysały się na lekkim wietrze, ale poniżej drzewa stanowiły jedną gęstą, czarną masę. Dochodził mnie też jakiś odgłos. Z początku myślałem, że to wiatr, ale ten dźwięk był ostrzejszy: jak wysoka nuta wznosząca się poprzez gęstwinię i przesywająca niebo. Wydawała się nigdy nie kończyć – już nie gwizd, ale jeszcze nie piosenka. Unosiła się ku gwiazdom i nagle opadała niżej i niżej, by za chwilę znów

wzlecieć ku wysokiemu c.

Nagle drzewa przestały się poruszać. Wszystkie naraz.

Po prostu... znieruchomiały.

Na pewno dlatego, że wiatr ucichł, ale i tak skóra mi ścierpła. I wtedy zdałem sobie sprawę, że wciąż słyhać tę nutę: wznosiła się i opadała. A więc zdecydowanie nie wydawał jej wiatr. W końcu ona też ustała. Za oknem panowały już tylko cisza i ciemność. Pustka. Nicość. Po sekundzie choinki znów zaczęły się poruszać tak, jakby nigdy nie znieruchomiały.

Zaciągnąłem zasłony i odwróciłem się plecami do okna, a potem poszedłem do łóżka i – w opakowaniu – dałem nura w pościel. Naciągnąłem kołdrę na głowę i wyjąłem z kieszeni komórkę.

Zero zasięgu. Ani jednej kreski.

Ta pieśń rozbrzmiewa wśród drzew.

Jak wściekły szept  
o morderstwie.

„Już czas”, mówią.

„Pamiętacie?

Czy pamiętacie, co trzeba zrobić?

Pamiętacie, co nam się należy?”

## Rozdział trzeci

Następnego ranka obudził mnie śmiech. Ale nie jeden z tych przyjemnych, beztroskich i perlistych. Był to histeryczny rechot wydawany przez jakieś monstrum z horroru, które należałoby jak najszybciej dobić. Przewalił się za moimi drzwiami wraz z opętańczym tupotem biegnących stóp, do taktu – zdawałoby się – wybijanego przez perkusistę bez poczucia rytmu. Byłem już absolutnie przekonany, że zaraz pożą mnie zombie, gdy z korytarza dobiegł poirytowany krzyk mężczyzny. Piekielny harmider ścichł do szorstkiego szeptu i wtedy przypomniałem sobie o dzieciach. I o wszystkim innym. Gdybym nie umierał z głodu, naciągnąłbym kołdrę na głowę i spał dalej. Ale jednak zwlokłem się z łóżka. Powiedzmy, że ten ruch nie poprawił mi samopoczucia.

Na ścianie pokoju wisiało lustro – wielkie, prostokątne, mniej więcej mojej wysokości. Było wiekowe. Ramę – wcześniej chyba złoconą – miało teraz wytartą i matową jak stara moneta. Tafla szkła usiana była takimi dziwnymi plamami, które pojawiają się z biegiem lat. Może kiedyś lustro miało wartość sentymentalną i dlatego nie wylądowało na śmietniku, bo do przeglądania się było bezużyteczne. Zresztą było mi wszystko jedno. I tak rzadko korzystałem z lustra, a jeśli już mi się zdarzało, to zawsze potem tego żałowałem. Przeszło mi przez myśl, żeby się przebrać, ale dałem sobie spokój. I tak nikt by nie zauważył. Wszystkie moje ciuchy były czarne albo szare, albo dawniej czarne, a teraz poszarzałe. Zresztą nawet gdybym nie miał tego w poważaniu, to w tej dziczy nie było dla kogo się stroić.

Wielki stół na dole obleżony był przez tę samą dziecięcą masę, gadającą jedno przez drugie i opychającą paszcze jedzeniem. Tym razem nie było szwedzkiego stołu, a ja zatrzymałem się na chwilę w drzwiach, zastanawiając się, czy faktyczni właściciele tego domu też mieli jakąś szansę zjeść śniadanie. I właśnie gdy zaświtało mi w głowie, że nie wiem, gdzie jest kuchnia, a wyruszając na jej poszukiwanie, mogę zgubić się na amen, pojawiła się Dorotea. Swoim dziwnym chodem wypadła z drzwi po drugiej stronie sali. Miała na sobie starą suknię koloru zielonego groszku, płaskie buty, które dawniej mogły być brązowe, ale teraz wytarły się do matowej bieli, brązowy rozpinany sweter i fartuch. Fartuch ozdobiły wielkie wiśniowoczerwone kwiaty (chyba złocienia krzewiastego). Aż ciarki mnie przeszły. To tak, jakby Cruella de Mon związała sobie włosy w kucyki różową nakrapianą wstążką.

– Pewnie będziesz chciał śniadanie – mruknęła, mijając mnie, po czym wykonała nagły ruch głową, chyba na znak, że mam pójść za nią.

W oazie spokoju za następnymi drzwiami, które otworzyła, byli już moi rodzice. Siedzieli przy małym stole nakrytym białym obrusem. Przez chwilę miałem podobne uczucie, jak poprzedniego wieczoru w moim pokoju: nie jesteśmy domu, który należy do nas, ale w hotelu. Wszystko tu wydawało się lekko kopnięte. Gdy tak stałem jak głupek, rodzice podnieśli na mnie wzrok. Czuli się chyba tak samo niezręcznie jak ja.

Ruchem głowy stara wskazała stół. Było na nim jedno wolne nakrycie.

– Doroteo – odezwał się ojciec, kiedy usiadłem. – Naprawdę nie musi pani codziennie przygotowywać nam śniadania. Chętnie sami je sobie zrobimy.

Odpowiedziała mu nieznacznym wzruszeniem ramion, ale się nie odezwała. Wybyła przez jeszcze inne drzwi, by po kilku minutach pojawić się z talerzem parujących bułek, sera i szynki, który ciepnęła na stół przede mną. Ojciec – swoim strusim zwyczajem – wydawał się nie dostrzegać wrogości, którą stara promieniowała jak Czarnobyl, i ciągnął dalej wymuszenie pogodnym tonem, przez co brzmiał totalnie jak protekcjonalny idiota.

– Zastanawialiśmy się, Doroteo, czy mogłaby pani udzielić nam informacji o historii tego domu? Przecież jest tu pani gospodynią od tak dawna, że...

Dorotea odwróciła się plecami i odeszła. Gdy była w połowie drogi do drzwi, dobiegło nas jej mamrotanie:

– Bułki z piekarnika muszę wyjąć.

Moje bułki były zdecydowanie świeże, wciąż gorące, co wskazywało na to, że w piekarniku nie ma już nic do wyjęcia, ale nie podzieliłem się tą myślą z ojcem. Wyglądał na zbitego z tropu. Zrobiło mi się go żal. Okej, czasami potrafi być idiotą, ale trzeba mu oddać, że najczęściej ma dobre intencje.

– A wiesz, że tu są prysznice? – odezwała się mama, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Dziękuję, świetnie, a wam jak się spało? – odpowiedziałem.

– Myślę, że codzienny prysznic poprawiłby ci nastrój o poranku – odcięła się.

– To niby mnie trzeba poprawiać nastrój?

Znów pojawiła się Dorotea, tym razem niosąc dzbanek z kawą, którym rąbnęła o stół z takim impetem, że aż się zdziwiłem, że się nie rozbił. Potem znów wyszła do kuchni swoim dziwnym, wolno-szybkim ślizgiem.

– Co ona tu w ogóle robi? – spytałem.

– Mieszka – powiedział ojciec. Wielkie dzięki za wyjaśnienie, bo przecież gdyby mi tego nie powiedział, to tkwiłbym w przekonaniu, że stara co rano teleportuje się do tego domu skądinąd. – Ma pokój na poddaszu.

– Ale dlaczego? Przecież kupiliśmy dom, a nie ją, tak? Nie możemy jej zwolnić albo coś? Przyprawia mnie o ciarki.

Musiałem jednak przyznać, że jej bułki były całkiem niezłe.

– Dorotea mieszka w Storaskogen przez większość swojego życia. – Mama zabrzmiała jakby była zirytowana. Tak też wyglądała. – Nie została jej żadna rodzina. To stara kobieta, która nie ma gdzie się podziać. Nie



możemy jej wyrzucić. A ja nie mogę uwierzyć, że w ogóle coś takiego sugerujesz.

– Dobrze już, dobrze.

– Może tu pracować tak długo, jak zechce – ciągnęła mama.

Dostrzegłem, jak tata rzuca jej spojrzenie, którego uniknęła, i pomyślałem, że odbyli już awanturę na ten temat. Prawdopodobnie zawarli jeden z tych dziwacznych dorosłych kompromisów, w którym ojciec postawił na swoim w kwestii „przenieśmy się w totalną dzicz i zniszczmy sobie życie”, a matka zgodziła się „tylko pod warunkiem, że zatrzymamy starą, chamską, przerażającą raszplę”. Win-win.

– Albo tak długo, na ile starczy jej sił – dodała mama. – A potem coś wymyślimy. Ale nie zamierzam wyrzucać jej z domu. Jak można coś takiego zrobić?

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, ale ojciec najwyraźniej uznał to pytanie za retoryczne i wszedł mi w słowo.

– Przez większą część dnia Tomas i dzieci będą poza domem – powiedział. – Chciałbym, żebyś mi pomógł w inwentaryzacji. Zaczniemy od budynków gospodarczych.

Westchnąłem.

– W inwentaryzacji? Serio? Muszę? A mama nie może ci pomóc?

– Mama jest zmęczona po wczorajszej podróży. Musi odpocząć. Zresztą i tak chce zrobić inwentaryzację w domu. Prawda, kochanie?

Mama kiwnęła głową. Faktycznie była dość blada i wyglądała na skonaną, ale helo! – chyba wszyscy byliśmy zmęczeni!

– Skąd ten pośpiech? – zapytałem. – Przecież będziemy tu całe wieki. Nie możemy najpierw odetchnąć?

Na czole ojca, między brwiami, pojawiła się znana mi bruzda.

– Myślałem, że będziesz chciał lepiej poznać nasz nowy dom i jego otoczenie.

– Nie bardzo. Jeśli interesuje cię, czego bym chciał, to śpieszę donieść, że dostępu do Internetu.

Ojciec westchnął.

– Czy z tobą zawsze musi być tak trudno?

– To niby ze mną jest trudno? Jestem „trudny” dlatego, że potrzebuję kontaktu ze światem?

– Mógłbyś się odrobinę postarać...

– Niby czemu? To wy mnie tu przywlekliście. Nie miałem wyboru. Dlaczego to *ja* mam się starać?

Ojciec nie odpowiedział. Nie dlatego, że uznał wyższość mojego argumentu, tylko dlatego że zmęczyła go już ta pyskówka.

Nie słuchałem ich dalszej rozmowy przy śniadaniu. Pochłaniałem to, co podano, zastanawiając się, co w tej chwili robią Lars i Poppy. Bezustannie sprawdzałem też telefon, na wypadek gdyby jakimś cudem wytworzył zasięg sam z siebie, ale oczywiście nic takiego nie zaszło.

Wyszedłem z naszej małej jadalni w chwili gdy dzieciaki ubierały się do wyjścia na poranne zajęcia. Kłębiły się wszystkie w holu wejściowym, robiąc tyle hałasu, że prawie czułem, jak podłoga wibruje mi pod nogami. Kiedy kombinowałem, jak dotrzeć do schodów, tak by nie przedzierać się przez gąszcz młócających jak cepy rąk i nóg, na środek ludzkiej kipieli wypłynął Tomas i uniósł ramiona. Wizg nawałnicy z lekka przycichł.

– Dobrze! – krzyknął. – Wychodzimy!

Wybywająca z domu ekspedycja przypominała jakąś wariacką, nakreconą operację wojskową w skali jeden do trzech. Na wywrzeszczane przez wychowawcę polecenie ubrane w jaskrawoczerwone kurtki i wyposażone w suchy prowiant dzieciaki ustawiły się w dwuszeregu. Potem Tomas wyprowadził je jak kolumnę wojska na zewnątrz przez dwuskrzydłowe drzwi i dalej w stronę ściany lasu.

Oczywiście, w końcu jednak pomogłem ojcu. Ma dar wpędzania w poczucie w winy, który działa na ludzi tak skutecznie, że zwykle przystają na jego plany, czy tego chcą, czy nie. Swoją drogą być może właśnie z tego powodu wylądowaliśmy w Storaskogen. Gdybym nie był wściekły na mamę, że do tego dopuściła, to pewnie bym ją o to zapytał.

Tak czy siak, alternatywą dla pomocy ojcu w inwentaryzacji była utrapiona nauka w domu, o której wspomniał przed wyjazdem ze Sztokholmu. Rodzice ułożyli złowrózby stos podręczników do algebry w strategicznym miejscu na jednym ze stołów w holu. Gdy je dostrzegłem, inwentaryzacja nagle wydała się nie najgorszą opcją.

W pobliżu domu stały trzy budynki gospodarcze: wielka blaszana stodoła wyglądająca na dość nową oraz dwie mniejsze szopy z drewna, które mogły tu stać od stu lat, bo wyglądały na mocno leciwe. Nową stodołę wybudowano pomiędzy dwiema starszymi, tak że wszystkie stały w rzędzie, vis-a-vis bocznej ściany domu, a zaraz za nimi zaczynał się wszechobecny las. Pomędzy domem a budynkami gospodarczymi wysypano żwirowy podjazd o takiej samej szerokości jak droga prowadząca do domu przez plantację.

Ojciec skierował kroki do nowej stodoły. Powlokłem się za nim, zachodząc w głowę, jak u licha moje życie przybrało taki obrót. Dzień był ponury, a ciężka opona chmur wisiała tak nisko nad głowami, że wierzchołki drzew zdawały się ją podpierać. Jeśli tam wyżej było jakieś słońce, to jego wygląd z dołu odzwierciedlał moją chęć, żeby wrócić do wyra i odłożyć wstawanie i życie na inny dzień.

– No dobra – zaczął ojciec, gdy stanęliśmy u wrót stodoły. Rzucił mi podkładkę z kartkami. – Trzymaj i bierzmy się do roboty.

Zdjął kłódkę i odciągnął ciężkie wrota. Stałem twarzą w twarz z mrokiem, który panował we wnętrzu.

– No, no... – wyrwało mi się mimowolnie.

Ojciec stanął obok mnie z rękami na biodrach. Pokiwał głową.

– Niezły park maszynowy.

Tym razem miał rację. W stodole stały ogromne maszyny, na widok których entuzjaści mechanizacji w domu i w zagrodzie popuściliby w spodnie. Weszliśmy do środka i zaczęliśmy się rozglądać. Wszystkie urządzenia bez wątpienia służyły do ścinania drzew, odzierania pni z kory, cięcia ich na plastry i mniejsze kłody tak wydajnie, jak tylko się da. Największa machina miała sześć gąsienicowych kół i ramię z piekielnym

chwytakiem, który najwyraźniej można było odczepić, bo wokół maszyny stały inne przystawki – jedne wyglądały jak szczypcy wielgachnego skorpiona, inne straszyły ogromniastymi piłami tarczowymi. Było tam też coś na kształt przenośnego taśmociągu na kółkach i dwie przyczepy z klatką.

Tak, tak, wiem, co sobie myślicie. Serio, naprawdę wiem – ma się ten łeb na karku. Tak sobie czytacie i myślicie: „Kurde, co za tępak. Przecież jesteście na plantacji leśnej. To chyba oczywiste, że będzie tam ciężki sprzęt do wycinki drzew. A ten tu pisze, że jest zaskoczony. Co za matoł!” I ja to kumam, ja to ogarniam. Serio.

Ale sęk w tym, że to nie sama obecność sprzętu mnie zdziwiła, ale jego stan. Maszyny były nieużywane. Jeden z pojazdów przejechał najwyżej kilka kilometrów – na co wskazywał brud na oponach – ale to wszystko. Reszta była nowiuteńka, jak w salonie u dealera. Na przykład ten wielki harwester. Wszystkie wajchy w jego kokpicie były wciąż owinięte folią. Przednią szybę też miał zafoliowaną, jak nowa komórka. W stodole stały błyszczące maszyny warte setki tysięcy, przed chwilą zdjęte z taśmy produkcyjnej. I żadna z nich nie przepracowała ani minuty.

Otóż to. I co, opadły wam kopary?

– Skąd się to wszystko wzięło? – spytałem ojca sprawdzającego właśnie jedną z pił łańcuchowych. – Kupiłeś cały ten kram przed naszym przyjazdem?

– Kupił go poprzedni właściciel, a potem postanowił sprzedać plantację. Większości nigdy nie użył. Zaczął wyrąb i zaraz mu się odwidziało – odpowiedział ojciec. – Dla nas to gratka, bo cały sprzęt kupiłem za ułamek oryginalnej ceny.

Zmarszczyłem brwi.

– A czemu tak szybko mu się odwidziało?

Ojciec wzruszył ramionami.

– Wydaje mi się, że planował wyciąć cały stary las, żeby odnowić rezerwę drewna. Może się zorientował, że będzie z tym więcej roboty, niż

wcześniej zakładał i stwierdził, że jednak nie jest w stanie poświęcić na to tyle czasu, ile trzeba. Niestety przed kilku laty jego żona zmarła na raka, więc musiał sam wychowywać syna. Gdyby tu zostali, nawet nie prowadząc wycinki, byłoby im zbyt ciężko. A facet jest chyba dopiero po trzydziestce. Tak czy inaczej, sprzedał wszystko, zabrał syna i wyjechali.

Przyjrzałem się zębom jednej z pił tarczowych. Matka wścieka się na mnie, kiedy kupię sobie paczkę płatków i ich nie dojem, a tutaj typ rozpuszcza setki tysięcy na nowiuteńki sprzęt, którego używa przez pięć minut, po czym zmienia zdanie.

Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

## Rozdział czwarty

Pomagałem ojcu przez kilka godzin, odhaczając nazwy sprzętu na jego liście, a on myszkował w stodole, wykrzykując dziwaczne nazwy w stylu „Rottne H8!”. Pod koniec manewrów wydawał się uszczęśliwiony, a ja odhaczyłem wszystkie pozycje na liście, czyli chyba poprzedni właściciel nie zrobił ojcu numeru, wyjeżdżając i nie zakosił mu swojej dawnej ukochanej piły.

Skończyliśmy około południa. Gdy wróciliśmy do domu, ojciec poszedł szukać mamy. Doszedłem do wniosku, że pałętanie się w zasięgu jego wzroku to kiepski pomysł, bo mógłby zapędzić mnie do ślęczenia nad algebrą. Ale w jednej kwestii miał rację: faktycznie miałem ochotę lepiej poznać nowy dom. Na razie widziałem tylko jego centralną część, dużą salę pełniącą rolę jadalni dla dzieciaków, naszą jadalnię oraz mój własny pokój i łazienkę. Konieczna była dalsza eksploracja.

Ojciec wszedł po schodach, po czym wniosłem, że mama pewnie robi inspekcję pokoiów na piętrze. A więc ja powinienem zacząć od zwiedzania parteru, bo tam najdłużej zdołam uniknąć kontaktu z nimi. Skierowałem się do korytarza odchodzącego na lewo od głównych schodów. Nie był szczególnie szeroki, ale po obu stronach miał wiele drzwi.

Wszystkie były zamknięte, ale nie na klucz. Pierwszy pokój, do którego zajrzałem, był małą, wąską kiszka, wyposażoną tylko w wielgaśny kredens i stół bez zastawy. Wszedłem do środka i otworzyłem drzwi kredensu. Była w nim cała masa bielizny, chyba obrusów. Nic poza tym. Wszystkie złożone w kancik, jak gdyby ktoś sprawdzał z linijką i poprawiał niedoskonałości, póki wszystko nie było idealnie. Wyobraźcie

sobie – cały pokój czyściutkich, wykrochmalonych obrusów. Tylko po co? Po to, żeby przez kilka tygodni w roku banda roztrzepanych uczniów mogła je plamić żarciem? Wyobraziłem sobie, jak Dorotea składa te obrusy, jeden, drugi, setny i mamrocze pod nosem. Co za życie.

Następne drzwi obok królestwa obrusów prowadziły do biblioteki. Była potężna, prawie tak wielka, jak sala jadalna dzieciaków. Znajdowała się na przeciwległym końcu domu, a ja zdałem sobie sprawę, że jej lokalizacja po jednej stronie była lustrzanym odbiciem układu po drugiej stronie, z osią symetrii w miejscu schodów, zapewniając stan architektonicznej równowagi. Wszedłem do biblioteki i jej wielkość mnie oszołomiła. Było tam multum książek, a w jednej ze ścian osadzono ogromniasty kominek. Porozstawiano też sporo stolików z różnymi bibelotami. Stały tam na przykład globusy. Biblioteka musiała zawierać tysiące tomów, bo wypełniały one półki od podłogi do sufitu. Wszystkie były oprawione w skórę i ustawione tak idealnie, jak gdyby nikt nigdy ich nie czytał. Albo – co bardziej prawdopodobne – jakby ktoś miał obsesję na punkcie ciągłego odkurzania. No to już wiedziałem, co Dorotea robi całymi dniami.

Próbowałem wyobrazić sobie człowieka, który stworzył tę bibliotekę. Nie wyglądała ona na pomieszczenie, w którym przesiadywał poprzedni właściciel. Ojciec powiedział, że gość był po trzydziestce i miał syna. A ta biblioteka była raczej królestwem starego piernika, typa, który niespecjalnie by się cieszył, gdyby buszował w niej jakiś dzieciak. Wszystko wyglądało tu jak w muzeum. Ciekawe, od jak dawna była tak wyposażona i do kogo należała? Zastanowiło mnie też, skąd wziął się cały ten bezruch? Bo byłem pewien, że wszystko stało tak na swoich miejscach od stulecia. A to nie jest normalne, no nie? No bo kiedy się kupuje dom, to zwykle jest to sam dom, bez gratów. Nawet jeżeli mają w nim zostać jakieś meble, to już przecież nie książki, tak? No właśnie. A tutaj wydawało się, że absolutnie niczego nie wyniesiono. Pewnie i w tym Dorotea maczała paluchy.

Sprawdziłem kolejne pokoje. We wszystkich było tak samo – niczego

nie wyniesiono. Kupiliśmy tę budę razem z psem, łańcuchem i pchłami. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby zabrać swój dobytek. Najwyraźniej moim rodzicom nie wydało się to dziwne, ale – jak już zdążyliśmy się zorientować – logiczne myślenie nie należy do ich cnót. Wyobrażam sobie, że ojciec popuścił z wrażenia, mogąc kupić dom wyposażony po kokardę, bo to znaczyło, że nie będzie musiał go meblować. Myślę też, że podobnego argumentu użył w rozmowie z mamą. A nawet dokładnie tego! Już słyszę, jak mówi: „Kochanie, to nam oszczędzi mnóstwa czasu i wysiłku. Będziemy mogli się skupić na sprawach bardziej istotnych”. Wyjaśnia to chyba też, dlaczego większość naszych rzeczy skończyła w magazynie.

A jednak kiedy tak kombinowałem, zaczęło mi się to wydawać dziwne. Na ścianach wciąż wisały obrazy. Na regałach stały książki. W jednym z pokoiów urządzono gabinet z wielkim biurkiem z sześcioma szufladami – trzema z każdej strony – i starym krzesłem biurowym wepchniętym w pustą przestrzeń między nimi. Szarpnąłem za jedną z szuflad, spodziewając się, że będzie zamknięta na klucz, ale otworzyła się z łatwością. Było w niej mnóstwo papierów. Potem zajrzałem do kolejnej szuflady, i następnej. Żadna nie była zamknięta na zamek, a we wszystkich pełno było różnych różności, takich jak wieczne pióra, zeszyty, paragony ze spożywczaka i stare, rozpadające się gumki recepturki, co wydało mi się totalnie odjechane. Rozumiem, że zostawili meble, a nawet obrazy – może nie chciało im się szarpać z pakowaniem, magazynami i sprzedażą. No, ale żeby zostawiać osobiste papiery?

Za to nigdzie nie rzuciły mi się w oczy żadne zdjęcia. Zwróciłem uwagę na ich brak, bo chciałem zobaczyć, jak wyglądali ludzie, którzy mieszkali tu wcześniej. Jeśli tak jak Dorotea, to perspektywa rozciągająca się przed rodziną Srombergów – czyli naszą – była nieciekawa. Może z takim właśnie wyglądem kończyli wszyscy, którzy trochę pomieszkali w tych okolicach? Może ona sama miała zaledwie cztery albo pięć dych na karku, ale wegetacja w tej głuszy wyssała z niej resztki życia? Niewykluczone. Kontynuowałem więc zwiedzanie i znalazłem milion różności, poza



zdjęciami. No i chyba miało to sens, bo – jak sądzę – nawet jeżeli ma się gdzieś, kto będzie oglądać nasze wyciągi z banku, to trudno o coś bardziej osobistego niż zdjęcia. Mam rację?

Ale zauważyłem też coś innego. Mianowicie nie było żadnych miejsc po zdjęciach, ani na stołach, ani na półkach, tam gdzie mogła stać ramka, ani jaśniejszych plam na ścianach po fotografiach, które usunięto. Przeszło mi więc przez myśl, że w ogóle nigdy ich tu nie było, co również wydało mi się ciut dziwaczne. Okej, może w naszej rodzinie nie wyjadamy sobie z dzióbków, ale nawet my mieliśmy masę fotek porozstawianych po całym domu w Sztokholmie. Skupiłem się więc na intensywnym poszukiwaniu zdjęć. Otwierałem szuflady i odsuwałem rzeczy stojące na półkach. Pusto. Wróciłem z poszukiwaniami do pokoi, w których już byłem. Nic.

I wtedy ją zobaczyłem. Wychodziłem właśnie z jednego pokoju, żeby przejść do innego, gdy włoski zjeżyły mi się na karku. Znacie to uczucie, kiedy ktoś was obserwuje? Odwróciłem się, żeby spojrzeć w głąb korytarza. Stała tam Dorotea. Ramiona wisiały jej luźno wzdłuż boków. Obserwowała mnie. Dziwaczne było nie to, że się na mnie gapiała, ale miejsce, z którego to robiła. Stała na samym końcu korytarza, przy zamykającym go wielkim oknie. Na zewnątrz, za jej plecami, było widać ciemną ścianę drzew. Żeby się tam znaleźć, musiała przejść obok pokoju, w którym buszowałem, więc musiała też mnie usłyszeć. Ale ona, zamiast wsadzić głowę do środka, żeby zobaczyć, co się tam dzieje – jak zrobiłby każdy normalny człowiek – postanowiła przejść obok niego i zacząć się na mnie w cieniu.

Nie przechodziła ot tak, po prostu, nie usłyszała hałasu i nie przystanęła, czekając, aż sobie pójdę. O, nie.

Obserwowała mnie.

Szpiegowała.

Wbiłem w nią wzrok, ale się nie poruszyła. W końcu się odwróciłem i odszedłem do głównego holu, zmierzając ku schodom, żeby kontynuować poszukiwania na pierwszym piętrze. Przez cały czas czułem

na plecach jej wzrok. Wyobraziłem sobie, że porusza się szybciej, niż wydawało mi się to możliwe, sunie przygięta do ziemi, wbijając we mnie te swoje stare, wodniste, wytrzeszczone ślepia, gotowa... no właśnie, gotowa zrobić co?

Z wielkim trudem powstrzymałem odruch, żeby się odwrócić i spojrzeć za siebie. Jeszcze trudniej było mi nie zacząć biec. Ale udało się. Tytanicznym wysiłkiem woli podszedłem do schodów i zacząłem na nie wchodzić. Stopień po stopniu. Obejrzałem się dopiero w połowie, ale na dole nie było śladu po Dorotei. Może jednak miała jakiś powód, żeby znaleźć się w jednym z pokojów, w których myszkowałem, i wróciła tam, żeby zrobić to, co planowała. Powiedziałem sobie, że na pewno tak było, bo w przeciwnym razie musiała przemknąć korytarzem i pokonać hol za moimi plecami, niesłyszana i niezauważona. Mówiąc szczerze, niespecjalnie uśmiechała mi się myśl, że stara może być do tego zdolna.

Serce przestało mi walić jak szalone dopiero u szczytu schodów.

Dwa pokoje na pierwszym piętrze zamieniono na dormitoria dla dzieciaków. W każdym z nich stało w rzędzie dziesięć najzwyczajniejszych łóżek polowych. W jednym pokoju spały chłopaki, a w drugim dziewczyny. Nie wchodziłem do środka, bo wcześniej usunięto z nich oryginalne meble, a poza tym stwierdziłem, że nawet jeśli były tam kiedyś jakieś sekrety, to już i tak splądrowały je rączki mniejsze i znacznie bardziej lepkie od moich. Pokój Tomasa – rozdzielający dormitoria szarańczy – też ominąłem. Szperanie w rzeczach pozostawionych przez ludzi, którzy dawno odeszli, to jedno, ale grzebanie w jego gratkach, choćby i był psychicznym drzewofilem, to co innego. Trzeba znać jakieś granice, co nie? I tu biegła moja. Nie wszedłem również do pokoju, w którym byli moi rodzice. Kiedy przechodziłem obok, zza jego drzwi dochodziły to cichsze, to głośniejsze szmery ich głosów.

Większość pozostałych pokojów była prawie pusta. Proste łóżka i gołe ściany. Parę drzwi było zamkniętych. Pomyślałem, że mógłbym je wyważyć, ale potem przypomniałem sobie o szpiegującej mnie Dorotei, więc postanowiłem dać spokój do czasu, kiedy będę miał pewność, że na

pewno polazła gdzieś indziej. Kto wie, gdzie w tej chwili grasowała? Zresztą i tak miałem przecież masę czasu, nie? Caluteńką zimę. Lepiej zostawić sobie trochę atrakcji na później. Zresztą kiedy zajrzałem do wnętrza przez dziurkę od klucza, nie dostrzegłem w zamkniętych pokojach niczego więcej niż w tych otwartych. Ot, sypialnie, i tyle. Doszedłem do wniosku, że zostawiono je zamknięte przez przypadek, a nie dlatego, żeby na pewno nikt tam nie wszedł.

W końcu znalazłem fotografię i to w jednym z niezamieszkanym pokojów, do którego wcale nie musiałem się włamywać. Leżała obrazkiem do dołu na dnie dolnej szuflady w komodzie. Musiała tak leżeć od dawna. Starłem z niej kurz, podniosłem ją i odwróciłem. Była na tyle duża, że wygodniej było ją chwycić oburącz. Na czarno-białym zdjęciu uwieczniono dom z zewnątrz – z łatwością rozpoznałem podwójne drzwi wejściowe. Zdjęcie było zrobione latem, bo po murach wokół wejścia pięła się jakaś roślina o dużych, otwartych kwiatach. Na niskich schodkach prowadzących do wejścia stały trzy osoby – mężczyzna, kobieta i dziecko. Mężczyzna stał na najwyższym stopniu, bezpośrednio przed drzwiami do domu. Ręce miał skrzyżowane na wypiętej dumnie piersi, a miną mówiącą: „Tak, to wszystko moje. I wasze tyłki też należą do mnie”. Znacie ten typ? Kobieta i dzieciak stojący obok faceta na dwóch niższych schodkach wyglądali dość żałośnie. Dalej, w rzędzie, ustawiała się cała służba. To zdjęcie przekonało mnie, że na fotografii można uwiecznić nudę, ale poza tym niewiele zdołałem z niego wyczytać. Odłożyłem więc je tam, gdzie je znalazłem, i tym samym zakończyłem poszukiwania.

Gdy wracałem w stronę schodów, wydało mi się, że kątem oka widzę coś w plamach cienia. Ale kiedy odwróciłem głowę, żeby spojrzeć w tamtą stronę, niczego nie dostrzegłem.

Śpimy.

Tulimy się skuleni w ciemnościach i śnimy.

Śnią nam się wnętrza i korytarze. I ciepło.

Śnimy o dłoniach i stopach.

O głosach.

„Kim byliśmy?”, pytamy.

„Nikim”, odpowiadają drzewa.

„Niczym. Należycie do nas.

Jesteście potrzebni. Wsłuchajcie się w pieśń.

Czy pamiętacie, co trzeba zrobić?”

Powoli wraca nam pamięć.

## Rozdział piąty

Pod nieobecność dzieciaków w domu panowała zupełna cisza. Było nawet zbyt cicho. Miałem wrażenie, że zamknęli mnie w hermetycznej komorze bezehowej, skąd do ludzi na zewnątrz można gadać tylko przez mikrofon. Dlatego usiadłem na moim łóżku i wypełniłem sobie uszy muzyką Kornów i Mastodonów. Za Chiny Ludowe nie przypuszczałbym, że kiedyś to powiem, ale kiedy wariackie tsunami podnieconych dziecięcych głosów wlało się znów do domu, poczułem ulgę. Rozbrykana armia latorośli wysypała się spośród drzew, buzując taką samą energią, z jaką znikwała w lesie o poranku. Wyjąłem słuchawki z uszu i nasłuchiwałem wrzawy potężniejszej w holu od podłóg po sufity. Napęliła dom, jakby był on balonem, który wypełnia się dźwiękiem jak powietrzem. Pomyślałem, że gdybym wyszedł na dwór, mógłbym nie usłyszeć żadnego odgłosu dochodzącego z wnętrza.

Nie przeprowadziłem jednak tego eksperymentu.

Kiedy następnego ranka siedzieliśmy z mamą i ojcem przy śniadaniu, w drzwiach pojawił się Tomas. Wymienili z ojcem podejrzliwe spojrzenia, jak nieufne psy.

– Słuchajcie – przemówił Tomas. – Przepraszam za przedwczoraj. Uniosłem się, bo... to miejsce jest mi bardzo bliskie. To wszystko.

Ojciec popatrzył na niego przez chwilę, po czym odpowiedział.

– Jasne. Rozumiem.

Na jakiś czas zapadła cisza, w której próbowałem nie dać po sobie poznać, że jestem gotów łowić każde słowo tej superniezręcznej rozmowy

jak niedźwiedź łososię. Szło mi średnio, ale mówiąc szczerze, chyba nikt tego nie zauważył. Zresztą mama też intensywnie strzygła uszami.

– Tak czy inaczej – po chwili Tomas podjął temat – zabieram dziś dzieci na skraj starego lasu. Pomyślałem, że chcielibyście pójść z nami i na własne oczy zobaczyć to, o czym mówiłem.

Już myślałem, że ojciec zetnie go krótkim „nie”, ale Tomas znów wszedł mu w słowo.

– Przy okazji mogę wam pokazać jedną z najnowszych poręb. To po drodze.

Mama i ojciec spojrzeli po sobie.

– Jeśli ty idziesz, to ja też – powiedziała mama cicho. – Poza tym mogłabym pomóc Tomasowi ogarnąć dzieci.

Ojciec zmarszczył się jak rodzynek, a mama wbiła wzrok w talerz.

– Serio? – zapytał. – Chcesz iść?

Podniosła na niego spojrzenie.

– Tak. – Jej głos zabrzmiał ostrą jak brzytwa nutą. – Chcę.

Patrzyłem to na mamę, to na ojca i znów na mamę. Czyżbym coś przegapił? Bo to było dziwne, nawet jak na moich rodziców. Ale tata już odwrócił się do Tomasza.

– Dobrze – powiedział. – Pójdziemy z wami. Ale proszę nie oczekiwać, że nagle pokocham te pańskie drzewa. Plantacja musi na siebie zarobić albo padnie.

Tomas odpowiedział uśmiechem, choć w jego oczach czaił się zupełnie inny przekaz.

– Wyruszamy za pół godziny. Do zobaczenia.

Wszedł, zamykając za sobą drzwi. Przez chwilę wszyscy milczeliśmy.

– Ja też pójdę – przerwałem ciszę.

Ojciec spojrzał na mnie, zaskoczony.

– Nie sądziłem, że spacer po lesie ci podpasuje, zwłaszcza że przeprowadzka była dla ciebie okropną krzywdą.

Wzruszyłem ramionami.

– Sam chciałeś, żebym się zainteresował – wypunktowałem go. –  
Także: spróbujemy, zobaczymy.

Po prawdzie to niespecjalnie chciałem zostawać sam w domu, mając za towarzystwo jedynie Dorotę. Na myśl o tej ciszy, która wypełnia uszy jak beton, przeszły mnie ciarki. Nie mogłem też pozbyć się obrazu staruchy wlekącej się za mną po korytarzu. Prawie słyszałem, jak szura nogami, choć przecież wtedy nie wydała żadnego odgłosu. Ten jej dziwny na wpół chód, na wpół bieg. Brr. Wzdrygnąłem się na samo wspomnienie. Dzień w lesie był na pewno znacznie lepszą opcją, no nie?

I tak, z marną namiastką suchego prowiantu w kieszeni, znalazłem się w grupie maszerującej ku przygodzie. Na zewnątrz, mimo dziecięcych krzyków i śmiechu, było dziwnie cicho. Drzewa rosły tak gęsto, że ich gałęzie pochłaniały cały dźwięk. Tomas wyprowadził nas z domu i powiódł do lasu. Mama i ojciec dotrzymywali mu kroku, posłuszna gromada dzieciaków ciągnęła się za nimi, a ja zamykałem pochód, udając, że nie mam z nimi wszystkimi nic wspólnego. Co jakiś czas któraś z dziewcząt odwracała się, żeby na mnie popatrzeć, szeptała coś do sąsiadki, po czym obie wpadały w chichot. Nie słyszałem, co mówią, bo miałem na uszach Disturbed. Zabawiałem się myślą, że lada chwila diaboliczny, krwiożerczy potwór wychynie z ciemnego lasu, łamiąc gałęzie i poodgryza im wszystkim łby.

Tak w ogóle to nie kumam, po kiego grzyba ludzie chodzą. To znaczy nie mam nic przeciwko ćwiczeniom i takim tam. Nie spędzam też całego wolnego czasu przed telewizorem ani grając na kompie. Otóż nie. Ja jeżdżę na desce. Albo – ściślej rzecz ujmując – jeździłem, przed zsyłką do krainy, gdzie nie odkryto jeszcze asfaltu. No, ale żeby chodzić? Nie, dzięki. Biegać to jeszcze jak cię mogę. Ale wlec się nogą za nogą, jak gdyby upływ czasu nie miał żadnego znaczenia? O, nie! Dlatego też wkrótce zacząłem żałować, że nie przełknąłem wczorajszego dziwnego incydentu z Dorotą i nie zostałem w domu. Iglaste drzewa otwierały się przed nami, utrzymując chłód powietrza, mimo że ponad nimi majaczyło

blade słońce. Stwierdziłem, że budzą we mnie tyle samo sympatii, co nowy dom, czyli zero. Aromat choinki idealnie pasuje do samochodowego odświeżacza powietrza, ale uwierzcie mi, kiedy otacza człowieka ze wszech stron, po kilku minutach ma się wrażenie, że jakiś sadysta topi nas w misce z płynem do zmywania.

Jednak nikt inny nie miał z tym problemu. Dzieciarnia wciąż szczebiotała jak naspidowane chińskie radio. Ojciec i Tomas debatowali zawzięcie. Mama szła w grupce szkodników usiłujących, jedno przez drugie, zrobić na niej wrażenie. Aż wreszcie doszliśmy do niewielkiej poręby, gdzie po drzewach zostały tylko tępo ścięte pniaki wystające z ziemi. Tomas przerwał konwersację z ojcem, stanął i się odwrócił, podnosząc ręce za znak, żeby reszta też się zatrzymała. Dzieciaki stłoczyły się wokół niego jak stado wścibskich surykatek.

– No dobrze – zawołał Tomas, gdy opętańcza wrzawa przycichła już do głuchego pomruku. – Wyjmijcie zeszyty i ołówki.

Wyciąganiu przyborów z plecaków towarzyszył głośny szelest, a ponad nim, w kręgu zmasakrowanych drzew, wzniósł się i rozchodził głos Tomasa. Nauczyciel przemawiał, a jego głos docierał w odległe zakątki wypełnione ciszą, natomiast inne odgłosy cichły w niewielkiej odległości od naszej grupki, jak w pokoju z panelami dźwiękochłonnymi. Rozglądając się, doszedłem do wniosku, że to na pewno przez drzewa. Okalały porębę tak gęstą ścianą, że nic nie mogło się przez nią wydostać, nawet dźwięk. Wznoszące się ku niebu słowa Tomasa więzły w powietrzu, tłumione gąszczem gałęzi.

– Pamiętajcie, czego uczyliśmy się wczoraj rano o porostach? Powinniście mieć przy sobie ulotki, które wam rozdałem – mówił Tomas. – Dziś chciałbym, żebyście znaleźli i naszkicowali jak najwięcej rodzajów porostów. Dobierzcie się w pary i trzymajcie na widoku. Nie chcę, żeby ktoś się zgubił, jasne? Dobrze. No, to do dzieła.

Młodzi rozbiegli się jak mrówki albo inne nakręcone robactwo. Szczerze mówiąc, jeśli były tu jakieś prawdziwe robaki, to im nie zazdrościłem. Na pewno zostaną rozdeptane przez tę naszą hałastwę.



– Myślałem, że mamy iść do starego lasu? – powiedziałem, rozglądając się. – Ten nie wygląda na specjalnie stary.

– Masz rację, nie jest – odpowiedział Tomas. – Zatrzymaliśmy się, bo chciałem pokazać twoim rodzicom najnowszą wycinkę w tym oddziale, a dzieciom – różnice między porostami w lesie sadzonym a tymi w lesie pierwotnym. Są tak wielkie, że sam się zdziwisz. Ta część lasu jest bardzo młoda, ale tamten – pierwotny, jest częścią tajgi, czyli borealnych lasów iglastych porastających całą półkulę północną. To największy biom na całej kuli ziemskiej. A występujące tu porosty są niezwykle.

Z ledwo skrywanego podniecenia w głosie Tomasa wywnioskowałem, że wkrótce odkryjemy, iż w lesie pierwotnym rośnie znacznie więcej porostów niż wśród nowych nasadzeń. Nawet ja wiedziałem, że porosty są dobre, bo od nich zależy, ile tlenu jest w powietrzu. Więcej porostów – dobrze. Mniej porostów – źle. Jasne? A więc – superhiperekstraprzebiegle pomyślane – zajęcia z porostami miały uświadomić ojcu, jak cenny jest las pierwotny. Czyli, mimo porannych zastrzeżeń ojca, Tomas wciąż miał nadzieję, że go przekabaci. Taaa, powodzenia.

Podszedłem do tępo zakończzonego pniaka po zamordowanej choince i zapatrzyłem się w miniaturowy krajobraz pozostawiony przez piłą, która ją obaliła. Były tam postrzępione, zbite łańcuchy górskie białej, ale poczerwieniałej pod wpływem powietrza kory.

– Proszę spojrzeć – zwrócił się Tomas do rodziców, wskazując inny pniak po drzewie zarżniętym chyba tą samą piłą. – Mamy tu jedną z najnowszych wycinek na plantacji. To drzewo ścięto co najmniej dziewięć miesięcy temu, wskazuje na to kolor drewna.

Położyłem dłoń na jednym z wilgotnych, kruchych „łańcuchów górskich”. Rozpadł się pod naciskiem.

– Nowe nasadzenia obejmują wyłącznie świerk pospolity – wyjaśnił Tomas. – Jego drewno ma szerokie zastosowanie, od budowy domów po meblarstwo. Świerk rośnie stosunkowo szybko, przez co większość plantacji decyduje się na jego wprowadzenie. I to się sprawdza na terenach, gdzie nie rosną już lasy pierwotne. Ale żeby wycinać stary las

po to, by zastąpić go tym czymś... – Tomas pokręcił głową. – To napawa mnie wstrętem. Komercyjne uprawy monogatunkowe wypierają zróżnicowane środowisko, które istnieje od tysięcy lat! Jak komukolwiek mogło przyjść do głowy, że to jest dobry pomysł?

Ojciec skrzyżował ręce na piersi.

– Powiedział pan, że borealne lasy iglaste, czy tam tajga, porastają całą półkulę północną – zacytował Tomasa. – Ale ja mam tylko niecałe cztery hektary. Nie wmówi mi pan, że ich wycięcie będzie miało istotny długofalowy wpływ na środowisko.

Tomas odwrócił się i spojrzał na ojca.

– Tajga znika w szybkim tempie. Wkrótce będzie zagrożona w tym samym stopniu, co brazylijski las deszczowy. Liczy się każdy oddział. Wszystkie obszary zasługują na ochronę i na szacunek. Dawne ludy mieszkające na tych terenach to rozumiały. A my – nie. Dlaczego?

Ojcu wyrwało się chrapliwe westchnienie.

– Bo nie jesteśmy prymitywami tłukącymi kamieniem o kamień, żeby skrzesać ogień. Gdzie są dzisiaj te dawne ludy? Wyparł je postęp, nowoczesność. To nieuniknione. Tak działa świat.

Tomas łypnął na niego wilkiem.

– To arogancja.

– Pozostańmy zatem przy odmiennych poglądach. Plantacja musi zapewnić nam godne życie i w tym celu będzie trzeba zastosować nowoczesne metody wycinki. Jest za mała, żeby można ją było utrzymać w inny sposób, bo konkurencja jest zbyt silna.

– Ale przecież Storaskogen pozostaje plantacją rodzinną, więc nie musicie naśladować działania konglomeratów prowadzących wielkie uprawy leśne – zaproponował Tomasa. – Czy pan nie rozumie? Wciąż da się tu gospodarować po dawnemu. To prawdopodobnie jedyna plantacja, która wciąż może tak działać.

Ojciec fuknął poirytowany:

– Jeśli chcemy się utrzymać, to nie może.

Tomas machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

– Ile pieniędzy może potrzebować jedna rodzina?

Ojciec był bliski wybuchu. Szykowałem się już na niezły pokaz fajerwerków, ale mama uznała za stosowne temu zapobiec.

– Może to nie jest najlepszy moment na tę rozmowę – zasugerowała. – Dowiedzmy się jak najwięcej o naszym lesie. Pan Tomas może nas wiele nauczyć, Martinie.

– Tylko, jeśli pan Martin jest ciekaw tej wiedzy – uciął Tomas. – Zresztą jeśli chcecie dowiedzieć się więcej o życiu w harmonii z lasem, nie powinniście rozmawiać ze mną, tylko z Doroteą. Spędziła tu całe życie. Jej rodzina mieszka tu od pokoleń. Była zdruzgotana, kiedy Erik – poprzedni właściciel – przystąpił do wyrębu starego lasu. Ścięcie starego drzewa jest dla niej jak śmierć członka rodziny.

Ojciec wysłuchał tej przemowy z założonymi rękami, odwrócony plecami. Za to mama uraczyła Tomasa uśmiechem.

– Skoro jednak już tu jesteśmy, proszę opowiedzieć nam to, co pan wie – powiedziała łagodnie.

Tomas spiorunował ojca wzrokiem. Z pewnością chciał mu jeszcze nagadać, jednak odpowiedział mamie wąłym uśmiechem i skinął głową.

– No dobrze – powiedział.

Burzę rozgoniono i powróciła nuda. Wytarłem dłoń o nogawkę dżinsów. Drzewny pyłek zostawił na czarnym materiale białawy ślad. Tomas podjął temat. Tym razem mówił coś o wykładniczym wzroście sprzedaży świerku pospolitego w ostatniej dekadzie. Rozejrzałem się po porębie, kombinując, ile kasy można zgarnąć na wolnym rynku za drzewa, które tu ścięto. Mogłem o to spytać, ale wtedy ktoś mógłby uznać, że mnie to obchodzi.

Tymczasem dzieciarnia uwijała się jak mróweczki. Niektóre pogryzały ukradkiem jakieś smakołyki zabrane z domu, ale poza tym nie było mowy o żadnym zbijaniu bąków. Ciekawe, co powiedzieliby na to Lars i Poppy? Wyjąłem telefon z kieszeni – wciąż zero sygnału. Może później

zadzwońię do nich ze stacjonarnego. Ale pewnie nie. Po pierwsze, dlatego że nie chciałem dzwonić pierwszy. Te palanty ze Sztokholmu powinny same zauważyć moją nieobecność, bez dopominania się o uwagę ani też – co byłoby jeszcze gorsze, bez mojego skamlenia, że za nimi tęsknię. Nie chciałem stać się w ich oczach smutnym zgredem. O, nie! Cała ta heca z wyprawą do drwalolandii nie mogła potrwać dłużej niż kilka miesięcy, więc nie mogłem zasłużyć sobie na powrót w fanfarach upokorzenia. A w każdym razie nie w jeszcze donośniejszych niż te, które i tak mnie czekały.

Odszedłem dalej. Przyglądałem się kolejnym pniakom i zaprzątałem sobie głowę pytaniami, których nie miałem zamiaru wypowiadać na głos. Chyba wbrew sobie ojciec dał się pochłonać wykładowi Tomasa. To pewnie dlatego, że wyczuł w nim pieniądz. Tomas przemawiał teraz, gestykulując czasem, co sprawiało, że robił wrażenie jeszcze bardziej nieznównważonego, ale przynajmniej nie wyglądało już na to, że się z ojcem na tej porębie pozabijają.

Zagapiłem się na drzewa. Im dłużej na nie patrzyłem, tym bardziej wszystko odchodziło na dalszy plan, a myśl o tym, że wchłonie mnie nicość, wydała mi się nęcąca. No bo spójrzymy prawdzie w oczy: przeprowadzka na to zadupie i tak przypieczętowała mój los. Wyruszyłem zatem na samotną przechadzkę i opuściłem porębę, zanurzając się w lesie.

## Rozdział szósty

Dopiero kiedy wyszedłem z poręby, zdałem sobie z czegoś sprawę. Gdy tu szliśmy, wydawało mi się, że przedzieramy się na przełaj przez las. A jednak szliśmy ścieżką. Fakt, że mizerniuchną, bo wcale jej nie zauważyłem, ale to jednak zdecydowanie była ścieżka, bo teraz, dla odmiany, znalazłem się w leśnym gąszczu, zdecydowanie poza ścieżką. Różnica była zasadnicza.

Podłoże było tu elastyczne. Pokrywała je warstwa – a raczej kilka warstw – igieł opadłych z choinek. Gdzieś o tym wcześniej czytałem, ale nie pytałem gdzie. Jednak wcześniej zakładałem, że w lesie będzie... przyjemnie. Nie żebym specjalnie o tym myślał, ale jakoś wziąłem sobie do głowy, że w takich okolicznościach powinno być przyjemnie. Przecież łożenie po sprężynującym dywaniku brzmi jak ubaw po pachy, no nie?

Ale nim nie jest. Jest za to dziwaczne. Po pierwsze dlatego, że teren był naprawdę nierówny, bo kiedy nikt ich regularnie nie udeptuje, igły zsypują się na – powiedzmy to śmiało – kupy, które są wszędzie. Pewnie gdy pada deszcz albo śnieg, ubijają się one trochę, ale nie aż tak bardzo, więc teren jest pagórkowaty, co sprawia, że chodzenie jest upierdliwe.

Po drugie, wywołuje to nieprzyjemne odczucie. Budzi niepokój, bo ma się wrażenie, że chodzimy po pokładzie statku przy wysokiej fali. Ludzkie mózgi spodziewają się podłoża twardego i równego. Jego sprężystość pozbawia nas równowagi. Zatem idąc, nie myślałem sobie: „Ach, cudownie! Jakże świetnie byłoby uciąć sobie drzemkę na tym królewskim łożu o miękkich iglastych piernatach”. Nie. Myślałem za to: „Co za dziwaczne cholerstwo”.

Dość szybko wykombinowałem, że taka potężna warstwa igieł pokrywa glebę dlatego, że większość dolnych gałęzi jest uschnięta. Kora na pniach przypominała łuski prehistorycznych stworzeń, które przetrwały epokę lodowcową – coś na kształt pancernika. Była sucha, spękana, a jej płyty zachodziły na siebie. Wystawały z niej setki wąskich, patykowatych gałęzi, które pojawiały się już przy samej ziemi i sięgały na zewnątrz jak palce szkieletu, suche, łamliwe, przy pierwszej okazji gotowe wyłupić mi oczy albo pochłastać nogi. Wyglądały na martwe, ale drzewa były przecież żywe – nad moją głową zwieszało się multum gałęzi najeżonych zielonymi igłami, istnych okazów zdrowia. Doszedłem do wniosku, że te dolne obumarły za sprawą mroku skrywającego dolne piętro lasu. Zadaniem liści i igieł jest zamiana światła słonecznego w potrzebne drzewu substancje odżywcze, tak? A na poziomie gruntu nie było go prawie wcale. W panującej tu mrocznej, ponurej atmosferze utrzymywanie gałęzi przy życiu mijало się z celem.

Drzewa... w razie potrzeby pozwolą umrzeć częściom własnego ciała. Tym, których nie warto utrzymywać przy życiu. Na samą myśl może się zrobić nieswojo, co nie?

Jeszcze dziwniejsze były odgłosy tego lasu. Drzewa posadzono blisko siebie, w prostych rzędach. Rosły bardzo strzeliście, a tym samym ich korony z żywymi gałęziami sięgały na tyle wysoko, żeby zanurzyć się w wietrze. Szumiały więc nieustająco. Ich szum był odległy, a zarazem głośny, jak gdyby w wierzchołkach szalała wichura. Ale tu, gdzie stałem ja, powietrze wcale się nie ruszało. Jakby ktoś zamknął mnie na dnie butelki, a wszelki ruch i dźwięk zaczynał się dopiero przy jej szyjce, kilka metrów nad moją głową. Wysoko, całkowicie poza moim zasięgiem, wierzchołki drzew poruszały się bezustannie, oddawały działaniu i były... żywe.

Gdy tak stałem i kark ścierpł mi już od zadzierania głowy ku szalejącym, rozchybotanym gałęziom, coś nagle poruszyło się na granicy pola widzenia. Błyskawicznie obróciłem tam głowę, ale ruch ustał. Nasłuchiwałem, ale dobiegał mnie wyłącznie szum wiatru w koronach

drzew.

Pomyślałem, że mógł to być zając albo sarna. Ruszyłem wzdłuż dwóch szpalerów drzew, pomiędzy którymi przed chwilą się zatrzymałem. Wiatr nad głową wtórował mi niezmiennym szszszsz. Przedemną zamajaczyła rozmigotana plama słońca. Poszedłem w jej stronę, myśląc, że może to być kolejna poręba. Ale kiedy tam dotarłem, okazało się, że migocące światło odbija się od powierzchni strumienia. Jego koryto wryło się w grunt u podnóża pni, a brzeg był tak zarośnięty szorstką trawą, że mało nie wlałem do wody. Ale stanąłem jak wryty dopiero na widok tego, co dostrzegłem za strumieniem.

Po jego drugiej stronie las był inny. Nadal stanowił gęstą masę drzew, ale dzikszych i nie tak wysokich. I nie były to tylko sosny, świerki czy inne jodły, tak jak te, pod którymi stałem. Rosnące tam gatunki były przemieszane. Każdy z innym rodzajem igieł i szyszek. Niektóre były srebrzyste, jakby pokryte lukrem albo warstewką lodu. Inne miały tak ciemny, głęboki odcień zieleni, że z miejsca, w którym stałem, wyglądały na czarne. Były okazy pozbawione gałęzi do połowy pnia i takie z konarami grubymi jak moje ramię, a ich szyszki miały rozmiar zaciśniętej pięści. Niektóre pnie były zgięte i powykręcane. Miejscami drzewa rosły tak blisko siebie, że trudno było powiedzieć, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie, ale w innych miejscach były między nimi spore odstępy, i tam docierały promienie słońca. Drzewa te rosły absolutnie bez żadnego planu. Żaden człowiek nie pojawił się tu z furą identycznych minidrzewek w plecaku i nie posadził ich w idealnym rzędzie z miarką w ręku. Wręcz przeciwnie. Miałem wrażenie, że ludzie nie mieli z tym miejscem nic wspólnego. Nigdy w nie nie ingerowali. Drzewa rosły tu, jak im się podobało. Można powiedzieć: naturalnie.

Podłoże też nie było jednolitą, upakowaną mierzwą brązowego igliwia.

Rosły tam setki innych roślin, wszelkiego rodzaju trawy i krzaki, a pomiędzy nimi ogromne połacie różnorodnych mchów, a wszystko utkane tak gęsto, że wcale nie było widać gołej ziemi. Przypominało to próbnik farb ze wszystkimi odcieniami i tonami tego samego koloru:

zieleni. Całe jej spektrum odkrywało się w drzewach, mchu i porostach. Co do tych ostatnich – Tomasz faktycznie miał rację. Na porębie w nowym lesie tworzyły one malutkie kępki o najwyższej centymetrowej średnicy i trzeba się było wysilić, żeby je znaleźć. Tutaj powiewały z powykręcanych gałęzi w długich, zwiewnych, nierzeczywistych kosmykach zieleni, przypominających gazę porozwieszoną dla dekoracji przez scenografa na haju. Każdy liść, pąk i pęd połyskiwał wilgocią. Nawet zapach powietrza był tutaj inny. Bardziej... pierwotny. Nie, wcale nie trącił zgnilizną. Wydawał się zawierać wspomnienie o czasach, kiedy cały świat był właśnie taki – nietknięty, nieznany i nieznanący ludzkiej obecności, na przykład w postaci takich nastoletnich abnegatów i frajerów jak ja. Nigdy wcześniej niczego takiego nie widziałem. Ten las był przedziwny, trochę straszny, ale poniekąd i piękny.

Gdy tak stałem, gapiąc się na stare drzewa, uderzyła mnie myśl: „Teraz już rozumiem”.

Wykład Tomasa o lesie pierwotnym mało mnie obszedł. Ale teraz, widząc go na własne oczy, załapałem. Nie mówię, że doznałem objawienia, przed którym zastrzegał się ojciec, ale zrozumiałem przekaz Tomasa. Ten las nie był podobny do pola choinek, przez które właśnie przeszedłem. Był stary, a nawet... pradawny.

Przynosił inne odczucia. Nie tylko stanowił odmienny świat, ale w ogóle wydawał się rosnąć na innej planecie.

Nie wiem, jak długo gapiłem się na ten strumień, ale stałem tam jak zahipnotyzowany. Kiedy w końcu postanowiłem go przekroczyć, moja noga spoczęła na krzaczastej kępce wilgotnej trawy rosnącej znacznie bliżej brzegu, niż mi się wydawało. Kępka się ugięła, a ja, tracąc równowagę, zacząłem młócić ramionami jak cepem, żeby nie wylądować w wodzie. Wylądowałem po drugiej stronie jak ostatnia łamaga, na kolanach, mocząc buty, ale udało mi się uniknąć pełnego zanurzenia w strumieniu. Wstając, ujrzałem przed sobą las, z którego przyszedłem. Drzewa stały tam w rzędach jak idealnie proste, niebosiężne, gęsto upakowane stożki. Przez sekundę nie widziałem nic w ciemnościach na



poziomie niskich, martwych gałęzi. Wydawało mi się, że patrzę na zwarty mur, w którym już nigdy nie znajdę wyrwy, jakby drzewa zamknęły się za mną i nie miały zamiaru wpuścić mnie z powrotem. Mrugnąłem powiekami i w miejscu nieprzeniknionej masy znów dostrzegłem pnie ustawione w równoległych szpalerach tworzących mroczne aleje, które prowadziły tam, skąd przyszedłem. Zobaczyłem nawet plamę światła w miejscu, gdzie znajdowali się teraz moi rodzice i Tomasz z chmurą nakręconych szkodników. Wydawała się odległa o miliony kilometrów.

Nagle zza pleców dobiegł mnie jakiś odgłos. Dochodził z głębokiej plątaniny gałęzi, liści i pni. Szum wiatru ucichł. Tutaj, zupełnie inaczej niż w gęstwinie leśnej plantacji – czuło się powiew. Kiedy się odwróciłem, uderzył mnie i potargał mi włosy.

Znów usłyszałem ten odgłos, ale tym razem dostrzegłem też ruch – nieokreślony kształt w plątaninie przede mną. Stałem jak posąg, aż znów się poruszył. Zacząłem skradać się w jego stronę, przeskakując opadłe konary i starając się nie deptać mchu. Po drodze wyjąłem z kieszeni telefon, żeby zrobić zdjęcie buszującemu w gąszczu stworzeniu.

To wcale nie było zwierzę, tylko drzewo. Wielkie. I właśnie umierało.

Przewracało się w ultrazwolnionym tempie. Wokół niego tłoczyły się inne drzewa i podpierały je. Z każdym powiewem wiatru opadało ciut niżej, a pod nim – w miejscu, gdzie niegdyś wrastały w grunt korzenie – ziała wielka czarna jama. A jednak sąsiedzi nie pozwalali gigantowi upaść. Utrzymywali go w powietrzu, zawzięcie walcząc o jego życie, a jego wyrwane korzenie zwisały jak jelita z rozprutego ludzkiego brzucha. Ich dolna połowa wciąż tkwiła w ziemi, ale górna wysuwała się z niej coraz wyżej z każdym powiewem wiatru, otwierając wrota do jakiejś przerażającej podziemnej krainy, w głąb której nikt przy zdrowych zmysłach nie odważyłby się zajrzeć, nie mówiąc już o tym, żeby tam wchodzić. Każdy powiew napierał na drzewo, jama rozdziawiała się jeszcze szerzej, a drzewo coraz bardziej umierało.

Powiem szczerze: nie był to kojący widok. Chyba wtedy dotarło do mnie, że ten pradawny las jest miejscem, do którego żaden człowiek nie

ma prawa wstępu.

Jeszcze jeden powiew wiatru zakołysał drzewem. Paszcza u jego podnóża rozwarła się z wrzaskiem, odsłaniając wielką, czarną jamę prowadzącą w nicość.

Odwróciłem się do niej plecami. Jeden z dzieciaków przyciął się za mną, oparty plecami o pień drzewa. Mało ze skóry nie wyskoczyłem!

– Szlag! – wrzasnąłem, a gdy nieco się uspokoiłem, dodałem: – Skąd się tu wzięłeś, do cholery?

Dzieciak nie odpowiedział. Nawet na mnie nie spojrział. Siedział z kolanami pod brodą, obejmując nogi rękami. Nie pamiętam, żebym go wcześniej widział, ale to pewnie dlatego, że wszystkie dzieci wydają mi się identyczne, dotknięte wścieklizną, a w dodatku wszystkie poruszają się watahami. Malec zdjął kurtkę i trząśł się z lekka. Był też jakiś taki brązowy – znaczy ubranie miał w tej tonacji. Brązowe buty i spodnie, kremowa koszula. Pomyślałem wtedy, że jest niespecjalnie modne, ale kto by sobie zaprzętał głowę takimi bzdurami. Ja osobiście jestem modoodporny. Taki się już urodziłem.

– Mieliście się nie rozłazić – powiedziałem do niego. – Tomas kazał wam zostać na polanie.

Dzieciak nadal milczał. Powiedziałbym, że było to dość wkurzające, ale wtedy z pewnością wytknęlibyście mi, że przyganiał kocioł garnkowi. Więc nie powiem. Gałąź wam w oko.

– Tylko wróć szybko – wyrwał mi się sztywniacki komentarz godny mojej matki. – I nie zapuszczaj się głębiej. – Dorzuciłem coś na kształt cytatu z ojca. Chyba przechodzę tę fazę, w której z całą ohydną jaskrawością zaczynamy dostrzegać, że wszyscy zmieniamy się we własnych starych. To jedna z potwornych i nieuchronnych porażek, w które obfituje życie.

Zastanawiałem się przez chwilę, co zrobić z nabzdyczonym smarkaczem, aż wreszcie postanowiłem, że w zasadzie nic nie muszę z nim robić. Z tego miejsca wciąż widać było porębę. Przecież dzieciak nie mógł być aż tak tępy, żeby się zgubić podczas zabawy w chowanego

czy w co tam się bawili z resztą hałasty. Zresztą to chyba nie mój problem, że Tomas był zbyt zajęty obściskiwaniem drzew i nie miał głowy do zaganiania swojej trzódki. To była jego robota, nie moja. A poza tym nie chciałem przebywać w tamtym miejscu dłużej, niż to było konieczne.

I wtedy zobaczyłem, co znajdowało się za drzewem, o które opierał się dzieciak. Chociaż, tak po prawdzie, to nie było tam nic do oglądania.

To drzewo było ostatnim, za którym ziała pusta przestrzeń. Pas lasu o szerokości boiska piłkarskiego, który wyróżnięto. Wiem, wiem, że takie odkrycie na plantacji choinek nie powinno być zaskoczeniem. I nie było nim tam, na tamtej porębie, która poniekąd była podobna.

A jednak wyglądała inaczej. Biło od niej... brutalnością. Nie było tu miękkiego igliwia, żadnych traw ani nawet mchu. Erik – to musiał być początek jego prac przy karczowaniu starego lasu, o których wspominał Tomas – nie zostawił w ziemi nawet pniaków. Wyrwał wszystko z korzeniami, obnażając kryjącą się pod powierzchnią glebę. Po co? Chyba po to, żeby na pewno nic nie odrosło. Cała połać była usiana kraterami, których wielkie, poszarpane paszcze ziały jedna przy drugiej.

Erik nie usunął nawet wszystkich martwych drzew. Wiele z nich leżało tu i tam, niektóre miały pucynane gałęzie. To zabrzmiało, jakby mi odbiło, ale przez sekundę miałem wrażenie, że patrzę na ludzi. Leżeli połamani i poranieni jak ofiary bombardowania. Wokół rozległego poboju, jak zszokowane rodziny zamordowanych, w objęciach, zgięte pod ciężarem smutku, stały drzewa.

Zrobiłem krok do tyłu. Kiedy się odwróciłem, prawie wpadłem na tamto wielkie umierające drzewo utrzymywane przy życiu przez jego towarzyszy. Nie chciało umierać. Oni też nie chcieli jego śmierci. Już dosyć nas padło. Już dosyć. Dosyć.

Próbowałem oddychać głębiej, ale nie byłem w stanie, bo coś zaczęło rozchodzić się w mojej piersi. Było zbyt wielkie i przerażające, żebym mógł objąć to umysłem. Potykając się, wróciłem tam, skąd przyszedłem. Brnąc przez gąszcz, znów uchwyciłem tę dziwną, śpiewną nutę, którą

słyszałem w dniu naszego przyjazdu. Wydawała się nadlatywać z bardzo daleka, jakby pochodziła z innego świata.

Byliśmy daleko, W bezkresnej puszczy,  
Tam, gdzie świat spowija  
Czerń nocy i cień,  
A śnieg jest wieczny. Lecz teraz...

...teraz powracamy.

## Rozdział siódmy

Przeskoczyłem przez strumień i pobiegłem z powrotem do pierwszej poręby. Serce waliło mi młotem. Nikt nie zauważył mojej nieobecności, co mnie nie zdziwiło, ale musiałem oddalić się na dłużej, niż mi się zdawało, bo Tomas zaganiał już swoje minionki. Mała ich grupka otaczała mamę. Ojciec uważnie studiował pnie, pewnie w przekonaniu, że samo towarzystwo Tomasa uczyniło z niego eksperta.

Rozejrzałem się wokół z poczuciem, jakbym właśnie teleportował się z jakiegoś równoległego wszechświata. Czy naprawdę byłem przed chwilą w lesie, czy mi się zdawało? Spojrzałem na buty. Były wciąż mokre od wody ze strumienia. Przemarzęłem, i to do szpiku kości. Ale było mi zimno nie tylko za sprawą temperatury.

Właśnie wtedy dotarło do mnie, że nigdy nie przestanę nienawidzić Storaskogen.

– Proszę o uwagę – głos Tomasa przebił się przez dziecięcy gwar. – Przejdziemy teraz do lasu pierwotnego. Pamiętajcie, co wam mówiłem: trzeba stąpać ostrożnie i...

I wtedy któreś z dzieci wrzasnęło. Potem następne. Po sekundzie wszystkie się darły, piszczały i pokazywały coś palcami. Przez chwilę nie czaiłem, o co chodzi. A potem go zobaczyłem. Śnieg. Wielgaśne białe płatki opadały w ciszy z zaciągniętego szarością nieba. I to nie trzy na krzyż. Było ich pełno. Czulem, jak lądują mi we włosach i ześlizgują się zimnymi kroplami za kołnier.

Żaden ze mnie ekspert, ale byłem pewien, że jest jeszcze za wcześnie

na śnieg, nawet tak daleko na północy.

Tomas próbował opanować hałas, która rzuciła się w radosne pogo.

– Dobrze już, dosyć tego! – krzyczał. – Skracamy wycieczkę. Przygotujcie się do powrotu!

Ustawienie dzieciarni w pary wymagało jeszcze sporej porcji wrzasków. Potem Tomas poszedł na czoło kolumny i wyprowadził ich wszystkich z poręby. Rozejrzałem się za dzieciakiem, który bratał się z wrzeszczącym drzewem. Czy wrócił do grupy? Nie dostrzegłem go. Ponownie przyszło mi na myśl, żeby powiedzieć o nim Tomasowi, ale przyznam, że kusiło mnie też odrobinę, żeby przytrzeć sosnofilowi nosa. Jeżeli po powrocie do domu stwierdzi, że zgubił dzieciaka, to jego moralna przewaga legnie w gruzach.

Wracaliśmy, klucząc przez las ścieżką, której prawie nie było, a śnieg padał. Światło dnia stopniowo wypłukiwała ciemność, aż wreszcie szliśmy w atramentowej czerni okolonej bezkresnym lasem. Wciąż wracałem myślą do tego, co zobaczyłem w pradawnym lesie i za każdym razem czułem ucisk w piersiach, jakby ktoś kładł na nich niewidzialny ciężar.

„To tylko drzewa – powiedziałem sobie. – Nie świruj”.

W pewnym momencie zatrzymałem się i obejrzałem. Cienie wydawały się wylewać spomiędzy drzew, napełniając tunel wokół ścieżki, ale teraz już prawie wcale nie można było odróżnić ich od drzew. Ciemność kłębiła się wielkim rozmazanym wirem antymaterii, który wszystko pochłaniał. Podniosłem głowę i w mroku dostrzegłem nieruchome wierzchołki drzew. Może to śnieg uciszył wiatr. A jednak nadal słyszałem ten sam odgłos, który wcześniej drzewa wydawały poruszane podmuchami. Szszszsz. Szszszsz. Szumiały bez wiatru. Przez ułamek sekundy szum brzmiał jak słowa. Jak cicha rozmowa, której nie sposób zrozumieć. Na tle tych szeptów złowiłem uchem jeszcze jeden odgłos. Ten sam, który wznosił się w niebo, gdy opuszczałem karczowisko starego lasu. Tę dziwną, przejmującą, melodyjną pieśń. Czyżby róg myśliwski? Jeśli tak, to kto polował? I na co? Przecież nie było tam nic poza drzewami.

Szept przybrał na sile, a pieśń niosła się w nieskończoność. Pobrmiewał w niej jakiś ogrom, monumentalizm, którego nie umiałem objąć myślą. Nigdy wcześniej nie było mi tak zimno. Miałem wrażenie, że oddycham lodem.

Znów się odwróciłem. Oczywiście nikt nie zauważył, że mnie nie ma. Peleton wysforował się daleko do przodu tak, że ledwie ich widziałem. Przez chwilę byłem bliski paniki. Nagle zobaczyłem siebie z zewnątrz – małego, słabego człowieczka otoczonego gęstą, ciemną puszcza, która rozciąga się Bóg wie jak daleko. Z mojej perspektywy cały świat mógł równie dobrze zarosnąć lasem, a ja nigdy bym się o tym nie dowiedział, bo i tak byłem już przezeń pochłonięty. A co, jeśli faktycznie byłem jedynym człowiekiem, który pozostał przy życiu? Czy w ogóle bym się o tym dowiedział? Jak zdołałbym odnaleźć kogokolwiek albo cokolwiek poza drzewami?

W tej sekundzie pieśń ustała, ale szepty stały się głośniejsze. Wbiłem ręce w kieszenie i puściłem się biegiem. Pędziłem wąziutką ścieżką wśród drzew, nie oglądając się za siebie. Śnieg ciągle sypał, a jego płatki były coraz większe i grubsze. Kiedy dogoniłem grupę, pokrywał już ścieżkę pod nogami cienką warstwą.

Pierwszy atak podniecenia minął i dzieciaki wydawały się spokojniejsze. Może były zmęczone. Co dziwne, przyjąłem to z rozczarowaniem. Niech wrzeszczą wniebogłosy i narobią takiego rabanu jak nigdy, żeby odgonić to, co zostawiłem za plecami. Żeby odegnać tę kłębiącą się wokół nas i sięgającą po nas ciemność.

Dopiero kiedy dotarliśmy do domu, przypomniałem sobie o tamtym dzieciaku. Opadły mnie wyrzuty sumienia. Skoro już wtedy był w tak kiepskim stanie, to jak musiał się czuć teraz? Ale wtedy Tomas zaczął liczyć grupę. Nie dostrzegłem w niej tamtego chłopaka, ale liczenie nie zakończyło się żadnym lamentem ani zgrzytaniem zębami, więc jednak musiał tu być. Po prostu go nie rozpoznałem, co nie jest specjalnym zaskoczeniem, bo wszystkie dzieciaki miały czerwone kurtki i naprawdę wyglądały identycznie.



Kiedy dotarliśmy do domu, zaczęliśmy strząsać śnieg z ubrań i włosów. Kiedy już mury oddzieliły mnie od wszystkiego, co było na zewnątrz, poczułem się lepiej. Bez dwóch zdań, pradawni ludzie mieli powód, żeby zacząć budować sobie schronienia. Mogli zamknąć drzwi, poczuć się bezpiecznie, zapomnieć o świecie. Pasowało mi to.

– A teraz – zawołał Tomas – pójdźcie wszyscy do jadalni i usiądźcie w ciszy przy stole. Spróbuję nakłonić Dorotę, żeby zrobiła mam gorącej czekolady, okej?

Towarzystwo zaczęło biegać, piszczeć i popychać się wzajemnie, ale nie zrobiło to na mnie takiego wrażenia, jak mogło jeszcze przed dziesięcioma minutami.

– Myślicie, że się utrzyma? – mama stała z Tomaszem i ojcem przy jednym z okien. W jej głosie zabrzmiał niepokój.

Tomas wolno kiwnął głową.

– To możliwe. Ale jedno jest pewne – powinniśmy skrócić turnus. Zadzwońię po autokar i poproszę, żeby jak najszybciej nas stąd zabrali.

– Serio? – Mama wydawała się rozczarowana. – Nie poczeka pan aż pogoda się poprawi?

– Nie sądzę, żeby miała się poprawić – odpowiedział Tomas. Nie wiem, dlaczego w jego głosie pojawił się złowróżbny ton.

– Naprawdę? – odezwał się ojciec. – Myślałem, że nawet tak daleko na północ...

– Tak, spadł wcześniej – przerwał mu Tomas, wpatrując się w drzewa za oknem, które z wolna pokrywały się bielą. – Nigdy przedtem nie padał tak wcześniej. Zastanawiam się... – urwał i zacisnął usta, jakby wcale nie miał zamiaru mówić.

– Nad czym? – ponagliła go mama, marszcząc czoło.

Tomas pokręcił głową, milczał jeszcze chwilę i powiedział.

– Czy to nie jest... ostrzeżenie.

– Ostrzeżenie? – powtórzył ojciec. – Przed czym?

Tomas odwrócił się i spojrzał na ojca.

– Ujmę to tak: w śniegu nie da się prowadzić wycinki, prawda?

Ojciec przez chwilę gapił się na niego bez zrozumienia, a potem parsknął śmiechem.

– Pan chyba żartuje? Że niby sama matka natura nas ostrzega? W życiu nie słyszałem większej bzdury.

Tomas odwrócił się od niego, wzruszając ramionami.

– Pan to powiedział, nie ja.

– Ale właśnie to miał pan na myśli, prawda? – odparował ojciec. W jego tonie słyszałem rozbawienie, które jednak szybko mogło się zmienić w gniew. – To kolejne dyrdymały, które mają odstraszyć kretynów z południa, zgadłem? Niestety, pudło. Słyszysz mnie pan? To nie działa.

Tomas wzruszył ramionami.

– W porządku. Ale na państwa miejscu też bym wyjechał. Bez odpowiedniego przygotowania zimowanie w tym miejscu jest kiepskim pomysłem.

– Skąd pan wie, że nie jesteśmy przygotowani? – spytał ojciec.

Tomas obrzucił go spojrzeniem. – Jak pan uważa – powiedział. – Ale ja muszę zabrać stąd moją grupę. Nie mogę ryzykować, że tu utkniemy odcięci od świata przez śnieg.

I odszedł.

– Będzie mi brakowało dzieci – rzuciła mama w przestrzeń.

Z jadalni dobiegały nas echa zwykłego pandemonium. Zastanawiałem się, jaki będzie ten dom bez niego i tym razem pomyślałem, że świetnie mamę rozumiem.

## Rozdział ósmy

Ten wieczór wszystkie dzieciaki spędziły w jadalni. Tomas pozwolił im przynieść kołdry i poduszki z dormitoriów, po czym cała hałstra rozsiała się kręgiem wokół kominka z kolejną dolewką czekolady. Wszedłem do sali i usiadłem na sofie nie dlatego, że szczególnie uśmiechało mi się ich towarzystwo, ale ponieważ uwierała mnie samotność na górze. Poza tym w sali jadalnej przy ogniu buzującym na kominku i dzięki obecności wielu ciał było ciepło, a ja – mimo upływu godzin – wciąż nie mogłem się rozgrzać. Poniekąd miałem nadzieję, że uda mi się włączyć jedyny w tym domu telewizor, który – ponieważ życie jest okrutne, a dorośli są głupi – był również w tej sali. Okazało się jednak, że za diabła go nie usłyszę, a poza tym podejrzewałem, że i tak nie będzie leciało nic wartego oglądania. Dlatego, udając, że pochłonęło mnie coś w telefonie, starałem się ignorować wszystkich wokół.

Odwróciłem się do nich z powrotem dopiero na dźwięk westchnienia zachwytu, który wydało z siebie kilkoro dzieciaków. Mama umościła się na sofie naprzeciwko mnie i słuchała ich z uśmiechem na twarzy. Ojciec z Tomaszem siedzieli w milczeniu przy dużym stole, przeglądając coś, co wyglądało na mapy lasu.

– I wtedy to zobaczyła – powiedział jeden z chłopców głośnym szeptem. Podniósł obie ręce i zaczął przebierać palcami. – Wisiało w powietrzu jak chmura, ale miało twarz! A wiecie czyją?

– Miriam! – pisnęła jedna z dziewczyn i tak gwałtownie zakryła buzię dłonią, że aż klasnęło.

– Tak – potwierdził chłopak. – Jego martwa żona powróciła, by go prześladować. Wyciągnęła ramiona, o tak... – Zgiął palce w szpony. –

A stary Jakub przewrócił się i dostał nagłego ataku serca. – Chłopak opuścił ramiona w teatralnym geście. – A wiecie, co się okazało, gdy otworzyli grób, żeby pochować Jakuba przy żonie? Że jej trup zapiera się rękami o boki trumny, jakby już po śmierci się... poruszył.

Wśród gromadki rozeszła się fala przerażenia. Gawędziarz zaprezentował pełen satysfakcji uśmiech. „Daleko zajdziesz, chłopaku” – pomyślałem. Wyobraziłem sobie jego karierę: cztery lata w szkole aktorskiej, a potem praca w dziecięcym programie telewizyjnym. Na przykład w roli drzewa.

Przez chwilę milczeli, a potem znalazł się następny opowiadacz. Właśnie tak. W przerażającym, starym domu, w środku śnieżnej zadymy szkodniki urządziły sobie festiwal horrorów. Nie zazdrościłem Tomasowi, bo chociaż opowieści dzieciaków były niemiłosiernie suche, to i tak potem któreś z nich będzie miało koszmary. Ale mamie nie wydawało się to za bardzo przeszkadzać, bo przyglądała im się z niepewnym uśmiechem, więc cóż mogło znaczyć moje zdanie? Serio, skoro czasami sam myślę, że jestem jedyną rozsądną osobą w mojej rodzinie, to musi to o czymś świadczyć.

Po jakimś czasie – zdążyłem się ponownie odwrócić, znudzony – drzwi do sali otworzyły się i wpełzła Dorotea z tacą. Pokonała salę swoim dziwacznym owadzym chodo-biegiem, znalazła się przy dzieciakach i zaczęła zbierać kubki.

Opowieści strasznej treści snuła akurat jedna z dziewcząt. Cicha taka, wyraźnie brakowało jej pewności siebie. Siedziała na swojej kołdrze na podłodze, obejmując kolana ramionami, a gdy mówiła, jej głos lekko się trząsał. Niespecjalnie udawało jej się zainteresować pozostałych, którzy wiercili się i szeptali między sobą. Zrobiło mi się jej żal. Wiem, jak to jest być takim dzieciakiem. W każdej klasie znajdzie się co najmniej jeden: niepasujący do reszty, pochłonięty sprawami, które wszyscy inni mają w głębokim poważaniu. Skazany na wieczne życie na marginesie. Pragnący zainteresowania innych i niezmiennie skrępowany, kiedy już je zdobędzie.

Dziewczyna mówiła, a Dorotea krzątała się wokół, nie bardzo jej pomagając, bo szczekanie pustych kubków o tacę prawie zupełnie zagłuszało opowieść. Zobaczyłem, że mama się chmurzy i pomyślałem, że może coś powie, żeby skrócić męczarnie podlotka, ale milczała.

– Następnej nocy b-była pe-p-pełnia. – Zorientowałem się, że jest to opowieść o wilkołakach, co ostudziło płomień mego współczucia. Co za przypał. Wilkołaki są prawie tak samo czerstwym sucharem z lamusa jak wampiry. Zgodzicie się, no nie? – Augusta sta-anęła przy oknie. Myślała, że je-jest b-bezpieczna, bo przecież Obadiusz nie mógł wejść do środka. A-ale...

Łup! Dorotea rąbnęła tacą pełną fajansu o stół, zagłuszając całą opowieść o zakusach Obadiusza wobec Augusty szcękiem brudnych kubków. Wszyscy aż podskoczyli. Gawędziarka przełknęła ślinę i wlepiła w starą swoje wielkie, przerażone oczy.

Mama wyprostowała się, marszcząc brwi.

– Czy wszystko w porządku, pani Doroteo?

Swoim zwyczajem Dorotea zignorowała pytanie. Była za bardzo skupiona na dzieciakach. Sunęła w ich stronę najeżona i kanciasta, z łokciami wystawionymi na zewnątrz, spiętymi barkami i rozcapierzonymi paluchami, w znacznie bardziej przerażającym geście, niż ten odegrany przez chłopaka z aktorskimi pretensjami. Gdyby wylazła tak na was w ciemnym korytarzu, sami dostalibyście zawału. W sali zaległa kompletna cisza, przerywana tylko trzaskaniem ognia. Wszystkie dzieciaki zastygły, jakby ktoś zatrzymał czas i uwięził je w jego bańce. Przyglądały się nadciągającej gospodyni, przerażone tym, co nastąpi. Nic dziwnego.

– Co wy tam wiecie o strachu? – Jej chrapliwe pytanie rozeszło się po sali głośnym echem. – Żyjecie sobie jak pączki w maśle z waszymi mięciutkimi zabawkami w bezpiecznych domkach pod skrzydłami rodziców.

– Pani Doroteo – podjęła interwencję mama – naprawdę nie sądzę...

– A ten las... – Stara charkotała dalej, nie zważając na moją mamę. –

Ten las rośnie tutaj od zawsze. Jest starszy, niż możecie sobie wyobrazić. Są sprawy, których nigdy nie pojmiecie. Mieszkamy tu, ale nie jesteśmy jego częścią. Ludzie wychodzą do lasu i nie wracają. Rozumiecie? W tym lesie ciągle ktoś ginie. Zawsze tak było. I zawsze tak będzie. Nie wiedzieliście o tym? Weźcie to pod uwagę, kiedy następnym razem pójdziecie go tratować, biegać i skakać, przekonani, że to wszystko należy do was. W tym lesie ciągle giną ludzie. Są i za chwilę ich nie ma. Zapuszczają się między drzewa i nigdy nie wracają. Następnym razem – następnym razem – to może być jedno z was.

Zawisła nad wypłoszoną gromadką, z palcami rozcapierzonymi jak gotowe do ataku szpony.

– Pani Doroteo! – Pełen złości okrzyk mamy mnie zaskoczył. Ona też wstała. – Proszę przestać. Straszy pani dzieci.

Starucha obróciła się do mamy z wyrazem czystej nienawiści na twarzy. Spędziła tu tyle czasu w samotności, że odwykła od przyjmowania poleceń, nawet od własnego pracodawcy.

– A ty... rozpuszczasz je. Rozmiękczasz. Przez ciebie są bezużyteczne – wycodziła. – Nie poradzą sobie w życiu. Co z ciebie za matka?

– Wyjdź stąd! – Głos mamy trząśł się z wściekłości. – Proszę natychmiast wyjść!

Dorotea mierzyła ją wzrokiem przez kolejną minutę. A potem uniosła górną wargę w uśmiechu tak paskudnym, że aż ścierpła mi skóra. Stara podeszła do mamy tak blisko, że prawie zetknęły się nosami.

– Spadł śnieg – rozdarła powietrze szeptem, który wszyscy wyraźnie usłyszeli. – Varulvy nadchodzą. Z każdym dniem są bliżej.

Po czym bez słowa obróciła się na pięcie, przecięła salę swoim przerażającym pół marszem, pół biegiem i znikła za drzwiami. Nikt za nią nie poszedł. Nikt jej nie zawołał ani nie zatrzymał. Milczeliśmy wszyscy zbyt zszokowani, żeby się poruszyć.

– Dosyć tego – odezwał się ojciec po chwili. – Ona musi odejść. I nie obchodzi mnie, że nie ma gdzie mieszkać. Wszystko w porządku, Ingrid?

Podszedł do mamy, która stała jak wmurowana w podłogę. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej ramienia. Strząsnęła ją.

– Tak – odpowiedziała natychmiast, ale jej głos zabrzmiał piskliwie. Odchrząknęła. Kiedy znów się odezwała, jej głos był już spokojniejszy, ale mówiła szybko. – O co jej chodziło? Co to są varulvy?

Tomas wyszedł z za stołu.

– Miejscowi mówią tak na wilki. Nie ma się czego bać. Zimą przychodzi tu kilka sztuk z dalekiej północy, ale jest ich naprawdę garstka w porównaniu z tym, co było kiedyś. Być może zobaczycie je na plantacji, ale one trzymają się z dala od ludzi. Klasyka – one boją się nas bardziej niż my ich. Dorotea chciała was tylko nastraszyć. Do domu się nie zbliżą.

Mama milczała. Odsunęła się tylko jeszcze bardziej od ojca.

– Jestem zmęczona. – Jej głos był stłumiony i wydawał się dobiegać z oddali. – Idę się położyć.

Patrzyłem, jak wychodzi z sali. Ręce jej się trzęsły. Miałem nadzieję, że to jeszcze ze złości na Doroteę, ale czułem, że powód jest inny. Przecież nie mogła się bać. Nigdy nie widziałem, żeby mama się czegoś bała. A skoro nie trzęsła się ani ze złości, ani ze strachu, to z jakiego powodu?

Wolałem o tym nie myśleć.

Tomas podszedł do ojca.

– Wie pan, zimy są tu naprawdę ostre – powiedział. – Z tego powodu przywożę grupy szkolne tylko latem i dlatego teraz chcę zabrać stąd dzieci najszybciej jak to możliwe. I naprawdę sędzę, że państwo też powinni rozważyć wyjazd.

Ojciec oderwał oczy od drzwi, za którymi zniknęła mama. Spojrzał na Tomasa, jakby tamten mówił w obcym języku.

– To jest nasz dom – powiedział beznamiętnie. – Nie będziemy nigdzie wyjeżdżać.

Tomas popatrzył na niego jeszcze przez chwilę i kiwnął głową. Potem odwrócił się do dzieci z szerokim uśmiechem.

– No dobrze. Mam dla was wyjątkową niespodziankę. Odkładałem ją

na ten dzień – powiedział z wyraźnie wymuszoną wesołością. – Chcecie obejrzeć *Iron Mana*?

Dzieciaki odpowiedziały zbiorowym „tak!”, ale było widać, że są zgaszone. Wiedziałem, co czują.



A drzewa wciąż szepczą  
I szepczą bez końca.  
„Pośpieszcie się”, mówią.  
„Bo nam was tu trzeba”.

Lecz my wciąż błądzimy,  
Od lat zagubieni.

„Kim jesteśmy?”, pytamy.

„Słuchajcie tej pieśni”, szepczą drzewa.  
„To dla was śpiewamy”.

## Rozdział dziewiąty

To nie była tylko przelotna zamieć. Śnieg padał przez całą noc aż do rana. Kiedy się obudziłem, pokrywał już wszystko grubą warstwą bieli. Otworzyłem oczy tak wcześnie, że właściwie był jeszcze środek nocy. Ale nawet nie wyglądając przez okno, wiedziałem, że nas zasypało. Dom wydawał się być pogrążony w myślach, jakby na coś czekał. Przez minutę albo dwie miałem wrażenie, że jestem w jego wnętrzu jedynym człowiekiem, tak jakby nie istniało tu nic poza ciszą i przestrzenią. Nawet kiedy włączyłem lampkę nocną, światło było blade i prawie nieobecne.

Spojrzałem na telefon. Była dopiero piąta rano. Nie wydawało mi się, żeby ktoś inny już nie spał, ale wiedziałem też, że ponownie nie zasnę, więc wstałem. Nie włączyłem górnego światła. W półmroku okrążyłem skrzynkę z moimi gratami, której nie chciało mi się rozpakować ani nawet przesunąć, i podszedłem do okna. Kiedy odchyliłem zasłonę, ujrzałem na parapecie pięć centymetrów śniegu. Przez chwilę nie mogłem oderwać wzroku od białej kołdry tuż za szybą.

Wiem, że to zabrzmia wariacko, ale minął jakiś czas, zanim wreszcie odważyłem się spojrzeć na las. Głupek ze mnie, no nie? A jednak było coś w tej ciszy, która wypełniła mi głowę. Coś, czego się bałem, ale jeszcze nie wiedziałem, co to takiego. Nie umiałem przestać myśleć o tym uczuciu, które wypełniło mnie poprzedniego dnia w lesie, a fakt, że teraz byłem bezpieczny pod dachem, wcale nie poprawiał mi samopoczucia.

Kiedy już podniosłem wzrok, zobaczyłem czarną masę drzew. Była tak gęsta, że w pierwszej chwili nie widziałem nic poza ciemnością. Po kilku sekundach wzrok zaczął się przyzwyczajać i wyłoniły się jakieś

szczegóły. Gwiazdy to znikwały, to pojawiały się tam, gdzie majaczyły wierzchołki koron. Zobaczyłem też, że przestało padać. I kiedy tak stałem, wyglądając przez okno, zacząłem dostrzegać biel.

Wydobywała kontury drzew, jakby były naszkicowane węglem na ciemnym podłożu. Przez śnieg ich wierzchołki wydawały się jeszcze bardziej poszarpane niż poprzedniego dnia. Prawie tak, jak bożonarodzeniowe choinki na dziecięcym rysunku – same trójkąty, ostre, nieskomplikowane linie ułożone pod kątem do ziemi.

Żadne drzewo się nie poruszało. Wszystkie stały na baczność jak żołnierze w szeregu, ramię w ramię, tak blisko siebie, że między nimi nie było już miejsca na nic. Głowy trzymały prosto i nieruchomo, z podbródkami w górze. Wpatrywały się w dom. Nie wiem, dlaczego tak pomyślałem. Równie dobrze mogły patrzeć w przeciwną stronę, a mnie pokazywać plecy. Ale nie. Stały przodem do mnie i patrzyły na mnie, na moją tycią figurkę stojącą na wprost swoich szeregów, tak jakby domu wcale nie było.

W tym lesie ciągle giną ludzie.

Pomyślałem o gęstwinie pradawnego lasu, w której znalazłem się poprzedniego dnia. O okropnej ranie, którą mu zadano, i o tym, jak rosnące wokół niej drzewa zdawały się ją opłakiwać. I o tym umierającym drzewie, które inne drzewa zdawały się podpierać i ochraniać. Gdzieś z tyłu głowy znów usłyszałem szepty, które goniły tu za mną, jakby wydawało je coś żywego, przepełnionego gniewem. Usłyszałem też ten drugi dźwięk. Był przenikliwy i przejmujący jak wezwanie do łowów. Ale łowów na co?

I kto miał być zwierzyną?

Patrzyłem tak, patrzyłem i patrzyłem, i czułem, że znikam w ciemności między drzewami.

I wtedy obudziły się dzieciaki.

Poświęćmy teraz chwilkę, by pokłonić się uwodzicielskiej potędze „Iron Mana”. Otóż, w przeciwieństwie do mnie, szkodniki oczywiście nie miały najmniejszych problemów, żeby zapomnieć o paskudnej wieczornej

akcji z Dorotą. A przekonałem się o tym po ich euforycznych wrzaskach na widok kopnego śniegu, które przypuszczalnie było słyhać nawet w kosmosie. Obudziły cały dom – nie tylko mamę, ojca, Tomasa i Dorotę, chociaż oni też pewnie nie zaznali więcej snu, kiedy tylko pierwszy smarkacz otworzył paszczę.

Zamrugalem powiekami. Poruszyłem się. Nagle ustąpiło uczucie kitu w uszach. Wydawało mi się, że dom też się poruszył, jak pies, który otrząsa się po przebudzeniu. Ponownie spojrzałem na telefon. Było po siódmej. A więc stałem przy oknie, gapiąc się na las przez bite dwie godziny.

Na dole, kiedy słońce stanęło ciut wyżej na niebie, śnieg nie wyglądał na tak głęboki, jak nocą. Może to i lepiej, bo w inaczej Tomasa dostałby ataku serca. Zostałem go w towarzystwie rodziców na schodkach przed głównymi drzwiami. Też wyszedłem na dwór, żeby posłuchać, o czym rozmawiają. Kiedy z chrzęstem postawiłem but na śniegu, puch nie zakrył nawet całej podeszwy.

– Autokar przyjedzie jutro – powiedział Tomasz. – Jeżeli nie spadnie więcej śniegu, a temperatura nocą nie obniży się gwałtownie, to uda nam się wyjechać.

– Cieszę się – powiedziała mama, ale ton jej głosu wskazywał na coś wręcz przeciwnego. – Rano widziałam prognozę dla okolicy. Nie zapowiadają żadnych opadów.

– Tych też nie zapowiadali – odpowiedział Tomasz tym samym złowróżbnym tonem, który przyjął wczoraj.

– Spokojnie, nie ma się czego obawiać – powiedział ojciec energicznie, właściwym sobie tonem „wszystko da się załatwić”. – Jeśli spadnie więcej śniegu, to poprosimy, żeby autokar poczekał przy głównej drodze. Ją na pewno odśnieżają. Choćby spadło jeszcze dziesięć centymetrów, nasz SUV tam dojedzie. Przewieziemy dzieciaki na raty, po sześć osób. – Poklepał ekologę po plecach i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Bez nerwów, panie Tomasie. Barbarzyńcy z południa dopilnują, żebyście wymknęli się zła, które tu ze sobą przywieźli.

Tomas nie odpowiedział uśmiechem, ale też dowcip ojca był dość czerstwy.

Ciekawe, ile benzyny zostało w naszym samochodzie i czy ojciec pomyślał o tym, zanim wyszedł z tą propozycją. Z pewnością nie przyszło mu do głowy, że po odwiezieniu dzieciaków my też powinniśmy mieć jakiś plan ewakuacyjny na wypadek, gdybyśmy jednak nie byli gotowi utknąć tu na wieki. Ale pewnie kombinował, że za dzień lub dwa śnieg stopnieje, a on będzie grzał tyłek w naszym idiotycznie wielgaśnym i pustym domiszczu, nabijając się z panicznej, żalösnej i głupiej ucieczki Tomasa.

Nie włączyłem się do rozmowy. Nie posłuchali mnie, kiedy mówiłem, że przyjazd w to miejsce jest szaleństwem, więc z pewnością teraz też nie posłuchaliby, gdybym powiedział, że powinniśmy stąd wyjechać, póki jeszcze się da. A zresztą, co ja tam wiedziałem? Może to ojciec miał rację, a Tomas zachowywał się w tej sytuacji jak idiota? Historia zna dziwniejsze przypadki.

Ale nie miałem wątpliwości, że jest inaczej.

Drzewa znów zaczęły się poruszać. Ciężkie pecyny śniegu kołysały się na ich gałęziach, a potem, jedna po drugiej, zaczęły zsuwać się wolno pod naporem wiatru i spadać na ziemię z miękkim łupnięciem. Hłup. Hłup. Hłup.

Wbiłem ręce w kieszenie i wróciłem do domu w poszukiwaniu śniadania.

## Rozdział dziesiąty

Miałem nadzieję, że śnieżna histeria osłabnie po śniadaniu, ale nic z tego. Śnieg padł dzieciakom na mózg i zmienił je w stado zombiaków. Takich, które mogły nic innego nie robić, tylko biegać w kółko, ganiać się i drzeć paszcze. Jeśli się nad tym zastanowić, prawdziwe zombie byłyby w takiej wersji dość nieszkodliwe, ale w wydaniu dziecięcym był to istny koszmar.

Robiłem, co mogłem, żeby odciąć się od tego jazgotu. Pomyślałem, że przeczekam zamieszki w moim pokoju. Szkodniki błagały Tomasa, żeby pozwolił im wyjść i pobawić się na śniegu, ale odmówił. Bał się chyba, żeby nie pokaleczyły się o puch. To skłoniło je do znalezienia sobie nowych, niezwykłych rozrywek, które uprzykrzały życie wszystkim pozostałym, bo zabawa odbywała się na maksymalnym poziomie głośności.

Żeby zająć czymś głowę, zabrałem się za rozpakowanie skrzynki z moimi gratami. Byłem w połowie roboty, gdy nagle coś dotarło do mnie przez mgiełkę nieszczęścia, która mnie spowijała. To był ten dźwięk, który słyszałem w dniu przyjazdu, ten sam upiorny, melodyjny ton przypominający róg myśliwski. Oderwałem wzrok od rzeczy w skrzynce i zacząłem nasłuchiwać. Tym razem brzmiał inaczej, ponieważ dobiegał... z wnętrza domu. Co więcej, to wcale nie był róg myśliwski. Byłem pewien, że to ludzki głos.

Podszedłem do drzwi na korytarz i otworzyłem je, nasłuchując. Nie zniknął nawet we wrzawie dziecięcej zabawy. Milkł i znów się odzywał. Czasami wydawało mi się, że słyszę więcej niż jeden głos naraz. Omijając slalomem grasujących na lewo i prawo dziesięciolatków, poszedłem za nim. Doprowadził mnie do dormitorium chłopaków. Zatrzymałem się na

chwilę i przyłożyłem ucho do starych drewnianych drzwi.

Dźwięk zdecydowanie dobiegał z wnętrza.

Otworzyłem szybko drzwi i z walącym sercem wszedłem do środka. Na łózkach siedziało czterech chłopaków. W ich wyglądzie nie było nic złowrogiego, ale miało się wrażenie, że coś przeszkrobali. Ale przecież niepilnowana grupa małych chłopców zawsze tak wygląda. Gapiliśmy się tak na siebie przez dobrą minutę.

– Co robicie? – spytałem.

– Nic – odpowiedzieli chórem, nie wzbudzając we mnie żadnych podejrzeń. No, absolutnie żadnych.

Rozejrzałem się po pokoju. Nie było tu nic, co mogło być źródłem tego dźwięku. Musieli wydawać go chłopcy.

– Który z was wydawał te dźwięki? – spytałem. – Ten dziwny ni to śpiew, ni to gwizdanie. Wiem, że dobiegał stąd.

Spojrzeni po sobie, a potem utkwili oczy w podłogę.

– To my – odpowiedzieli.

– Dlaczego? – spytałem. – I co to za dźwięk?

Chłopak, który odpowiedział mi wcześniej, mrugnął oczami i spojrzał na pozostałych.

– My się tylko tak bawimy. Dziewczyny się go boją i to jest śmieszne.

– Ale po co? – spytałem znowu. – I dlaczego się boją?

Wszyscy znów spojrzeli po sobie, a chłopak wzruszył ramionami.

– Bo taki odgłos wydają duchy – powiedział.

– Kto?

– No, duchy – wyrwał się z odpowiedzią inny chłopak. – Te z lasu.

Wszyscy spojrzeli w stronę okna. Ale zasłony były zaciągnięte.

– Duchy? – Wysiliłem się na rozbawiony ton. – Skąd wam przyszło do głowy, że w lesie są duchy?

Pierwszy chłopak przeniósł spojrzenie na mnie.

– Bo wydają ten dźwięk – odpowiedział z logiką godną dziesięciolatka.

– Aha – powiedziałem. – A może któryś z was wie, co to jest, tak naprawdę?

Wszyscy spojrzeli na mnie, jakby ani słowa nie zrozumieli.

– Jasne – odezwałem się w końcu. – Rozumiem. To duchy, tak? Oczywiście macie rację. No dobra. To wyjdzie sobie dalej, ale cicho, bo niektórzy próbują tu zebrać myśli.

Wyszedłem z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Przez jakąś minutę trzymałem jeszcze rękę na klamce. W środku – nie wiem dlaczego – znów poczułem chłód. Chyba dobrze, że dzieciaki słyszały to samo co ja, prawda? To był dowód, że nie zwariowałem. Fakt, że nie dowiedziałem się, skąd ten odgłos pochodził, ale wiedziałem już prawie na bank, co go nie wydawało. No bo, bądźmy poważni, kto przy zdrowych zmysłach wierzy w duchy?

Wróciłem do swojego pokoju i skończyłem rozpakowywać skrzynkę. W porze obiadu jeszcze raz przedarłem się przez młodociane wariatkowo i poszedłem na dół do jadalni. Dorotea przygotowała dla nas szwedzki stół, choć może to określenie jest zbyt górnolotne. Posiłek składał się w całości z kiełbasek i tłuczonych ziemniaków podanych w dużych srebrnych półmiskach, wygrzebanych z tego samego lamusa, co i cały dom. Właśnie nakładałem sobie na talerz puree, kiedy weszła mama. Zerknąłem w jej stronę i zastygłem. Wydała mi się dziwnie nerwowa, co zupełnie do niej nie pasowało. Przecież w sądzie była twarda, zabójczo elegancka i skuteczna jak bulterier. Nie znosiła głupoty. Ale nerwy? To nie ona. Za Chiny Ludowe! Wyobraźcie sobie welociraptora w mięciutkich futerkowych kapciuskach. Lekki dysonans, co nie? Przypomniałem sobie jej roztrzęsione ręce po starciu z Doroteą przy wieczornym festiwalu historyjek o duchach. Nie podobało mi się to.

Potem wszedł Tomas i zamknął za sobą drzwi. Uśmiechnął się do mamy.

– Pomyślałem, że wymknę się na kilka minut – wyznał. – Mam nadzieję, że przynajmniej w czasie obiadu będą cicho.

Najwyraźniej „cicho” było w słowniku Tomasa pojęciem względnym,



bo nadal wyraźnie słyszałem stłumiony pomruk dziecięcych harców, mimo że dzieliły nas od nich dwa pomieszczenia, korytarz i dwoje zamkniętych drzwi. Mama nie uśmiechnęła się, a tylko lekko zmarszczyła brwi.

– Wiem, że się nudzą, kiedy nie mogą wyjść na dwór – powiedziała. – Ale lepiej, żeby trzymał je pan z dala od poddasza. Może tam być niebezpiecznie.

– Oczywiście – odpowiedział Tomas. – Ma pani absolutną rację. To prywatna przestrzeń Dorotei, dlatego dzieciaki mają zakaz wstępu na strych. Żadne z nich tam nie wchodzi.

– A jednak tak. Rano widziałam na poddaszu chłopca. Przechodziłam obok schodów i usłyszałam kroki. Stał na górze. Zawołałam go, ale uciekł.

Tomas zmarszczył czoło.

– Serio? Jest pani pewna? To są grzeczne dzieciaki i wszystkie wiedzą, że nie wolno im tam wchodzić.

– Z pewnością im pan to mówił i wiem, że są grzeczne, ale wiem też co widziałam. Może powinien pan znów z nimi porozmawiać. Przecież nie chcemy, żeby zdarzył się wypadek.

– Ma pani rację. Porozmawiam z nimi. Którego chłopca pani widziała? I czy zszedł na dół?

– Stał za daleko. Nie rozpoznałam go. Poszłam za nim na górę, ale zniknął. Na pewno się gdzieś schował i wrócił ukradkiem na dół, kiedy nie patrzyłam.

Na chwilę zapadła cisza. Tomas zmierzył mamę spojrzeniem, które niezbyt mi się podobało. Wtedy drzwi znów się otworzyły i do środka wpęła Dorotea.

– Doroteo – natychmiast odezwał się Tomas – pani Stromberg martwi się, że któreś z dzieci wchodziły na poddasze.

Gospodyni się zaśmiała. A raczej przez cztery sekundy wydawała z siebie odgłos przypominający rżenie duszonej kury.

– Nie.

– Nie? – Pytanie mamy zabrzmiało nieco wyższą nutą. Myślę, że wciąż była nieco wkurzona po konfrontacji z Doroteą. – Jak to nie?

– Wiedzą, że nie wolno tam chodzić – odpowiedziała stara.

– Ale dziś rano widziałam tam chłopca.

– Nie. – W cichym głosie Dorotei zawisła groźba. – Nie widziałas. Dzieci tam nie chodzą. Wiedziałabym, gdyby któreś tam weszło.

– Być może to był pierwszy raz. Tak czy inaczej...

– Nie – przerwała jej Dorotea, jak gdyby to jedno słowo wystarczało za argument kończący sprawę.

– Proszę posłuchać, pani Doroteo, ja...

Gospodyni machnęła ręką.

– „Być może” masz zwidy. – Jej ton był tak samo lekceważący jak gest.  
– Niektóre kobiety je miewają.

Mama się zjeżyła.

– Słucham?!

Dorotea minęła ją już i zabrała się za zbieranie pustych talerzy.

– Niektóre kobiety mają słabe głowy – odpowiedziała. – Śnieg wywołuje u nich zwidy. Zdarza się.

Nie pamiętam, żeby kiedyś udało mi się rozsierdzić mamę do tego stopnia, a ponieważ jestem jej synem, więc mam w tym temacie sporo praktyki.

– Jak pani śmie? – zaczęła. – Mówię pani, że widziałam...

Tomas wysunął się do przodu z podniesionymi rękami. – Spokojnie. Porozmawiam z dziećmi. To się więcej nie zdarzy. Zgoda?

Zapadła cisza, w której mama ani Dorotea nie odpowiedziały Tomasowi ani sobie nawzajem. Potem gospodyni znowu ruszyła w stronę drzwi. Mijając mamę, wymamrotała ukradkiem ciche, pełne jadu i zawiści, ale wyraźnie słyszalne zdanie.

– Nie było żadnego dziecka.

Chciałem, żeby mama coś zrobiła. Mogła popchnąć tę starą ropuchę albo coś, sam nie wiem. A niechby szkarada wygrzmociła się na tę swoją górę porcelany. Ale mama nic nie zrobiła. Co więcej, na jej twarzy nie dostrzegłem złości, ale... strach. Moja nieustraszona, bezkompromisowa matka się bała.

Przez chwilę panowała przerażająca cisza.

– Wie pani co? – Głos Tomasa zabrzmiał niezręcznie. – Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pomogła mi pani zająć się dziećmi popołudniu. Mną już się znudziły, a panią uwielbiają.

Mama podniosła oczy z bladym uśmiechem, ale nie spojrzała Tomasowi w twarz.

– Oczywiście. A co pan planował?

Dopiero kiedy wyszli, zdałem sobie sprawę, że mama nie tknęła obiadu.

Po południu Tomas i mama próbowali organizować jakieś zabawy dla dzieciaków w ich jadalni. Jazgot się nie zmniejszył, ale przynajmniej wszystkie szkodniki były w jednym miejscu. Postanowiłem oddalić się od nich maksymalnie i w tym celu poszedłem do biblioteki. Spodziewałem się ciut lepszego ubawu niż przy kontemplowaniu schnącej na ścianie farby. Jednak kiedy otworzyłem drzwi, okazało się, że był tam już mój ojciec. Siedział przy jednym ze stolików nad rozłożoną mapą lasów. Obok niej leżała podkładka z listą sprzętu do wycinki, który znaleźliśmy w stodole.

Nie chciałem, żeby ojciec wynalazł mi jakieś obowiązki, więc wycofałem się z biblioteki i zamknąłem za sobą drzwi. Stałem z minutę na korytarzu, zastanawiając się, co mam robić. I wtedy przypomniałem sobie o odkrytym wcześniej gabinecie z biurkiem pełnym cudzych gratów.

Pewnie sami byście tam nie poszli, ale ja nie miałem nic lepszego do roboty.

Wciąż śnimy.

O twarzach i miejscach, splątanych i rozdartych. Nie  
znajdziesz ich w lesie. Nie śnieg je tu przyniósł.

Krążymy, bez dróg. Zagubieni.

„Nie myślcie o niczym, prócz nas”,  
szepczą drzewa.

„Należycie do nas. Pamiętajcie o nas. I o tym, co nam  
należyne.

Wysłuchajcie się w pieśń”.

## Rozdział jedenasty

Zatrzymałem się przed drzwiami do gabinetu i rozejrzałem po korytarzu, żeby mieć pewność, że nikt nie widzi, jak tam wchodzę. Ale nie dlatego, że bałem się problemów, gdyby ktoś mnie zobaczył, bo w końcu to był mój dom, prawda? Ale jednak wolałem uważać na Dorotę. Na korytarzu nikogo nie było, więc obróciłem klamkę i wszedłem do środka.

Zastałem wszystko dokładnie tak jak wtedy, gdy byłem tu po raz pierwszy. Gabinet miał dwa duże okna w bocznej ścianie domu, pozostałe trzy ściany były kompletnie zastawione regałami pełnymi książek, z wyjątkiem miejsca na drzwi i duży kominek. Przed kominkiem stał wielki stary fotel z zielonej skóry. Wyglądał na drogi. Znane mi już ogromne drewniane biurko stało w drugim końcu pokoju, pod ścianą książek. Jego blat obity był skórą, również zieloną, i miał złoconą krawędź. Stojące za biurkiem krzesło też było stare i zrobione z drewna. Na biurku zobaczyłem zieloną lampę z uchylanym kloszem, telefon starego typu i stosy papierów.

Brak komputera był nie tylko rozczarowujący, ale też potęgował starodawny klimat gabinetu. Miałem wrażenie, że cofnąłem się w czasie.

Usiadłem na krześle za biurkiem, zastanawiając się, kto jako ostatni siedział na nim przede mną. To niezły odjazd – kombinować, jak wyglądało życie w jakimś miejscu, zanim my się tam pojawiliśmy. Całej masy rzeczy nigdy się nie dowiemy. Większość ludzi powie, że to, kto siedział na tym samym krześle co ty, nie ma żadnego znaczenia i że – ogólnie rzecz ujmując – rozkminianie takich spraw jest oznaką głupoty. No to się przed wami odkryłem, co nie? Ba! Myślę sobie, że kiedyś ktoś

zasiądzie na tym krześle i wcale nie będzie miał pojęcia o moim istnieniu. A przecież w tamtej sekundzie owo krzesło było całym moim życiem. Właśnie to w tamtym miejscu i w tamtej chwili robiłem: całym sobą – siedziałem. A jednocześnie ktoś inny miał to w głębokim poważaniu. Aż strach pomyśleć, prawda? Jak niewiele znaczymy – pyłki na wielkiej rzece czasu! Sprawy toczą się swoim nurtem, niezależnie od tego, czy jesteśmy, czy nas nie ma.

Wysunąłem prawą górną szufladę, tak jak ostatnio, kiedy zaglądałem do biurka, ale tym razem przyjrzałem się uważniej. Wyjąłem całą zawartość, położyłem na blacie i przystąpiłem do badania stosu papierzyk, strona po stronie. Niektórych kręci czytanie cudzych sekretów, ale przy tej lekturze nawet najbardziej wścibskie mendy padłyby z nudów. Były tam wyłącznie dokumenty dotyczące plantacji – ilość pozyskanego drewna, limity wyrębu, koszty robocizny, koszty obsługi i tym podobne dyrdymały. Niby o kasie, a jednak straszna nuda. Odłożyłem makulaturę tam, skąd ją wyjąłem i przystąpiłem do badania następnej szuflady, w której czekała mnie powtórka z rozrywki.

Myślałem już, żeby sobie odpuścić. Góra papierów o... niczym. I wtedy, pośród wagonu bibuły w środkowej szufladzie po prawej stronie, dostrzegłem zagrzebany kształt. Był to średniej wielkości notes oprawiony w czerwoną skórę, z gumką obejmującą okładki, dzięki której pozostawał zamknięty. Wyjąłem go i od razu rzuciło mi się w oczy, że coś jest w środku, bo przednia okładka była lekko wybrzuszona.

Położyłem notes na biurku i otworzyłem go. Pod okładką znalazłem siedem fotografii. Były tam trzy czarno-białe zdjęcia rodzinne, takie jak to, które odkryłem w pokoju na piętrze. Ale moją uwagę przykuły pozostałe cztery. Były to kolorowe polaroidy.

Oddzieliłem je od pozostałych zdjęć i obejrzałem jedno po drugim. Kiedy się im przyglądałem, poczułem na karku zimny powiew, który musiał dostać się tu z zewnątrz domu. Na trzech zdjęciach widniał ten sam gość – sam je sobie zrobił. Ocenianie wieku idzie mi słabo, ale mógł mieć trzydzieści kilka lat. Był blady, a blond włosy miał tak jasne, że wyglądał

jak albinos, ale nie wiem, czy faktycznie był albinosem, bo oczy miał na wszystkich zdjęciach zasłonięte wielkimi ciemnymi okularami.

A jednak to nie on zmroził mi krew w żyłach, chociaż z tą pozbawioną uśmiechu facjatą przypominał aryjską wersję ponurego żniwiarza. Prawdziwą rewelacją było to, co działo się w tle. Gość robił sobie zdjęcia po katastrofach, które właśnie przeżył.

Na każdej z fotek był śnieg, więc uznałem, że wszystkie zrobiono zimą. Żeby cyknąć pierwszą z nich, facet wlaźł chyba na drzewo dla uzyskania lepszego ujęcia, bo punkt widzenia był wysoko, a na brzegu kadru widać było rozmazane gałęzie. Było tam zamrożone jezioro, a przy jego brzegu stał tir złamany jak scyzoryk. Ewidentnie wpadł w poślizg i wjechał na lód. Kabina znajdowała się na linii wody, a drzwi kierowcy, który zdołał się wydostać – były otwarte. Lód pękł pod ciężarem pojazdu, a poszarpana szczelina biegnąca spod przedniego koła dzieliła lód na dwie części. Naczepa z klatką – podobna do tych, które znaleźliśmy w stodole – chyliła się ku wodzie, a przewożone kłody zaczęły się już z niej wysuwać. Nie było wątpliwości, że tir tonie. Ciekawe, jaką głębokość miało to jezioro, bo woda widoczna w szczelinie była prawie czarna.

Drugi portret facet zrobił sobie na tle drzewa zwałonego w poprzek wąskiej drogi. Niby nic nadzwyczajnego, ale drzewo to przygniatało maskę czerwonej terenówki, którą – jak zgaduję – chwilę wcześniej jechał. W popękanej przedniej szybie ziała dziura – pewnie właśnie tam, upadając, uderzyło monstrualne drzewo. Gość miał szczęście, że w samochodach montuje się teraz hartowane i laminowane szyby, bo gdyby to było zwykłe szkło i gdyby się roztrzaskało, kiedy siedział za kierownicą, to wyglądałby jak mielone mięso z horroru. Z odłamkami szkła wbitymi w oczodoły nie cykałby sobie tak ładnego selfika.

Trzecie zdjęcie przedstawiało pożar. Z dziwnym skurczem żołądka rozpoznałem stojącą blisko domu starą drewnianą szopę na drewno opałowe, tę obok stodoły ze sprzętem.

Ale najbardziej zmroziło mnie ostatnie zdjęcie. Tylko tutaj nie było na pierwszym planie gościa w okularach przeciwsłonecznych. Był za to

rozmyty śnieg. Niby nic takiego, no nie? Tylko że na śniegu była krew – jasnoczerwone krople na bieli. Coś w tym zdjęciu sprawiło, że naprawdę skoczyło mi tętno. Krew była zbyt czerwona i jaskrawa, jak na noc. Bo takie akcje dzieją się chyba nocą, no nie? Uprzedzając pytanie: sam nie wiem, jakie „akcje” mam na myśli.

Ułożyłem wszystkie zdjęcia na stole i przez jakiś czas przyglądałem im się, niepewny natury znaleziska. Potem wziąłem do ręki notes, w którym były zamknięte, w nadziei, że zawiera on jakieś wyjaśnienie. Wyrwano z niego kilka kartek, ale reszta była niezapisana. Poniosłem jeszcze raz zdjęcie z tirem na lodzie i odwróciłem je w poszukiwaniu daty. Są ludzie, którzy datują swoje zdjęcia, ale albinos do nich nie należał. Zamiast daty znalazłem na odwrocie nabazgrany poszarpanymi literami wyraz „Gwoździe”. Wziąłem do ręki zdjęcie z terenówką. Na jego odwrocie był napis „Piła”. Natomiast z tyłu polaroidu z pożarem szopy, tym samym pośpiesznym odręcznym charakterem napisano „Benzyna”.

Zdjęcie z krwią na śniegu nie miało żadnego opisu.

Gapiałem się przez jakiś czas na fotografie, próbując znaleźć w nich sens i wtedy coś usłyszałem. Jakiś cichy dźwięk z nieokreślonego źródła, który zbliżał się do mnie i narastał. Kroki. Rozbrzmiewały regularnymi tupnięciami. To nie mogło być nic innego. Spojrzałem na drzwi, bo wydawało mi się, że kroki zbliżają się do gabinetu. Nie mogło być inaczej. Byłem pewien, że ten ktoś, kto je wydawał zaraz wejdzie do środka. Ale nie wszedł. Kroki zaczęły się oddalać. Co dziwne, przez chwilę zdawało mi się, że dochodzą z za moich pleców. Ale przecież nie mogły, bo za mną stał tylko regał z książkami. Obejrzałem się, żeby się upewnić. Regał.

Dobiegający z za drzwi dziecięcy jazgot nagle spotężniał. Najwyraźniej Tomasowi i Mamie skończyły się strategie poskramiania hałastry. Słyszałem tupot, piski i krzyki. Aktualna zabawa polegała chyba na gonitwie po schodach i testowaniu wytrzymałości bębenków słuchowych. Ale w tamtym momencie mi to nie przeszkadzało. Hałas odpędza demony tak samo skutecznie jak światło słońca. Wróciłem do studiowania fotografii.



I wiecie co? Według mnie wyrazy nabazgrane na odwrocie miały wyjaśniać uchwycone na nich sytuacje. Gwoździe wbite w opony wielkiego tira mogły spowodować, że wpadł on w poślizg na oblodzonej drodze i złożył się jak scyzoryk, prawda? Słowo „Benzyna” na fotografii przedstawiającej pożar też nie było specjalnie zagadkowe. Ale co to wszystko miało znaczyć? Za diabła nie wiedziałem.

Tupot za drzwiami nasilił się. Dobiegło mnie też skandowanie. Dzieciaki liczyły. Wydaje mi się, że urządziły zawody w skokach w górę i w dół schodów.

Odsunąłem polaroidy na bok i podniosłem te starsze zdjęcia. To, że wszystkie fotografie zebrano razem, musiało mieć jakieś znaczenie, ale nie wiedziałem jakie. Polaroidy z wypadkami i rodzinne zdjęcia retro wydawały się nie mieć ze sobą związku. I wtedy coś do mnie dotarło. Kiedy oglądałem te zdjęcia po raz pierwszy, założyłem, że przedstawiają członków jednej rodziny. Tej samej, której fotografię znalazłem na piętrze. Zmyliło mnie to, że wszyscy stali w podobnych pozach, a zdjęcia były czarno-białe, a jednak każde z nich przedstawiało zupełnie innych ludzi. Ale bez wątplenia wszyscy mieszkali w tym domu, bo każde zdjęcie przedstawiały jego front i drzwi wejściowe.

Wszyscy trzej ojcowie wyglądali na surowych, a matki zdawały się nieobecne. Na jednym zdjęciu był mały chłopiec, a na obu pozostałych starszy chłopiec i młodsza dziewczynka. Obok rodzin ustawiono w szeregu wychudzoną, ale nienagannie ubraną służbę gapiącą się w aparat bez cienia uśmiechu.

ŁUP!

Drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie i uderzyły o stojący za nimi regał z książkami. Aż podskoczyłem, upuszczając wszystkie zdjęcia. Rozsypały się po podłodze. W drzwiach stała Dorotea. Na jej twarzy malowała się totalna furia.

– Ty! – wyskrzeczwała, ale jej głos prawie utonął w tsunami wrzaskliwego śmiechu dzieciaków. – W prywatnym gabinecie pana! JAK ŚMIESZ!?

Rozdziawiłem usta, ale słowa, które miały się z nich wydobyć, zostały zagłuszone przez potężny, rozchodzący się echem trzask. Wybuchł w korytarzu jak bomba.

A po nim rozległy się prawdziwe krzyki.

## Rozdział dwunasty

Wyskoczyłem zza biurka, dopadłem drzwi, przecisnąłem się obok Dorotei i popędziłem korytarzem. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem, była ogromna, poszarpana dziura w podłodze. Ziała dokładnie pod pierwszym stopniem głównych schodów. Dzieciaki zebrały się wokół niej, niektóre klęczały nad krawędzią, i krzyczały w jej głąb. Inne stały nieco dalej, przerażone i bliskie płaczu.

Po chwili zjawiała się moja mama, a zaraz za nią Tomas. Za moimi plecami wyrósł ojciec.

– Co się stało? – zadudnił Tomas – Powiedz mi, Markusie!

Nagabnięty chłopak był blady, ale nie płakał.

– Alisa tam wpadła – wskazał na dziurę.

Mama zasłoniła usta dłonią.

– O mój Boże!

– Aliso? – krzyknął Tomas w głąb dziury. – Słyszysz mnie?

Odpowiedzi nie było. Mama uklękła przy krawędzi dziury i pochyliła się.

– Widzę ją!

Przepchnąłem się między szlochającymi dziećmi, które stały jak bezwolne posągi.

– Odsuńcie się – powiedziałem do nich. – Jeżeli podłoga jest spróchniała, to może się pod wami zarwać! Idźcie na górę, na dwór albo gdziekolwiek, ale nie stójcie tutaj.

Ojciec kiwnął głową.

– Właśnie. Dzieci, wiem, że się wystraszyłyście, ale pozwólcie nam

działać. Zróbcie miejsce, a my pomożemy Alisie.

– Czy tam jest piwnica? – spytała mama.

Tomas miał ponurą minę.

– Najwyraźniej, chociaż nie wiedziałem o jej istnieniu. Nie miałem pojęcia, że dom ma podziemną kondygnację. Musimy tam zejść.

– Pani Doroteo! – zawołał ojciec. – Gdzie ona jest? Czy nie słyszy, co tu się dzieje? Dorotea!

Spojrzałem w stronę korytarza. Wcześniej stała w drzwiach gabinetu, a teraz zniknęła. Pomyślałem, że weszła do pokoju, ale potem zobaczyłem, jak wychodzi drzwiami prowadzącymi do kuchni. Nie miałem czasu, żeby rozkminiać, jak się tam znalazła.

– Zdarzył się wypadek – powiedziała mama resztką powietrza w płucach. – Jedno z dzieci tam wpadło. Musimy zejść do piwnicy.

– Pokaż nam, gdzie jest wejście – dodał Tomas.

Starucha wbiła wzrok w dziurę, ale nie wydawała się specjalnie zainteresowana ani nią, ani losem biedaczki leżącej gdzieś tam na dole w ciemnościach.

– Nic tylko psuć i niszczyć – powiedziała z nutą odrazy. – Biegają. Hałasują. Sama jest sobie winna.

Ojciec rzucił się w jej stronę. Przez chwilę byłem pewien, że babsztyla udusi, ale złapał ją tylko za ramię.

– Pokaż, gdzie są te drzwi! – ryknął jej prosto w twarz.

Dorotea wyrwała się ojcu i spojrzała na niego z nienawiścią.

– Zabite deskami – rzuciła, jakby to cokolwiek wyjaśniało.

Tomas zerwał się na równe nogi. Mama z całych sił krzyczała w głąb dziury, jak gdyby od natężenia jej głosu zależało, czy dziewczynka odpowie. Jakby nie było opcji, że leży tam martwa, a tym samym niespecjalnie może użyć strun głosowych. To drugie wydawało mi się bardziej prawdopodobne.

– Do jasnej cholery! – wrzasnął Tomas. – Gdzie one SA?!

Dorotea obrzuciła Tomasa i ojca złym spojrzeniem, po czym odwróciła się na pięcie. Wszyscy ruszyliśmy za nią, tylko mama została nad dziurą, wciąż nawołując Alisę. Gospodyni poprowadziła nas do korytarza po prawej stronie holu wejściowego.

– Szybciej! – syknął ojciec. Musiał się powstrzymać, żeby nie zmusić starej do biegu szturchańcem.

Zignorowała go. Zatrzymała się przed dużym drewnianym kredensem stojącym naprzeciwko drzwi do sali jadalnej. Widziałem go wcześniej, ale nie zwróciłem na niego uwagi. Był wypełniony starymi talerzami i kubkami. Babcine szafki są zwykle pełne takich skorup, których nigdy się nie używa. Gospodyni wskazała mebel ruchem brody.

– Za tym? – spytał Tomas. – O, Chryste. No dobrze.

Razem z ojcem ustawili się po obu stronach kredensu. Zapierając się ile sił, zaczęli odsuwać go od ściany. Zastawa posypała się z półek i głośno roztrzaskiwała o podłogę.

– Nie! – wydarła się Dorotea. Próbowwała szarpać się z Tomaszem, ale ją odepchnął. Na podłodze rozbijało się coraz więcej talerzy i misek, pokrywając cały korytarz warstwą wzorzystych odłamków porcelany.

Za odsuniętym kredensem znajdowały się drzwi z surowego drewna, zablokowane przybitymi na krzyż deskami.

Ojciec potarł twarz drżącą dłonią.

– Jeszcze tego brakowało!

Tomas nie przerywał akcji. Naciągnął rękawy swetra na dłonie, chwycił górną deskę i zaczął szarpać. Ojciec przyłączył się do niego, a potem ja też im pomogłem. Drewno było nieoheblowane i wszędzie wystawały z niego gwoździe, co wskazywało na to, że drzwi zabijano w pośpiechu. Gdy oderwała się pierwsza deska, dostałem w twarz fontanną drzazg. Z drugą poszło łatwiej, bo była spróchniała.

Z głębi korytarza wciąż dochodziło wołanie mamy, co jakiś czas przerywane ciszą w nadziei na odpowiedź dziewczynki. Głos mamy był teraz znacznie łagodniejszy. Podobnie mówiła do mnie, kiedy chorowałem

w dzieciństwie. Godzinami siedziała przy moim łóżku, głaskała mnie po głowie i przemawiała kojąco. Przez chwilę starałem się przypomnieć sobie, kiedy przestała to robić.

Udało się oderwać ostatnią deskę, ale teraz trzeba było otworzyć drzwi. Były zamknięte na klucz. Dacie wiarę? Nikt nic nie powiedział – nie sądzę, żeby cokolwiek jeszcze mogło nas zaskoczyć. Przez chwilę Tomas szarpał się z klamką, po czym uniósł nogę i zasadził kopa w zamek.

Po drugiej stronie kłębiła się smolista ciemność. Mimo światła wpadającego przez wybitą w podłodze dziurę prawie nic nie można było dostrzec. Wyjąłem z kieszeni telefon i włączyłem podświetlenie ekranu. Nie świecił zbyt jasno, ale lepsze to niż nic.

Za drzwiami znajdowały się schody. Światło komórki ledwie wydobywało z mroku dwa górne stopnie. Tomas precisnął się naprzód. Bał się chyba, że stopnie schodów też mogą być spróchniałe. Ojciec nie pozwolił mi wejść, dopóki Tomas nie znalazł się bezpiecznie na dole. Potem sam zagłębił się piwnicy, a ja ruszyłem za nim.

Nikłe światło padające od drzwi na górze rozmywało się kręgiem u podnóża schodów. Na podłodze dostrzegłem sylwetkę dziewczynki. Dobiegł mnie też jakiś odgłos, ale inny niż miękkie nawoływanie mamy z góry. Jęki i stękanie. Dochodziły od leżącego ciała.

– Aliso? – zawołał Tomas cicho.

Nie wyglądała dobrze. To znaczy żyła – więc oczywiście odczuliśmy ulgę – ale też nie była całkiem przytomna. Jednak kiedy zobaczyliśmy, w jakim jest stanie, chyba wszyscy uznaliśmy, że to dobrze, że się nie ocknęła.

– O Boże – mruknął ojciec.

Wokół Alisy było mnóstwo krwi. Spadając, załamała nogę. Nie był to zwykły uraz, ale paskudne złamanie otwarte. Kość pękła na dwoje, a jej poszarpany koniec wyrwał dziurę w skórze. Niczego takiego wcześniej nie wiedziałem. W każdym razie nie na żywo. Zmiażdżona kość i chrząstka połyskiwały w świetle telefonu. Pod Alisą połyskiwała ciemna kałuża. Krew rozlewała się potężniejącym, ciemnym jeziorem, a na nim,

jak miniaturowe szczątki tonącego statku, pływały drobiny kurzu z brudnej podłogi.

– Nie powinniśmy jej ruszać – głos ojca drżał. – Jedną ranę widać, ale może też mieć inne, niewidoczne obrażenia.

Miał rację. Wyobraziłem sobie, ile bólu sprawiłaby jej próba przenosin.

Tomas krzyknął w stronę dziury w suficie.

– Niech pani wezwie pogotowie lotnicze!

Rozległ się słaby odgłos szurania, a potem ktoś przebiegł po deskach podłogi nad naszymi głowami. W oczekiwaniu na powrót mamy Tomas ściągnął sweter i okrył nim Alisę, próbując zbadać jej stan. Cały czas coś do niej mówił, chyba jakieś nieistotne bzdury, po to, żeby słyszała ludzki głos.

Na górze kroki wróciły do dziury.

– Nie przylecą – w ciemności spłynął do nas z góry głos mamy. Usłyszałem w nim rozpaczliwą nutę. – Ten cholerny front pogodowy przyniósł śnieżycę. Nie wystartują, dopóki się nie przejaśni!

– I co teraz zrobimy? – zapytał bliski paniki ojciec.

– Musimy ją stąd wynieść – wychrypiał Tomas. – Potrzebujemy noszy.

– Ale...

– Nie ma wyboru – przerwał mu Tomas. – Nie możemy jej tak zostawić. Skoro pomoc nie nadejdzie, to sami musimy ją stąd wynieść i zawieźć do najbliższego szpitala. Okej?

Było oczywiste, że nie znajdziemy żadnych noszy. Zamiast nich postanowiliśmy użyć drzwi do piwnicy, które Tomas wyrwał z zawiasów.

Alisa ocknęła się kiedy ją poruszyliśmy. Nigdy wcześniej nie słyszałem wrzasku bardziej przepełnionego bólem. Był tak przeraźliwie głośny, że rozświetlił wnętrze piwnicy lepiej, niż latarka. Kiedy przenosili Alisę z podłogi na drzwi biedaczka znów zemdląła, ale echo wrzeszczało jeszcze długo potem.

Ułożyli ją na tylnym siedzeniu naszego SUV-a i przykryli kocami. Jej twarz była biała jak śmierć na chorągwi. Nie wyobrażałem sobie, jak mała

zdoła przetrwać tę podróż.

– Nie mogę zostawić dzieci bez opieki – odezwał się poszarzały na twarzy Tomas. – Będą mnie potrzebować...

– Oczywiście – mama ścisnęła go za ramię. – Ja z nią pojedę. Zadbamy o nią, panie Tomasu. Obiecuję. – Zajęła miejsce na tylnym siedzeniu naszego wysokiego SUVa, zapierając się plecami o szybę, a pieszczelami o wyrwane drzwi, na których leżała Alisa. Ojciec wypruł spod domu jak kierowca rajdowy. Gdybym to ja siedział za kierownicą, zrobiłbym tak samo. Do szpitala było daleko, a czekała ich jazda w zamieci.

Staliśmy z Tomaszem, patrząc, jak samochód znika za łukiem drogi. Śnieg znów się rozpadał, tym razem był gęściejszy i leciał szybciej. Zimny wiatr też wiał coraz mocniej.

– Spróbuję uspokoić pozostałe dzieci – mruknął Tomas i powlókł się do domu.

Po kilku minutach poszedłem w jego ślady. Mówił coś do dzieciaków cichym, łagodnym głosem. Dobiegały mnie płacze, pociąganie nosem i szlochy. Spojrzałem na dziurę. Była wielka i ciemna. To dobrze, że w piwnicy nie było jaśniej. Dzięki temu inne dzieciaki nie widziały, w jakim stanie jest Alisa. I tak będą miały koszmary, ale przynajmniej niezbyt szczegółowe.



Ta pieśń nas przyzywa. Płynie przez lasy. Podążamy za nią.

„Śpieszcie się”, mówią drzewa.

„Trzeba spłacić dług.

Jest już późno.

Śpieszcie się”.

## Rozdział trzynasty

Wróciłem do piwnicy, chociaż nie jestem pewien, po kiego grzyba. Może zaintrygowały mnie te drzwi tak pośpiesznie zabite dechami. To zdecydowanie musiało coś znaczyć. Pewnie zabrzmiało to dziwnie, ale nie miałem stracha na myśl o samotnym zwiedzaniu piwnicy, mimo że przecież niedawno pojawił się we mnie nagły egzystencjalny lęk przed lasem. W każdym razie piwnicy się nie bałem. Naprawdę. Może to był efekt uboczny szoku? Ciekawość to faktycznie pierwszy stopień do piekła...

Kiedy znalazłem się u stóp schodów, poświeciłem sobie telefonem, ale nie dostrzegłem niczego ciekawego. Piwnica była w większości pusta. Przeszedł mnie lekki dreszcz emocji, kiedy światło komórki wyłowiło w mroku jakiś kształt mający za jednym z filarów wspierających strop, ale okazało się, że to połamane krzesło. Było tam też trochę innych rupieci, na przykład rozbitych mebli i – tutaj nie mam pewności – sprzętu używanego na plantacji. Wszystkie te graty były albo rozwalone, albo zardzewiałe, a więc bezużyteczne. Standardowe „wyposażenie” opuszczonej piwnicy. W tej sali eksponatów brak, droga wycieczko, przechodzimy dalej.

I właśnie kiedy miałem ruszyć dalej, dostrzegłem coś na ścianie w odległym kącie piwnicy. Znajdowało się to za dziurą, wybitą przez wpadającą do piwnicy Alisę. Ominąłem rozlaną na podłodze kałużę krwi i poszedłem przyjrzeć się znalezisku.

Był to zabity deskami otwór w ścianie, kiedyś pewnie zaopatrzony w drzwi. Deski przybito w pośpiechu, więc doszedłem do wniosku, że

robił to ten sam ktoś, kto zabarykadował drzwi wejściowe znajdujące się na szczycie schodów. Nierówne deski krzyżowały się byle jak. Niektóre pękły wzdłuż słoików od zbyt mocnych uderzeń młotkiem. W jednej z nich została podłużna szczelina po wybitej gwoździem drzazdze. Zbliżyłem do niej twarz, żeby zobaczyć, co jest po drugiej stronie, ale zobaczyłem tylko drewno – prawdopodobnie były to kolejne drzwi, które zablokowano deskami. Zrobiłem krok do tyłu i zacząłem zastanawiać się, co może być za nimi. Kolejne pomieszczenie? Ale po co niby mieli je zabijać deskami, skoro główne wejście do piwnicy i tak było zabarykadowane na amen? I po co w ogóle blokować drzwi do piwnicy? Chyba tylko po to, żeby uniemożliwić wyjście czemuś zamkniętemu we wnętrzu. Ale tu niczego nie było. No, może poza kilkoma roztrzaskanymi gratami. A może po to, żeby nikt ani nic nie mogło dostać się do środka? Ale niby skąd? Zabite deskami drzwi nie mogły prowadzić na zewnątrz. Według mojej rachuby znajdowały się bezpośrednio pod wejściem do korytarza prowadzącego do biblioteki i gabinetu.

Coś poruszyło się obok mnie. Zakląłem tak szpetnie, jak jeszcze nigdy. Tym „czymś” była Dorotea. Widziałem jej gębę przez sekundę, a potem bateria w komórce padła. Znacie ten halloweenowy kawał z latarką, w którym podświetla się swoją twarz i robi straszną minę? Właśnie. Tylko że Dorotea nie musiała robić strasznej miny.

Jej szept wydobył się ze smolistej ciemności jak syk gazu.

– Łatwo stąd nie wrócić.

Wpadłem w dygot. Panicznie macałem wokół za komórką jak ostatni frajer i gdy tylko ją znalazłem, rzuciłem się ku bladej plamie światła na górze schodów. Nie wiedziałem, czy Dorotea idzie za mną, bo ogłuszał mnie szum krwi tętniącej w uszach. Nie słyszałem nic poza łomotem własnego serca.

Popędziłem na górę do swojego pokoju i zatrzasnąłem za sobą drzwi. Przez chwilę stałem, błędząc wzrokiem wokół niebieskiej skrzynki, ale jej nie dostrzegałem. Próbowałem się uspokoić. „Nic się nie stało”, powtarzałem sobie. „Już dobrze. Jesteś cały”. Po jakimś czasie moje serce

zwolniło na tyle, że przestałem się obawiać, że z wysiłku pęknie na dwoje.

Zasłony były rozsunięte. Podeszedłem wolno do okna i wyjrzałem na dwór.

Zewnętrzne lampy. Ich żółte światło nikło w mroku między drzewami. Przez chwilę wydawało mi się, że znów widzę tamtego chłopaka z lasu. Tego, który, jak sądziłem, bawi się w chowanego w pobliżu umierającego drzewa. Stał pod moim oknem i gapił się na mnie.

Postanowiłem wejść wyżej, żeby lepiej mu się przyjrzeć, ale kiedy wlałem na parapet, chłopak zniknął. Nigdzie nie było go widać. Adrenalina opadła mi już, a przerażenie minęło i zmieniło się w prawdziwą wściekłość. Co za gówniany dzień! I zanosilo się, że tak będzie wyglądać całe moje życie. Jeśli smarkacz sądził, że może sobie ze mną igrać, to się zdziwi.

Zszedłem ponownie na dół. Z jadalni, gdzie zebrała się reszta dzieciaków, dobiegały stłumione dźwięki. Słyszałem płacze i pomruk głosu Tomasa, który przemawiał kojąco.

Schodząc po schodach, cały czas nie spuszczałem z oczu drzwi frontowych, ale się nie otworzyły. Ciągle miałem na nogach buty – prawie nigdy ich nie ściągam. Jest to jeden z moich zwyczajów, które doprowadzają mamę do szału. Okrążyłem dziurę w podłodze, ruszyłem prosto do drzwi i wyszedłem na śnieg.

Noc zapadła jak za naciśnięciem przycisku. Kłębiła się gęstą czernią zaraz za bladym kręgiem światła rzucanym przez zamontowane na ścianach lampy. Przysięgam, że kiedy przed kilkoma minutami wyglądałem przez okno, nie było jeszcze tak ciemno. Wiatr też przybrał na sile, a śnieg wirował coraz szybciej. Nadciągnęła burza śnieżna.

Mimo zadymki brnąłem przed siebie. Trzymałem się kręgu światła blisko domu. Szukałem śladów w nadziei, że wskażą mi, skąd chłopak przyszedł i dokąd się udał – ale żadnych nie znalazłem. Nie mogły tak szybko zniknąć, nawet pod śniegiem, który z każdą minutą padał coraz intensywniej. A jednak – nie było ich. Obszedłem narożnik domu i spojrzałem w górę na moje okno.

Rozejrzałem się wokół, ale żadnych śladów nie znalazłem. A przecież zejście na dół zajęło mi niecałe trzy minuty. Jeszcze raz spojrzałem w górę na moje okno, zastanawiając się, czy mogłem nietrafnie ocenić miejsce, w którym widziałem chłopaka. Może jednak stał dalej od domu, niż mi się zdawało?

Podszedłem do granicy kręgu światła i znalazłem się tak blisko lasu, że jedna z niższych, martwych gałęzi mało nie wybiła mi oka. Całą uwagę skupiałem na ziemi, bo chciałem znaleźć te przekłute ślady. Nic. I nic nie wskazywało na to, że po śniegu chodził ktokolwiek poza mną. Jakby żadnego chłopaka nigdy tam nie było. A zadymka stawała się coraz gorsza. Już ledwie widziałem na oczy, bo zmrożone płatki żądliły mnie w czoło i policzki jak pszczoły Królowej Śniegu.

Kolejny powiew wiatru rozkołysał drzewa. Zaczęły też szeptać. Słyszałem to mimo ryku nawałnicy. Aż ciarki przeszły mi po plecach. Spojrzałem w górę. Noc wisiała w koronach wokół pni, a cienie robiły się z sekundy na sekundę głębsze i czarniejsze. Wydawało mi się, że dostrzegam jakiś ruch, więc zmrużyłem oczy – ani myślałem iść dalej. Co to, to nie. A jednak coś wśród drzew się poruszało – bez wątpliwości. Pomyślałem o chłopcu, którego widziałem w lesie – on chyba wcale się nie bał. Siedział sobie jak gdyby nigdy nic i gapił się na drzewo. Czy to mógł być ten sam dzieciak? Może odszedł w głąb lasu po to, żebym go nie zobaczył? A jeśli tak, to gdzie były jego ślady? I po co w ogóle ta zabawa w chowanego?

Cokolwiek było pośród drzew, znowu się poruszyło. Ale nie był to ani dorosły, ani dzieciak. W siekącym mnie śniegu lewie dostrzegałem ten kształt, ale przysięgam, że prześlizgiwał się z jednego cienia do drugiego nisko przy ziemi. Płynął jak woda. I wtedy usłyszałem dźwięk. Zaczął się tak jak szept drzew, ale potem wyraźnie się od niego oddzielił. Coś jak skamlenie, prawie przechodzące w skowyt.

Ruszyłem z powrotem do domu, podnosząc dłonie do twarzy, żeby osłonić oczy przed śniegiem. Zamykając za sobą drzwi frontowe, powiedziałem sobie, że się pomyliłem. Przecież nie mogło tam być

żadnego chłopaka, prawda?

Przywidziało mi się. To wszystko. Takie wyjaśnienie było mniej przerażające.

Przynajmniej wtedy je wolałem.

## Rozdział czternasty

Tamtego wieczoru nie było już żadnych zabaw. Ojciec zadzwonił, żeby zameldować, że dotarli do szpitala i wrócą następnego dnia, nie wcześniej. Dzieciaki zjadły kolację w milczeniu. Potem poszły do łóżek, a Tomas udał się w ich ślady. Zrobiłem tak samo. Już wtedy dom wydawał się pusty.

Dwukrotnie wyrywały mnie ze snu dziecięce koszmary. Myślałem, żeby pójść i uciszyć wrzeszczące szkodniki, ale na myśleniu się kończyło, bo Tomas wyprzedził mnie z interwencją. Biorąc pod uwagę okoliczności, ekologowi dobrze szło uspokajanie smarkaczy. W każdym razie ja nie poradziłbym sobie z tym lepiej.

Nocą burza śnieżna ponownie ucichła, a kiedy wstałem następnego ranka, śnieg nadal nie padał. Co jeszcze bardziej zaskakujące, nocą przytelepał się autokar i teraz stał przed domem. Później dowiedziałem się, że kierowca wykorzystał rozpogodzenie. Dotarł na miejsce około czwartej rano i zamiast nas budzić, przespał się na swoim fotelu. Pracoholik co się zowie. A przecież w domu było ze dwadzieścia wolnych łóżek, nie mówiąc już o ogrzewaniu.

Dzieciaki wyglądały, jakby ktoś wymordował im psy, koty i rybki. Ta cisza zaczynała działać mi na nerwy. Po śniadaniu Tomas zapakował całą hałastrę do autokaru. Kręciłem się w pobliżu i patrzyłem spod przednich drzwi, jak sprawdza obecność.

Kiedy już wszystkich odhaczył, wyszedł pożegnać się ze mną. Dorotea grasowała gdzieś w domu, a Tomas najwyraźniej uznał, że ja sam

wystarczę za reprezentację naszej rodziny. Powinienem był ugryźć się w język, kiedy z jakiegoś powodu znów pomyślałem o chłopaku czającym się w zadymce pod moim oknem.

– Wczoraj wieczorem jeden z chłopców wyszedł na dwór – powiedziałem. – Stał pod drzewami i gapił się na dom.

Tomas nie dopowiedział, tylko spojrział na mnie dziwnie.

Wzruszyłem ramionami.

– Pomyślałem że... mógł być w szoku albo coś w tym stylu, wie pan. Może dzieciaki... powinny z kimś porozmawiać?

– O której to było godzinie? – spytał.

– No, nie wiem. Zaraz po tym, jak mama i ojciec pojechali z Alisą. Wyjrzałem przez okno, a on tam stał na śniegu.

Tomas pokręcił głową.

– Aż do kolacji wszyscy byli w jadalni. Zebrałem dzieci i próbowałem je uspokoić. Nikogo nie brakowało.

Zmarszczyłem brwi.

– Przecież nie kłamię.

– Wcale nie twierdzę, że kłamiesz. – Tomas westchnął. Wyglądał na wykończonego. – Słuchaj, wejdź do autobusu i zobacz, czy ten chłopiec tam jest, okej?

Powinienem był odmówić. Trzeba było uwierzyć Tomasowi na słowo, pozwolić im odjechać w śnieżną dal i nie zawracać sobie nimi więcej głowy. Ale nie. Oczywiście, posłusznie jak baranek, wtarabaniłem się do cholernego autokaru.

Znad siedzeń uniosły się ku mnie twarze. Wszystkie bez wyjątku blade i pełne smutku. Nawet dzieciaki na samym tyle siedziały cicho i spokojnie. Przyjrzałem się każdemu z osobna, ale nie znalazłem chłopaka z lasu. Tomas wszedł do autobusu i stanął obok mnie.

– No i? – spytał.

– Jest – mruknąłem, a potem wskazałem przypadkowego chłopca



siedzącego trzy rzędy dalej przy oknie. – To tamten.

Tomas spojrzał na mnie spod przymrużonych powiek. Wiedział, że kłamie, ale powiedział tylko:

– Okej, dziękuję. Porozmawiam z nim.

Kiwnąłem głową, wbiłem ręce w kieszenie i wyszedłem z autobusu.

– Chwileczkę – zdążyłem rzucić, zanim drzwi się zamknęły. – Chcę pana jeszcze o coś spytać. Chodzi o poprzedniego właściciela.

– Tak? – Tomas zaczął się już niecierpliwić. – Co z nim?

– Przypomni mi pan jak się nazywał?

– Erik. Erik Gran.

– Miał ciemne włosy? Ciemne włosy i oczy?

– Nie. Był typowym Szwedem. Z jasnymi blond włosami, bladą skórą i niebieskimi oczami. – Potem rzucił mi kolejne dziwne spojrzenie. – Słuchaj, wiem, że twój ojciec nie bierze mnie serio, ale... ty powinienes. Wyjedźcie stąd. Całą rodziną. I to jak najszybciej. Zanim będzie za późno.

Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Pewnie powinienem zadać pytanie w stylu: „Za późno? Na co?“, ale tego nie zrobiłem. Patrzyłem, jak drzwi się zamykają, a potem autokar odjeżdża. Kiedy odwróciłem się w stronę domu, na progu stała Dorotea z „przyjemną” miną świeżo złowionego łososia. Gapiła się na mnie przez krótką chwilę, a potem zniknęła za drzwiami. Wtedy po raz pierwszy dotarło do mnie, że Cruella De Mon i ja zostaliśmy sami. Dwoje ludzi w tym wielkim, pustym domiszczu i tylko ona wiedziała, gdzie są noże. Krzepiąca wizja, nie ma co.

Rodzice wrócili po południu. W domu było tak cicho, że przez okno mojego pokoju usłyszałem zbliżający się pomruk silnika naszego SUV-a. Schodziłem właśnie po schodach, kiedy otworzyły się drzwi frontowe. Gdy już zszedłem, w wejściu zobaczyłem mamę. Stała nieruchomo jak posąg i była blada jak marmur. Wpatrywała się w ziejącą w podłozie dziurę. Oczy miała wytrzeszczone i tak podkrążone jakby ją ktoś pobił. Jej wygląd mnie przeraził. W oczach miała pustkę, jak gdyby nic za nimi nie było.

– Mamo, wszystko w porządku? – spytałem. – Czy Alisa...

Mama wydawała się mnie nie słyszeć. Gapiała się tylko w poszarpaną ciemność w dziurze.

– Wylize się z tego. – Zamiast mamy odpowiedział ojciec, który właśnie pojawił się w wejściu. Wyglądał na skonanego.

– Tak, przeżyje – dopowiedziała mama, ale miałem wrażenie, że jej głos dochodzi z oddali i nicości. – Ale nie wiadomo, czy jeszcze kiedyś będzie mogła normalnie chodzić, biegać i skakać...

Tata otoczył mamę ramieniem i przytulił.

– Alisa wróci do zdrowia. – powiedział.

– To była moja wina. – Mama odezwała się drżącym głosem. – Powinam była lepiej ich pilnować. Mogłam zwrócić im uwagę, przerwać tę zabawę. Powinam była...

– Przestań – uciął ojciec. – To nie twoja wina. Absolutnie nie!

Stałem na schodach i czułem się dziko. Za rodzicami otwarte na oścież frontowe drzwi wpuszczały do środka podmuchy zimnego powietrza. Kilka chwil po ich powrocie znów zaczął padać śnieg.

Mama wyswobodziła się z objęć ojca i wskazała dziurę nerwowym ruchem głowy.

– Trzeba to zakryć.

Wicher dmie. Las ryczy.  
Śnieg gęstnieje.

Niech pieśń nas prowadzi.

„Tak”, mówią drzewa.  
„Nie zgubiliście się.  
Jesteście nasi.  
Jesteście nami.  
A my nie wybaczymy”.

## Rozdział piętnasty

Ojciec był przekonany, że śnieg przestanie padać.

– Jest jeszcze za wcześnie na regularną zimę, nawet tak daleko na północy – powtarzał. – Zobaczycie, że się roz pogodzi. A wtedy przygotujemy się odpowiednio na prawdziwe śniegi, które nadejdą za jakiś miesiąc.

Mówił to tak, jakby miał jakiegokolwiek pojęcie o tym, co w tych stronach jest normalne. Jakby nigdy nie słyszał o zmianie klimatu i nie dopuszczał do myśli, że właśnie znaleźliśmy się w samym jej środku. Ale ja wiedziałem, co takiego robi. Było to dla mnie oczywiste. Otóż próbował przekonać samego siebie, że ma rację, zgodnie z zasadą, że kłamstwo powtórzone wielokrotnie staje się prawdą.

Myślę, że on też czuł lęk, tyle że nie przed pogodą.

Mama miała się kiepsko. Wypadek Alisy uruchomił w niej jakiś mechanizm. Depresję, która szybko zaczęła ją pożerać. Od powrotu ze szpitala mama snuła się przygnębiona i nieustannie gapiła się w okno. Tata bez przerwy zachęcał ją do aktywności, namawiał do wspólnych spacerów po śniegu, czytania książek z biblioteki, ale mama zdawała się nie mieć na nic ochoty. A kiedy już się za coś zabrała, to po kilku minutach traciła zainteresowanie i znów zawieszala wzrok w przestrzeni. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby zachowywała się w ten sposób. Przedtem była motorem absolutnie wszystkich działań naszej rodziny. To dzięki niej sprawy toczyły się swoim biegiem i nic nie było w stanie jej powstrzymać.

Nie wspominaliśmy z ojcem o jej stanie. Tak, jakbyśmy mieli nadzieję, że cokolwiek ją dopadło, wkrótce minie samo z siebie. Nie próbowałem też z nią rozmawiać. W każdym razie nie od razu. Chyba nie wiedziałem jak. To ona zwykle dyrygowała mną i ojcem. A teraz jej zabrakło, i nie tylko nie wiedzieliśmy co robić, ale też nikt nie mógł nam wyjaśnić, co się dzieje, bo osoba, która zawsze to robiła, była nieobecna. Spędzała coraz więcej czasu w ich sypialni, a ja nie chodziłem tam do niej, nawet kiedy ojciec zaczął nosić jej posiłki, gdy sama przestała schodzić do jadalni. Nie pytałem też o jej stan. Nie, żebym stracił zainteresowanie tym, jak się ma. Nie przestałem też o niej myśleć. Po prostu... nie wiedziałem, jak mam o nią pytać, i tyle. Bo niby jakie pytanie miałem zadać? „Cześć, tato, jak tam dziś u mamy? Nadal gapi się w ścianę?”

Rozwalona podłoga była jedną z rzeczy, które wydawały się rozstrajać mamę najbardziej. Ojcu i mnie zdarzało się widywać ją, jak stoi nad dziurą i gapi się w czerń piwnicy tam, gdzie wpadła Alisa. Wiem, że tatę niepokoiło to tak samo jak mnie. Dlatego też zabiliśmy dziurę deskami. A przynajmniej próbowaliśmy. Miejsce w samym środku było poza naszym zasięgiem. Rozciągnęliśmy więc nad dziurą błękitną plandekę i tak to zostawiliśmy.

Śnieg padał bez przerwy przez cały tydzień od wyjazdu Tomasa i dzieciaków. Kolejne burze śnieżne przewalały się wokół domu, a niebo wisało nad nim niezmienną ciężką szarością. Drzewa poruszały się bez przerwy, siekąc gałęziami w tę i nazad, a ich pnie huśtały się na wietrze. Dni były coraz krótsze, światło gasło do jednolitego czarno-granatowego mroku, w którym kształty dało się rozróżnić, jedynie mrużąc oczy. Ojciec stawał się coraz bardziej nerwowy, ale też w kółko powtarzał swoją mantrę, że „jeszcze za wcześnie”, chociaż główną drogę do Storaskogen już kompletnie zawiął śnieg. Ojciec martwił się o ciągłość dostaw prądu, więc na wypadek, gdyby zasilanie miało się skończyć, odgrzebał generator. Zaczął też gromadzić świece. Miałem obawę, że skończy nam się żywność, ale z tym chyba nie było problemu. Dorotea co dzień wytaczała

się z kuchni, serwując swoje nudne dania i cała sytuacja wydawała się nie robić na niej żadnego wrażenia. Zdawało mi się nawet, że w jej oczach dostrzegam błysk zadowolenia, jakby to ona sama wezwała piekielną pogodę, żeby nas gnębić.

Pewnego razu odezwała się do mnie. Jej szept dobiegł mnie, kiedy mijałem ją na schodach.

– Trzeba było wyjechać – powiedziała. – Wyjechać ze wszystkimi innymi. Ale już za późno.

Próbowałem udawać, że nic nie słyszałem. A jednak, mimo usilnych starań, nie umiałem zapomnieć tego „za późno”. Tomas mówił to samo. Było za późno? Na co?

Kładąc się co wieczór, patrzyłem na drzewa za oknem. Wyglądały jak nieprzebyte szeregi gniewnych ludzi. Potrząsały gałęziami w stronę domu jak milionem pięści, a żadna z nich nie złamała się na wietrze. Jak to możliwe, skoro silne podmuchy co i raz odrywały dachówki? Znajdowaliśmy je rozbite na żwirze wokół domu.

Dokładnie dwa tygodnie po ucieczce Tomasa i dzieciaków ojciec zszedł na śniadanie sam. Miał wielkie, ciemne sińce pod oczami.

– A gdzie mama? – spytałem, jak gdybym nie znał odpowiedzi.

Jego wzrok na sekundę spotkał się z moim.

– Za chwileczkę zejdzie. Trochę dziś zasnęła.

– Okej... – Chciałem mu wierzyć tak bardzo, jak on sam pragnął uwierzyć w to, co mówi, ale obaj wiedzieliśmy, że będzie to kolejny dzień kiedy mama wcale nie wyjdzie z jej pokoju. W Sztokholmie co rano przed pracą chodziła na siłownię. Ale teraz już nie byliśmy w Sztokholmie. Siedzieliśmy uwięzieni w samym środku zadupia, zasypani śniegiem, który zamierzał padać w nieskończoność, choćbyśmy nie wiem jak bardzo chcieli, żeby przestał.

– Ten śnieg chyba nigdy się nie skończy – odezwał się nagle ojciec, jakby czytał mi w myślach.

Przełknąłem kęs bułki, który właśnie żułem, ale nawet z pustymi ustami

nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Zresztą to nawet nie było pytanie, prawda? A poza tym ojciec był jedyną osobą, której ten złoty samorodek prawdy umknął przed kilkoma tygodniami.

– Musimy jak najszybciej przygotować się do zimy – ciągnął. – Będziemy potrzebowali znacznie więcej drewna na opał. Myślałem, że będzie więcej czasu na przeniesienie go spod wiaty, w której schnie, ale niestety. Trzeba zrobić to teraz.

Kiwnąłem głową, przełykając kolejny kęs śniadania.

– A gdzie jest ta wiaty?

– Przy nowych nasadzeniach – odpowiedział ojciec. – Niedaleko miejsca, gdzie byliśmy z Tomaszem. Pokazał mi drogę w czasie tamtego wyjścia do lasu.

Poczułem, jak w piersi otwiera mi się wielkie zapadlisko.

– Mamy wlec drzewa aż stamtąd? To straszny kawał drogi. Nie możemy wziąć drewna z tej drugiej szopy, obok stodoły? Przecież tam jest go cała masa, nie?

Ojciec pokręcił głową.

– Nie wystarczy na całą zimę. Drugą szopę też musimy zapełnić.

– Jakim cudem mamy to zrobić? Jest nas tylko dwóch!

– Weźmiemy jedną z nowych maszyn. Tę z hydraulicznym ramieniem.

Wbiłem w niego wzrok.

– A umiesz ją prowadzić?

Nie odpowiedział spojrzeniem.

– Nie bardzo. Miałem poprosić kogoś z miejscowych, żeby mnie tego nauczył przed wycinką. Teraz jest na to już za późno, ale dam sobie radę.

Przypomniało mi się znalezione zdjęcie z polaroida, na którym złamana w złowieszczy scyzoryk ciężarówka wisiała na ciemną otchłanią skutego lodem jeziora.

– Okej... – powiedziałem, odkładając na wpół zjedzoną bułkę. Jakoś nagle przeszedł mi apetyt.

– Zbierz się, dobra? – rzucił ojciec i wstał. – Czekam przed głównym wejściem za dwadzieścia minut. Trzeba zagęścić ruchy. Przed nami długi dzień.

Patrzyłem, jak wychodzi. Zaszło mi w ustach. Nie wiem, która perspektywa budziła we mnie większą obawę: ojciec za sterami ciężkiego sprzętu zdolnego w mgnieniu oka przemielić ludzką czaszkę na drzazgi, czy ponowne wyjście tam – do lasu. Skoro wiata – suszarnia znajdowała się przy granicy nowych nasadzeń, to znaczy, że będziemy blisko starej puszczy. Od tamtej pierwszej i jedynej wycieczki usilnie próbowałem zapomnieć to, co zobaczyłem, kiedy natknąłem się na karczowisko po drzewach zmasakrowanych przez Erika. Za nic nie chciałem oglądać go ponownie.

Otworzyły się drzwi do kuchni. W zupełnej ciszy. Rozwierając się na zewnątrz, wyrznęły wąski biały prostokąt w posępnej tapecie. Dorotea, która z nich wyszła, zastygła na progu pomieszczenia jak przerośnięty gargulec. Spojrzała na mnie z krzywym uśmiechem, ale nic nie powiedziała. Ja też się nie odezwałem.

Zostawiłem niedokończone śniadanie na stole i poszedłem na górę wygrzebać dwa dodatkowe swetry, nieprzemakalną kurtkę i spodnie. Kiedy zszedłem na dół, ojciec już na mnie czekał, ale mamy wciąż nie było. Z zewnątrz dobiegały odgłosy rozkręcającej się zadymki. Wiatr wył, łomocąc o wszystkie cztery ściany domu, jak gdyby rzucał nam wyzwanie do wyjścia.

– Gotowy? – spytał ojciec, kiedy już założyliśmy kurki. – No, to idziemy.

Nie miałem pojęcia, jak przy tej pogodzie zdołamy dokądkolwiek trafić. Nawet dolny schodek przed frontowymi drzwiami był ledwie widoczny. Mrużąc oczy w kłębach śniegu, ruszyłem wzdłuż bocznej ściany domu w ślad za majaczącym przede mną kształtem ojca. Gdy tylko wyszliśmy z za węgła, tasak wiatru sieknął nas po twarzach. Musiałem odwrócić głowę, żeby w ogóle złapać oddech i wtedy wyrosła mi przed oczami ściana drzew – tam, gdzie zaczynał się las. Choinki wiły się gwałtownie



na wietrze, wściekle tłukąc gdzie popadnie wrzecionowatymi gałęziami.

Wyprostowałem głowę i podjąłem marsz naprzód. Wstrzymując oddech, parłem pod wiatr, który ciął mnie po twarzy żyłkami śniegu. Kiedy już obaj dobrnęliśmy do stodoły, stoczyliśmy zwycięski bój z wrotami i znaleźliśmy się w jej wnętrzu, brakowało nam tchu. A nie przeszliśmy nawet stu kroków.

– Dobra! – Ożywił się ojciec i ruszył w stronę stojącego naprzeciwko nas szpaleru maszyn. – Weźmiemy ten sześciokołowiec...

Umilkł w pół zdania. Z początku nie wiedziałem dlaczego. A potem stanąłem obok niego.

Szerokie, traktorowe opony maszyny, którą zamierzaliśmy jechać po drewno, były... rozszarpane. Właśnie tak. Nie mówię o kilku marnych dziurach po nożu. Ktoś tak bardzo je pochlastał, że zwisające z nich pasma czarnej gumy wyglądały jak zdarta skóra. Wcale nie przypominały ogumienia pojazdu. Sprawca nie ograniczył się do jednej opony. Pozostałe też zarznął. I to nie tylko w sześciokołowcu, ale we wszystkich maszynach – totalna masakra po całości.

Gapiałem się na tę jatkę, ni w ząb nie rozumiejąc, jak ktokolwiek zdołał jej dokonać. Opony były porwane na strzępy o jednakowej szerokości, jakby wdarł się tu rosomak i z entuzjazmem przystąpił do metodycznego ćwiartowania naszego sprzętu pazurami.

– Tomas – odezwał się ojciec zdławionym głosem.

Spojrzałem na niego.

– Co?

– To on to zrobił. Zanim wyjechali.

Brzęczało mi w uszach. Zmarszczyłem brwi, próbując to ogarnąć.

– Nie wydaje mi się...

– Nie chciał, żebym wycinał ten jego drogocenny stary las, tak? – To nie było pytanie. Myślę też, że ojciec nie mówił do mnie. Ciężko dysząc, lustrował rozciągające się przed nami pobojuwisko. Pobladł na twarzy. – Ten sabotaż to jego sprawa.

– Przecież nie wychodził z domu – zaproponowałem. – W przeddzień wyjazdu był cały czas z dziećmiakami...

– A więc zrobił to wcześniej.

– Tato...

Ojciec odwrócił się do mnie gwałtownie. Chyba nigdy wcześniej nie widziałem, żeby był tak wściekły. Jego furia rąbnęła mnie z taką siłą, jakbym wpadł na ścianę. Cofnąłem się o krok.

– A niby kto inny? – zażądał odpowiedzi. – Co? Kto inny miał dość siły, żeby to zrobić?

Odpowiedź, która natychmiast zaświtała mi w głowie, równie szybko się rozwiała. To nie mogła być Dorotea. Ojciec musiał mieć rację, no nie? Klocki bieżnika w tych oponach miały z osiem centymetrów szerokości. Odcięcie ich nożem, choćby i ostrym, wymagało znacznej siły. Dorotea jej nie miała. A więc kto jeszcze mógł to zrobić?

Albo co?

Ojciec obrócił się na pięcie i pomaszerował z powrotem w stronę wrót.

– Dokąd idziesz? – spytałem wciąż skołowany odkryciem i myślą, że Tomas mógł nienawidzić nas tak bardzo, żeby zrobić coś takiego, wiedząc, że utkniemy tu na dobre.

– Wezwać policję – dobiegło mnie mruknięcie ojca już zza wrót.

Dopiero gdy za nim wyszedłem, zorientowałem się, że śnieżycy ustała. Wiatr też ucichł zupełnie – powietrze stało nieruchomo, a śnieg, który wciąż jeszcze wisiał w powietrzu, opadał łagodnie na ziemię. Drzewa zastygły w bezruchu, jakiego dotąd nie widziałem.

„One wiedzą, co się stało”, pomyślałem. I zaraz tego pożałowałem, bo ta myśl była czystym obłędem.

## Rozdział szesnasty

Po powrocie do domu usiadłem na schodach, oparłem łokcie na kolanach i zacząłem słuchać, jak ojciec użera się przez telefon z policją.

– To jakaś farsa – powiedział. – I co mi to da? Nie możecie po prostu go aresztować? – Zapadła cisza, po której ojciec znów się odezwał. – Wiem, że to był on. Zresztą dowodem są zniszczenia, więc dlaczego nie można...? – Urwał, a potem jeszcze mruknął coś cicho i odłożył słuchawkę.

Odwrócił się ze zwieszonymi ramionami i spojrzał na mnie.

– Mówią, że przyjadą dopiero, kiedy przestanie padać śnieg. Front pogodowy pojawił się nagle i główna droga do Stortaskogen jest kompletnie zasypana. Przyślą helikopter, który nas ewakuuje, ale bez zespołu dochodzeniowego, bo czyn był „błahy”. Nie wydadzą też nakazu aresztowania bez dowodów, a zgromadzą je dopiero, kiedy dotrze tu ten ich zespół.

Zaplotłem palce, ale przypomniało mi to o splecionych w uścisku gałęziach drzew, więc rozdzieliłem ręce.

– Czyli... przylecą nas ewakuować, tak?

– Nie.

– Nie? Tato...

– To jest nasz dom – uciął szorstko. – Nikomu nie damy się z niego wygnąć. Jeśli go opuścimy, to ten bandyta wygra. Nie pozwolę na to. Rozumiesz?

– Czyli jaki masz plan?

– Potrzebujemy więcej drewna. Trzeba wymyślić inną metodę zwózki.

– Niby jaką?

Zrobił minę. Najwyraźniej spodziewał się mojej reakcji na to, co zamierzał powiedzieć.

– W bibliotece znalazłem kilka książek o historycznych metodach wyrębu. Stosowano je dawno temu.

Już sam wstęp się nie spodobał.

– Kiedy nie było jeszcze zmotoryzowanego sprzętu, ściągano powalone drzewa końmi. Miały specjalne uprzęże.

– Ale my nie mamy żadnych koni – zauważyłem celnie.

Ojciec kiwnął głową.

– Wiem. Będziemy musieli zrobić takie uprzęże dla siebie. Mama też nam pomoże. Pociągniemy jedno drzewo naraz. We trójkę damy radę.

Wbiłem w niego wzrok.

– Chyba jaja sobie robisz...

Rozłożył ręce wnętrzem dłoni ku górze.

– Potrzebujemy więcej drewna. Rozumiesz? Wiesz, jak zimo robi się w domu, kiedy zabraknie opału? Bardzo. Nie przeżyjemy tego.

Pokręciłem głową i wstałem.

– To jest jakiś obłąd. Cała ta przeprowadzka jest szaleństwem. Tobie też odbiło. – Słyszałem, jak z każdą sylabą mój głos staje się głośniejszy i wyższy, ale nie umiałem go stonować. – Po kiego grzyba tu przyjeżdżaliśmy?! Skąd ci przyszło do głowy, że będziemy chcieli tak żyć? A może chciałeś nas pozabijać? Taki miałeś plan? Czy właśnie dlatego nas tu ściągnął?

Ojciec zrobił krok w moją stronę. Furia, którą widziałem wcześniej w jego twarzy, wróciła jeszcze potężniejsza. Nie mówił, lecz darł się.

– Dosyć! To nie miało być... – urwał, przetykając cokolwiek zamierzał powiedzieć. Zaciśnął pięści w próbie opanowania gniewu. – Nie mamy na to czasu. Nie ma innego sposobu. Rozumiesz? Idę po twoją matkę. Wyjmij rakiety śnieżne, będą potrzebne.

Odepchnął mnie na bok i poszedł na górę.

Kiedy wychodziliśmy we trójkę z domu, nie padało. Owiewani lekkim wiatrem, brnęliśmy w śniegu sięgającym łydek. Był to najdłuższy czas bez zadymki od wielu dni. Wbiłem wzrok we własne stopy i skupiłem się na taszczeniu ciężkiego zwoju liny, który ojciec wręczył mi przy wyjściu. Mimo że starałem się nie patrzeć na otaczające nas drzewa, wiedziałem, że się śmieją. Musieliśmy stanowić dla nich zabawny widok: trójka karłów pośród ich leśnego ogromu, w wyprawie po drzewo – ich ziomka, którego zamierzaliśmy przywlec z powrotem do domu. Mieliśmy wszystkie maszyny, o jakich może zamarzyć drwal, a nie mogliśmy użyć żadnej z nich. Zostały nam tylko nasze małe, wątłe ludzkie ciała.

Gdybym był drzewem, to z pewnością też dostrzegłbym komizm sytuacji. Ludziom wydaje się zawsze, że są na szczycie łańcucha pokarmowego. Ale wystarczy zabrać im zabawki i sytuacja szybko się zmienia. Na przykład kiedy spadnie dużo śniegu. Albo kiedy znajdziemy się sami na odległym pustkowiu. Albo prawie sami.

Ojciec szedł z mamą z przodu, ja za nimi. Od wyjścia z domu mama nie odzywała się prawie, ale kiedy zeszła na dół, obdarzyła mnie uśmiechem, takim prawdziwym. To już coś. Wydaje mi się, że okazja do wyjścia z domu bardzo ją ucieszyła.

Szliśmy tą samą wąską ścieżką, którą pokazał nam Tomas przy pierwszym wyjściu. Może zacząłem się już przyzwyczajać do krajobrazu, a może to dywan śniegu, który zastąpił igliwie, sprawił, że ścieżka była teraz lepiej widoczna. Biegła prosto jak w pysk strzełił, tworząc kanał między dwoma szpalerami drzew. Wokół panowała absolutna cisza, przerywana tylko od czasu do czasu głuchym hhhłump, hhhhłump, hhhhłump wielkich kluch śniegu zsuwających się z gałęzi.

Doszliśmy do rozwidlenia. Lewa odnoga ścieżki miała szerokość dwóch rzędów drzew.

– Tędy. – Ojciec odwrócił się do nas. – Według mapy mamy do przejścia jeszcze niespełna pół kilometra. Okej? Już prawie jesteśmy.

Kiwnąłem głową, ale nie odezwałem się. Ojciec podjął marsz nową

ścieżką. Spojrzałem w stronę, z której przyszliśmy. Pętla niesionej przeze mnie liny wlokła się za mną, żłobiąc w śniegu głęboką bruzdę dokładnie tam, gdzie były ślady naszych rakiet i kompletnie je zamazując. Nie przypominały już wcale śladów zostawionych przez ludzi. Ścieżka wyglądała tak, jakbyśmy wcale nią nie szli.

W tym lesie bez przerwy giną ludzie.

Te słowa dudniły mi w głowie echem, mimo że próbowałem je od siebie odepchnąć. Wciągnąłem pętlę liny na ramię, odwróciłem się i ruszyłem za mamą i ojcem. Nie miałem śmiałości spojrzeć na drzewa, ale czułem ich obecność. Ich ciemne sylwetki majaczyły nade mną. Słyszałem tylko własny oddech. Poza nim panowała wokół sterylna cisza.

Wtedy zamajaczyła przed nami masywna bryła suszarni. Jej wiata przewyższała rozmiarem wszystkie pozostałe budynki na plantacji i była otwarta od strony lasu. W jej wnętrzu kryły się nieprzebrane stosy powalonych pni, pozbawionych gałęzi, ale niepociętych na kłody. Wszystkie były gigantyczne. Stałem obok ojca. Gapiliśmy się na ten ogrom, usiłując złapać oddech. Zastanowiłem się, jak wiele z tych drzew pochodziło z karczowiska w pierwotnej puszczy, które wydarł lasowi Erik.

– Naprawdę sądzisz, że zdołamy przeciągnąć je stąd do domu? – spytałem.

Ojciec zastanowił się chwilę.

– Tak – odpowiedział tonem, którego używa, kiedy wciska totalny kit, ale wydaje mu się, że może to zamaskować stanowczością.

A jednak tym razem miał rację. No bo jaki mieliśmy wybór?

– Może przynajmniej znajdziemy jakieś mniejsze, okej? – zasugerowałem.

Łaskawie skinął głową na zgodę.

Rozglądaliśmy się już od kilku minut, gdy zza drzew zaczął płynąć do mnie dźwięk, którego już od dość dawna nie słyszałem. Wysoka, zawodząca pieśń. Już prawie o niej zapomniałem, ale znów się pojawiła

i teraz wydała mi się tak samo dziwaczna jak wtedy, gdy słyszałem ją po raz pierwszy. Skądkolwiek pochodziła, jej źródło było blisko i z każdą chwilą się zbliżało. Nie umiałem przestać się w nią wsłuchiwać. Była hipnotyczna. Wypełniła mi głowę. Chciałem ogarnąć ją myślą, próbowałem określić, czy naprawdę się zbliża, czy może tylko tak mi się wydawało, bo tak intensywnie się w nią wsłuchiwałem.

Nie miałem pojęcia, co jest jej źródłem. Nie mógł to być ludzki głos. Była na to zbyt wysoka i zanadto cykliczna. Pobrzmiwała pustką, jak gwizd wiatru we wnętrzu martwego drzewa. Albo – i ten pomysł usiłowałem zignorować – jak róg myśliwski. Bo poza nami nie było tu żadnej zwierzyny łownej. Niech więc ta myśl zginie, przepadnie i wynosi się z mojej głowy.

I wtedy zdarło do mnie coś jeszcze. Rozejrzałem się i poczułem na karku chłód, który nie miał nic wspólnego ze śniegiem. Ojciec gramolił się właśnie na stos pni. Oprócz nas dwóch w szopie nie było nikogo.

– Tato – odezwałem się. – Gdzie jest mama?

Przerwał wspinaczkę i rozejrzył się dookoła.

– Ingrid? – zawołał.

Nie było odpowiedzi.

– Mamo? – Ruszyłem ku przeciwnemu krańcowi stosu pni, a ojciec zeskoczył na ziemię.

Nie było po mnie śladu.

– Ingrid! – zawołał ojciec, stojąc przed frontem suszarni. Jej imię odbiło się rozedrganym echem w powietrzu i uwięzło w koronach drzew.

– Mamo! – wrzasnąłem, usiłując przebić ciemną przestrzeń pod najniższymi gałęziami. Miałem nadzieję, że sięgnę głosem dalej, w tunele między szpalerami jodeł.

Odpowiedziała nam totalna cisza. Pieśń ustała. Iglaki przestały szumieć. Czekały na coś. Obserwowały nas.

I wtedy znów zaczął padać śnieg. Nie było wiatru, żadnej zadymki, a wielkie, miękkie płatki spływały z nieba.

– Znajdź jej ślady. – Głos ojca zdradzał początki paniki. – Szybko, zanim je śnieg zasypie!

Rozdzieliliśmy się, przeszukując wzrokiem stary śnieg, który w ciszy pokrywał się nowym.

– Widzisz coś? – krzyknąłem do ojca po kilku minutach.

– Nie – odkrzyknął. Teraz był już zdecydowanie spanikowany. – Szukaj dalej!

Nie było żadnych śladów. Absolutnie żadnych. Mama... wyparowała.

W tym lesie ciągle giną ludzie.

– Mamo! – wydarłem się znowu. – Maaaamoooo!

Kiedy czarna dziura lasu wessała mój wrzask znów usłyszałem tę pieśń.

Zacząła się od wątego, chwiejnego, prawie nieobecnego tonu. Z początku pomyślałem, że to wiatr znów się zrywa, ale ten ton był wyższy. Wznosił się wyżej i wyżej, a potem opadał nieco i znów podjeżdżał w górę. Większość dźwięków zamierała w gęstwinie, dławiona gałęzistym uściskiem lasu, ale ten ton wydawał się bez żadnego trudu przebijać przez iglasty las. Nadal nie umiałem określić, z którego kierunku ani nawet z jakiej odległości dobiega. Wydawał się dochodzić zewsząd.

Ojciec chyba go nie zauważał, ale ja słyszałem tylko ten dźwięk. Wypełniał moją głowę, odcinając wszelkie pozostałe bodźce. Znów stał się wyższy, więc stanąłem w miejscu i nasłuchiwałem, obracając się wokół. Niczego tam nie było. Absolutnie, totalnie niczego...

Ktoś chwycił mnie za ramię. Gwałtownie obróciłem głowę i zobaczyłem wpatrującego się we mnie ojca.

– Co ty robisz? – spytał. – Musimy znaleźć mamę.

– Słyszysz ten dźwięk? – Mówiąc to, zakrztusiłem się płatkami śniegu i zacząłem kaszleć. – Ciągle go słyszę. W domu i tutaj też. Co to jest?

Zmarszczył brwi, puścił moje ramię i się rozejrzał.

– O czym ty mówisz?

– O tym dźwięku. O tej... pieśni – powtórzyłem. – Nie słyszysz jej?



Ale już jej nie było. Słyszałem teraz tylko oddech ojca przy moim uchu.

– To tylko drzewa szumiały na wietrze – powiedział ojciec. – Pomóż mi szukać matki. Natychmiast!

Otrząsnąłem się z odrętwienia. Śnieg zaczął padać intensywniej. Podmuchy wiatru wzmogły się również, podrywając z podłoża świeże płatki, które kłębiły się i wirowały w powietrzu.

– Mamo! – krzyknąłem i powlokłem się za ojcem. – Mamo! Gdzie jesteś?

Coś przyciągnęło mój wzrok. W potężniejszej burzy śnieżnej masyw iglastego lasu pociemniał, ale kierując spojrzenie w mrok poniżej dolnych gałęzi, nareszcie coś dostrzegłem. Poblask światła.

I wtedy to do mnie dotarło. Ot tak, po prostu zrozumiałem, gdzie jest mama.

– Tato! – krzyknąłem. Szedł o kilka kroków przede mną, co chwila nawołując mamę po imieniu. Sięgnąłem do przodu i złapałem fałd jego kurtki, żeby go zatrzymać. – Tato!

Odwrócił się, ale nie zdążył spytać, o co chodzi, bo wystrzeliłem już w stronę tej wątej plamy światła pośród ciemności. Szedłem pewnie, jakbym miał w głowie mapę lasu. Wiedziałem, że w miejscu, gdzie to światło pada na dno lasu, znajdę ten strumień, w którym się skąpałem, kiedy byliśmy tu pierwszy raz. A za nim rozciągała się gęstwina starej puszczy. To tam ziała potworna, wyrzezana maszynami rana karczowiska. Ale oprócz niej było tam coś jeszcze. Coś, po co warto było wracać. Nie mogłem się mylić.

Wyszliśmy spod sklepienia gałęzi w gęste od śniegu powietrze. Pod zmrożonymi trawami słychać było ciurkanie i wirujący poszum strumyka – odgłosy bardziej przypominające lato niż zimę. Przekroczyłem strumień i ruszyłem w głąb starej puszczy. Natychmiast zrobiło się zimniej. Tutaj śnieg znalazł drogę do każdej szczeliny i zagłębienia w chaotycznie rosnących drzewach. Sztywne od lodu porosty zwisały z gałęzi jak seledynowe sztylety potłuczonego szkła.

Nic się nie poruszało. Przez chwilę się rozglądałem, stojąc bez ruchu. Śnieg wciąż padał. Jego ciężkie płatki wypełniały powietrze jak wulkaniczny popiół. Nie było wiatru. A bez niego mogłem nie znaleźć tego, czego szukałem.

Ojciec zatrzymał się obok mnie i znieruchomiał na podobieństwo otaczających nas drzew. Myślę, że był oszołomiony tym miejscem tak samo jak ja, kiedy zabłądziłem tu po raz pierwszy.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał. – Co to za miejsce? Należy do naszej plantacji?

– To ten stary las – mruknąłem, próbując odsunąć od siebie jego głos. – To nad nim Tomas się tak trząsał. Erik zaczął go karczować, a zaraz potem spakował manatki i dał dyla. Mamo! – krzyknąłem głośniej. – Gdzie jesteś?

Przeskanowałem wzrokiem majaczące przede mną drzewa. Byłem przekonany, że tam, skąd przyszedliśmy – za strumieniem, widzę ścieżkę. Tę samą, którą przyszedłem tu, zanim wszystko zmienił śnieg. A może tak to właśnie tutaj działało? Być może za drugim razem nic nigdy nie wyglądało tak samo? Kto wie...

Nadlatujący znikąd podmuch wiatru rzucił mi w twarz śnieżnym pyłem z taką siłą, że musiałem zamknąć oczy. Starłem drobiny lodu z twarzy, rozejrzałem się w poszukiwaniu ruchu i... dostrzegłem go.

– Tato, tędy! – Zerwałem się, łamiąc w biegu przymarznięte, zmatowiałe zielsko. Nie obejrzałem się by sprawdzić, czy ojciec biegnie za mną. Znow dostrzegłem przed sobą tamten ruch. Zanikał w potężniejącym wietrze. I wtedy znow odezwał się wokół mnie ten dźwięk. Tym razem brzmiał jak flet. Wydawał się dobiegać z większej odległości, ale był jeszcze wyraźniejszy niż wcześniej. Prześladował mnie tą samą melodyjną, upiorną pieśnią-nie-pieśnią.

I wtedy spostrzegłem tamto umierające drzewo, a zaraz potem – mamę. Wiedziałem, że znajdę ją właśnie tutaj. Klęczała dokładnie w tym samym miejscu, gdzie wcześniej – kiedy byłem tu po raz pierwszy – widziałem tamtego chłopaka. Mama zdjęła kurtkę, sweter i rakiety śnieżne.

Wyciągnęła przed siebie i obróciła dłonie wnętrzem ku górze, pozwalając, by śnieg padał na nie i topił się na skórze jej wąskich palców. Gołą głowę zwiesiła na piersi. Jakimś cudem czapkę również zgubiła. Jej długie, jasne włosy spływały roztargane po ramionach, a płatki śniegu topniały na ich kosmykach, zmieniając się w krople. Wyglądała jak pogrążona w modlitwie, ale nie miałem pojęcia, do jakiego bóstwa.

Opadłem na kolana obok niej i objąłem ją ramionami. Była zimna jak lód.

– Mamo!

– Ingrid, – powiedział ojciec, który zawisł nad nami, ściągnął kurtkę i okrył nią mamę. – Co ty wprawiasz? – Nie czekając na odpowiedź, dźwignął ją w górę, by pomóc jej wstać. – Zabierzemy cię do domu.

– Słyszałam go – odezwała się mama. Jej głos był stłumiony, bo wydobywał się z ust wciśniętych w pierś ojca. – Wołał mnie. Szukał. Jestem mu potrzebna.

– Kto? – spytałem, idąc za ojcem, który siłą ciągnął opierającą się mamę na drugą stronę strumienia. – Mamo? Kto cię wołał? Mamo!

– Daj spokój – warknął ojciec. – Trzeba ją odprowadzić do domu. Pomóż mi!

Przechodząc przez strumień, zostawiliśmy dziwną pieśń za plecami. Powoli zanikała i stawała się coraz bardziej odległa. Kiedy byłem już pewien, że ucichła na dobre, usłyszałem inny dźwięk. Przypominał wilczy skowyt. I dobrze. „Wolę skowyt od tej dziwnej pieśni”, pomyślałem. „Wszystko jest lepsze od niej”.

Chciałem spytać mamę, kto – albo co – ją wołało. Czy ona też słyszała tę pieśń? Bo chyba właśnie ją miała na myśli. Na jej dźwięk mama prostu wstała i ruszyła bez pamięci tam, skąd wydawało jej się, że dobiega.

Więc może to wcale nie była pieśń, dźwięk instrumentu ani nawet sygnał wygrywany na myśliwskim rogu.

To mogło być coś zupełnie innego.

Coś gorszego.

Drzewa szumią gniewnie.  
Są wściekłe  
Na nas.

„Szybko”, nagle, „śpieszcie się”.  
„Zapłata była gotowa.  
Zapłata czekała.  
Słuchajcie pieśni.  
Podążajcie za nią”.

Gnamy więc szybciej i szybciej.

## Rozdział siedemnasty

Odprowadziliśmy mamę do domu. Kiedy stanęliśmy przed frontowymi drzwiami, doszła już do siebie. To znaczy nie upełnie, ale w jej oczach pojawiło się spojrzenie, które już trochę rozpoznawałem. Drżała z zimna. Ojciec również. Zabraliśmy ją do salonu, gdzie od wyjazdu Tomasa i dzieciaków w kominku bezustannie tlił się żar. Ulokowaliśmy mamę na sofie, ojciec zajął się dorzucaniem drewna, żeby rozpaścić większy ogień, a ja pobiegłem na górę po koce dla mamy. Wracając na dół, dostrzegłem Dorotę. Stała przy dziurze ziejącej w podłodze u podnóża schodów.

– Mogłaby pani zrobić gorącej czekolady? – zapytałem. – Musimy rozgrzać mamę.

Stara obrzuciła mnie spojrzeniem przepełnionym pogardą.

– Proszę – dodałem. – Albo sam mogę ją zrobić, tylko niech mi pani pokaże, gdzie jest co w kuchni.

Jej górna warga uniosła się jak u szczerzącego kły wilka, po czym starucha oddaliła się bez słowa. Poszedłem do salonu. Byłem tak zmęczony, że prawie wcale nie wściekłem się na tę starą ropuchę. Prawie. Postanowiłem, że gdy tylko oddam mamie koce, sam pójdę zrobić tę cholerną czekoladę. Ale okazało się, że nie muszę. Po kilku minutach pojawiła się Dorotea z tacą. Przebiegło mi przez myśl, że woli nas obsłużyć niż wpuścić mnie do kuchni – to dla niej mniejszy kłopot. Jeszcze nigdy tam nie byłem. To było jej królestwo, tak jak poddasze.

Ojciec porzucił pomysł ściągania drewna z suszarni.

– Już więcej tam nie pójdziemy, Ingrid – powiedział. – W ogóle nie

powinienem był cię tam ciągnąć.

– Będziemy musieli racjonować to, co mamy – powiedział do mnie później tego samego wieczora, kiedy mama poszła się położyć. Twarz ojca poszarzała i straciła wyraz. Spostrzegłem, że pojawił się na niej zarost – już od paru dni się nie golił, co było do niego niepodobne. – Jeśli będziemy rozsądnie gospodarować, to wszystko będzie dobrze. Zamkniemy większość pokoi i założymy tyle okiennic, ile się da, wtedy wiatr jeszcze mniej wychłodzi dom. W razie potrzeby możemy też zabić deskami nieużywane zewnętrznie drzwi. Główne nam wystarczą. Przetrywamy”.

– Tato – powiedziałem, – ale tak serio, dlaczego nie chcesz po prostu stąd wyjechać? Mówiłeś, że policja może nas ewakuować. Nie sądzisz, że powinniśmy skorzystać z tej możliwości? Przecież możemy tu wrócić w przyszłym roku, nie? To nie będzie żadna porażka.

Ojciec złożył dłonie tak energicznie, że aż klasnęło.

– Słuchaj, jeżeli faktycznie zrobi się niebezpiecznie to wezwiemy policję. Okej? Ale naprawdę nie chcę tego robić, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne. Bo jeżeli rozejdzie się wśród miejscowych, że nie umiemy sami przetrwać zimy, to koszmarnie trudno będzie nam znaleźć solidnych pracowników. Postarajmy się, dobrze? Pomożesz mi? Proszę cię.

I co mogłem odpowiedzieć? Chyba tylko:

– A co z mamą? Przecież ma się kiepsko.

Ojciec zrobił minę.

– Wydobrzeje. Potrzebuje spokoju. Musi zebrać myśli. Była dziś zmęczona, nic więcej. Jutro jej się poprawi.

Jego wywód mnie nie przekonał, ale przecież nie ja byłem tutaj odpowiedzialnym za rodzinę dorosłym, prawda? Co niby miałem zrobić? Powiedzieć, że nie kiwnę palcem, i koniec? W domu było nas tylko czworo, a w tamtej chwili najwyraźniej tylko my dwaj zachowaliśmy jeszcze resztki rozsądku.

Poszedłem do łóżka. Gdy tylko znalazłem się na materacu pod kołdrą, poczułem się ciężki jak głaz. Chyba nigdy wcześniej nie zasnąłem tak szybko.

Nieco później obudziło mnie skrobanie. Nasłuchiwałem, leżąc bez ruchu. Dochodziło chyba od okna. Na zewnątrz szalała kolejna zadymka, więc złożyłem ten odgłos na jej karb. Ale skrobanie nie ustawało. I wtedy zorientowałem się, że dochodzi ono nie tylko od okna, ale też z wnętrza pokoju. Coś skrobało w podłogę. Serce zaczęło walić mi w piersi, choć mówiłem sobie: „Spokojnie, to pewnie tylko mysz”. Tak sobie mówiłem, ale wiedziałem, że musiało ich być co najmniej kilka, żeby skrobanie było aż tak głośnie.

Sięgnąłem ręką do lampki na szafce nocnej. Wyciągając ją w zimnej ciemności, miałem wrażenie, że poniżej ziele bezdenna otchłań. Pstryknąłem włącznik i żółte światło rozjaśniło pokój, dodając mi nieco odwagi. Usiadłem i wlepiłem wzrok w punkt obok łóżka.

Spod podłogi kielkowało drzewo. Przepychało się między deskami i stopniowo rosło coraz wyżej. A potem zobaczyłem inne. Coraz więcej drzew wdzierało się do pokoju, rozdrapując deski gałęziami jak szponami. Rosły coraz szybciej. I wtedy poczułem, że łóżko drgnęło. A więc rosły też pod nim. Dobiegło mnie skrzypienie i brzęk sprężyn. Gwałtownym ruchem zdarłem z siebie kołdrę i zobaczyłem pod nią drzewo przebijające się przez materac. Ciężko dysząc, skuliłem się przy wezglowiu, próbując wołać na pomoc mamę i ojca, ale chociaż naprawdę bardzo się starałem, nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Do pokoju wdzierało się coraz więcej drzew. Rozsadzały ściany, wbijały się w sufit i rosły – coraz gęściej i gęściej. Wraz z nimi do pokoju wdarły się śnieżycy i zimno. Śnieg osiadał na gałęziach i unosił się w powietrzu. Czuję nawet jego zapach. Pojawiła się też ciemność. Ta gęsta, zalegająca zwykle u podnóży pni. Ruszyła w moją stronę. Skamieniałem ze strachu.

Poczułem w boku ostre ukłucie bólu. Gdy spojrzałem w dół, zobaczyłem wrzecionowate gałęzie. Ich kościste palce rozsadzały mi

brzuch i rozdzierały skórę. Wrzasnąłem ponownie, ale i tym razem nie wydobył się ze mnie żaden dźwięk. Próbowałem się wyrwać, ale drzewo, które mnie przebiło, rosło wciąż wyżej i wyżej ku sufitowi, rozrywając mnie na strzępy. W głębi tego, co zostało z mojego pokoju, dostrzegłem jakiś inny ruch. Wilk! Ale z jakiegoś powodu przypominał on też ludzkie dziecko. Dziewczynkę. Kiedy starałem się zrozumieć, kim jest, drzewo dokonywało na mnie dzieła zniszczenia. Moja krew spływała gęstą rzeką na leżącą na podłodze kołdrę. Próbowałem krzyczeć, a ból co chwila rozświeślał mi głowę jak wybuchy granatów.

Wilk pokonał bezgłośnie dzielący nas dystans. Wiedziałem, że czuje zapach mojej krwi. Kiedy się zatrzymał, nie był już wilkiem. Stała przede mną dziewczynka w białej koszuli nocnej.

– Nie rób tego – stęknąłem błagalnie. – Proszę cię, nie...

Rozchyliła wargi w uśmiechu. Zamiast siekaczy i trzonowców jej usta były wypełnione ostrymi kłami, a oczy miała żółte.

I wtedy znów się obudziłem, wrzeszcząc tak głośno, jak jeszcze nigdy w życiu nie krzychałem.



## Rozdział osiemnasty

Następnego dnia poszliśmy z ojcem do szopy z drewnem przy domu, tej obok stodoły pełnej zniszczonego sprzętu do wycinki. Wiatr szarpał nas, a drzewa szeptały i wiły się bezustannie. Nie padało, ale gruba warstwa śniegu pokrywała wszystko wokół. Przypomniałem sobie poranek po pierwszych opadach. Wtedy warstwa puchu była tak cienka, że nie wypełniła nawet rowków w bieżniku moich butów. Teraz śnieg sięgał po kolana – a właściwie sięgałby, gdybyśmy byli w normalnych butach, ale mieliśmy na nogach rakiety śnieżne, bo bez nich na zewnątrz nie sposób się było poruszać. Zaspy były na to zbyt głębokie.

„To tylko śnieg” – powtarzałem sobie raz za razem, krocząc u boku ojca w kierunku szop. Ciągnęliśmy za sobą sanki, bo taczka byłaby w tych warunkach całkowicie nieprzydatna. „To tylko pogoda. Nie ma w tym celowego działania. Nic nie usiłuje nas dopaść. Przestań świrować. Nie wyspałeś się i tyle”.

Faktycznie, padałem z nóg. Odkąd obudziłem się z koszmaru, nie zmrużyłem oka. Wmawiałem sobie, że to był tylko zły sen, ale kiedy mi się śnił, miałem wrażenie, że to coś więcej niż tylko koszmar. I nadal tak czułem, choć minęło wiele godzin. Bolał mnie bok. Dokładnie w miejscu, gdzie wrzecionowate gałęzie wypruły mi flaki. Czułem okropny, gryzący ból, jakby coś w środku usiłowało wydrzeć się na zewnątrz, rozrywając skórę. Powtarzałem sobie, że ten ból tylko mi się ubzdurał, ale to nieprawda. Był prawdziwy.

Gdy dotarliśmy do szopy, spojrzałem w górę. Dostrzegłem ślady pożaru pnące się po zewnętrznej ścianie jak szponiasta bestia i po raz pierwszy od długiego czasu przypomniałem sobie o zdjęciach, które znalazłem.

Uwieczniony na polaroidzie obraz spalonej szopy uderzył mnie szczególnie mocno, a wraz z nim pojawiły się inne obrazy i wspomnienia. Umierające drzewo. Pieśń, która co chwila do mnie wracała, przesywając las na wskroś. I mama znikająca w głębi puszczy, jakby i ona ją słyszała.

Pomyślałem, co by się stało, gdyby mnie wtedy nie olśniło, dokąd poszła. Czy w ogóle udałoby nam się ją odnaleźć? A jeśli nie, to czy znalazłoby ją coś innego? Nie mogłem przestać myśleć o dziewczynce z mojego snu ani o potwornej jatce, której dokonały w moim pokoju wdzierające się doń drzewa. Obrazy zaczęły mieszać się ze sobą, stapiając w rozmytą, przerażającą masę, której nie mogłem sobie wytłumaczyć ani nawet ogarnąć myślą. Byłem na to zbyt zmęczony.

W tym lesie ciągle giną ludzie.

Głos Dorotei rozbrzmiał w mojej głowie tak wyraźnie, że aż się obróciłem, żeby sprawdzić, czy stara nie idzie za nami. Ale w szopie byliśmy tylko ja, ojciec i wielki stos zamordowanych drzew.

– Odtąd musimy oszczędnie korzystać z zapasów – odezwał się ojciec.  
– Dlatego przetniemy większe kłody na pół piłą łańcuchową.

Próbowałem skupić się na tym, co mówi, ale moje myśli odpływały w jakieś inne miejsce. Po części chciałem mu się zwierzyć z koszmaru. Powiedzieć: „A może moglibyśmy to zostawić na inny dzień? Bo w tej chwili nie jestem w stanie znieść obecności drzew, nawet tych ściętych”. Ale przecież nie mogłem mu tego powiedzieć, prawda? Pomyślałby, że zaczynam tracić zmysły. A zresztą już i tak byliśmy w szopie, więc najlepiej mieć sprawę za sobą. Im szybciej zaczniemy, tym szybciej skończymy i wrócimy do domu.

„Wytrzymaj kilka godzin”, powiedziałem sobie. „Przełam się i zrób, co trzeba”.

Wyszedłem za ojcem do środkowej stodoły. Nie dało się nie zobaczyć zmasakrowanego ogumienia w naszym sprzęcie do wycinki. Natrętnie powracała też myśl, że rozszarpana guma wyglądała podobnie do mojego ciała w koszmarze – tak jakby masakry dokonano tym samym narzędziem.

Zamrugłem oczami i zmusiłem się, by odwrócić wzrok. „Przestań”,

rozkazałem sobie ponownie. „To był tylko sen. Dobrze o tym wiesz. Drzewa nie mogą niczego rozszarpać na strzępy. A dzieci nie mogą w jednej chwili wyglądać normalnie, a zaraz potem – jak wilki. Nie mają wilczych kłów ani szponów”.

Ojciec wręczył mi piłę i okulary ochronne.

Postukał w piłę.

– Umiesz ją obsługiwać?

Pokręciłem głową. Piła była ciężka. Moje ramiona protestowały, kiedy niosłem ją, idąc w ślad za ojcem do sąsiedniej szopy. Byłem w stanie ją unieść. Ale ledwo.

– Pomogę ci przy pierwszych kłodach, a potem wrócę do domu, sprawdzę co u mamy i zacznę zabijać okna deskami – powiedział. – Kiedy już napełnisz sanki, przywieź drewno do domu. Odtąd będziemy trzymać dodatkowy zapas opału przy dużym kominku w salonie. Poradzisz sobie, tylko bądź ostrożny i się skoncentruj. Nie prosiłbym, żebyś to robił, gdybym nie musiał albo uważał, że sobie nie poradzisz. W porządku?

Pokiwałem głową sztywno, a potem ojciec przystąpił do demonstracji pracy z piłą. Łańcuch wżerał się w białą tkanę drewna, mieląc ją na miazgę. Gapilem się jak zahipnotyzowany, aż wreszcie przyszedł czas bym sam chwycił za piłę. Jej wibracje przeniosły się na moje ramiona i szczękę tak, że zęby zaczęły mi dzwonić, a ból rozprutego we śnie brzucha przybrał na sile.

Ojciec przyglądał się przez chwilę moim wysiłkom, po czym skinął głową i mnie zostawił. Odłożyłem piłę i wydobyłem iPoda, żeby znaleźć jakąś naprawdę głośną muzykę, która zagłuszyłaby nie tylko jazgot piły, ale też otępiałą mantrę myśli, która odtwarzała się bez końca w moje głowie. Wróciłem do piły. Ciałem, rznąłem i chlastałem. Czułem, że mięśnie mi płoną, a bębniaki w uszach aż jęczą pod nawałnicą dźwięków.

*Nie przestawaj. Nie przestawaj. Nie przestawaj...*

Załadowałem pierwszy transport drewna na sanki i zacząłem już brnąć z nimi w kierunku domu, kiedy to zobaczyłem. Niby nic takiego – ledwie

uchwytny poblask na granatowym tle. Cztery ognistoczerwone iskry zapadające w zaspę jakieś trzy metry od stodoły. Przez sekundę gapilem się w to miejsce. Potem wyłączyłem iPoda i zdjąłem słuchawki.

Niezagłuszany muzyką, wrócił do mnie szum drzew. Nieustającą nawałnicę ich szeptu na wietrze: łuuu-uuuuśśśś uzupełniał co jakiś czas przypominający wybuchy śmiechu odgłos hłump, hłump, hłump.

Podszedłem bliżej. Czerwone plamki na białym śniegu. Krew. Zamarłem. Ten obrazek był dokładnie taki, jak na ostatnim z polaroidów, o których myślałem wcześniej. „Nie bądź idiotą”, powiedziałem sobie. „Sądziś, że na tym zdjęciu uwieczniono jedyny w tych stronach przypadek zachlapania śniegu krwią? Weź się w garść”.

Rozejrzałem się. Było za jasno, żeby włączyć latarkę, ale za ciemno, żeby dało się coś zobaczyć, nie mrużąc oczu. Ale najbardziej przestraszył mnie fakt, że nie dostrzegłem na śniegu żadnych śladów poza tymi, które zostawiliśmy z ojcem. Placki rakiet śnieżnych wskazywały ścieżkę, którą wydeptaliśmy od domu do szopy, ale poza nimi i śladami krwi śnieg wszędzie wokół był nieskazitelnie biały. Obejrzałem swoje ręce – przez chwilę wydało mi się całkiem sensowne, że w ferworze piłowania ostry ząb łańcucha mógł niepostrzeżenie rozciąć grubą rękawicę roboczą i mnie zadrasnąć. Ale rękawice były całe. Zdjąłem jedną z nich i pomacałem się po twarzy, żeby sprawdzić, czy krew nie leci mi z nosa. Nie leciała. Nogi też miałem całe.

Dopiero przy bliższych oględzinach spostrzegłem, że krew nie chlapnęła tylko w jednym miejscu, ale ciągnie się długim śladem. Kilka kropel, metr czystego śniegu, a potem znów mały rozbryzg na jednej z wyższych zasp i znów – o kilka metrów dalej – następny. Trop prowadził za stodołę, w las. Skąd o tym wiem? Bo za nim poszedłem. Nie chciałem, ale poszedłem. Serce waliło mi młotem i czułem mdłości. Chciałem jak najszybciej wrócić do domu, zatrzasnąć za sobą drzwi i już nigdy nie wychodzić na dwór. A jednak zapuściłem się za tym potwornym tropem w jodłową gęstwinę. Musiałem. Myślę, że po prostu nie mogłem zrobić inaczej.

Padalem z nóg, a jednak coś nie pozwalało mi odpuścić pogoni krwawym tropem, więc nie odpuszczałem. Potykając się i czepiając rękami, czego popadnie, brnąłem w głąb lasu. Było zimno, ale nie czułem, że marznę. Nie pamiętam niczego poza tą krwią. Po raz pierwszy nie zauważałem już nawet drzew.

Parłem naprzód, aż wreszcie krwawy trop się skończył. Zwierzę, którego zostawiło, zatrzymało się i leżało teraz na śniegu. Zwierzę albo jego martwe ciało. A w każdym razie jego kawałki. Był to łoś. A dokładniej – masywny byk, na co wskazywały ogromne łopaty pozostające jedyną częścią zewłoku nienadgryzioną przez prześladowców. Wszystko poza łopatami było rozszarpane na strzępy. Jeśli widzieliście kiedyś leżące przy drodze truchło zwierzęcia i widok nie obrzydził was na tyle, żeby odwrócić głowę i przeczekać, aż samochód poniesie was bezpiecznie dalej, to przypomnijcie sobie, jak wyglądało. A teraz wyobraźcie sobie, że jest sto razy większe, bo łosie są ogromne.

Gdy wpatrywałem się w padlinę, przypomniało mi się coś jeszcze. Tym razem nie zdjęcia ani nawet nie mój koszmar, tylko leżąca w piwnicy Alisa. Zobaczyłem jej złamaną nogę z pogruchotaną kością wystającą spod rozdartej skóry. Ale obecny widok był znacznie gorszy. Coś wyrwało żołądek łośia i wytarzało się w nim. Jego wnętrzności były rozwleczone wokół ciała, jak promienie słońca rozchodzące się na dziecinnym rysunku. Krew nie była czysta. To była ohydna rzeźnicka breja: czerwień pełna kawałków skóry i flaków, kęsków tłuszczu i Bóg wie czego jeszcze. Bryzgając na ziemię, roztopiała śnieg, a jej stróżki, płynąc jeszcze przez chwilę, zagłębiały się w białej skorupie. Rozchodziły się od trupa, tworząc grzbiety, meandry i malutkie zatoczki, jak rozpostarte na ziemi żyły, które drzewa wessą pod ziemię.

Krew na śniegu była jeszcze błyszcząca, a zatem masakra dokonała się niedawno. Jak to możliwe, że niczego nie słyszałem? Nawet muzyka Opethów nie mogła zagłuszyć ryku rozszarpywanego łośia. Rozejrzałem się gwałtownie, bo opadł mnie strach, że przerwałem ucztę i zaraz stanę się następnym daniem w menu. Nic nie zobaczyłem. Nie było śladu po

żadnym innym stworzeniu. „Ale jak to?”, wrzeszczał mój mózg. „Jak to możliwe, że nie ma żadnych innych śladów?” Łoś leżał pośród drzew z wyprutymi flakami, wylupionymi oczami, skórą rozerwaną na strzępy w rozbryzniętym jeziorze krwi i tłuszczu. Jak to się stało, że sprawca masakry nie zostawił śladów? Bo nie da się ukryć, że zbiegł z miejsca zbrodni. Powinien więc prowadzić stąd inny trop, prawda? I to nie jeden, ale kilkanaście odcisniętych w śniegu krwawych śladów – trop zabójcy umykającego w głąb lasu. Ale żadnego tropu nie było.

I wtedy go dostrzegłem.

Pojawił się bezgłośnie na peryferiach mojego pola widzenia i zatrzymał się na lewo ode mnie w ciemności za trupem łosia. Celowo oddzielił się od drzew, a więc nie mógł być tylko cieniem. Nie odwróciłem się w tamtą stronę, ale wiedziałem, że to nic dobrego. Poczułem dreszcz strachu biegnący wzdłuż kręgosłupa. Stałem, gapiąc się na zmasakrowane ciało, które jeszcze niedawno było żywą istotą, a tam, w mroku, czaiła się ta druga obecność. Czekala, aż na nią spojrzę. Zamarłem, rojąc sobie, że mogę to przeczekać, że to coś po prostu sobie pójdzie, jeśli się nie poruszę. A jednak doskonale wiedziałem, że tak się nie stanie.

To coś chciało, żebym się odwrócił. Chciało, żebym nań spojrział.

Ale ja nie chciałem na nie patrzeć. Tak samo, jak wcale nie chciałem podążać za krwawym tropem. A jednak to zrobiłem. Bardzo powoli się odwróciłem. Zacisnąłem pięści tak mocno, że materiał rękawiczek zachrząścił o skórę we wnętrzu dłoni. Próbowiałem opanować drżenie, ale całe moje ciało trzęsło się ze strachu.

To było dziecko. A dokładniej dziewczynka, mniej więcej dziesięcioletnia. Stała po kostki w śniegu. Miała na sobie staromodną koszulę nocną w brudnobiałym kolorze, która wyglądała na dawno niepraną albo może praną zbyt często. Jej długie włosy opadały w skołtunionych falach prawie do pasa. Ręce wisały bezwładnie u boków, a dłonie kryły się w czerwonych rękawiczkach.

To była dziewczynka z mojego snu. Rozpoznałem ją w ten dziwny sposób, w jaki we śnie rozpoznaje się różne rzeczy, mimo że wyglądają

inaczej, niż w rzeczywistości. Po prostu wiedziałem, że to jest ona. Byłem tego pewien, chociaż nie miała żółtych oczu. W ich miejscu ziała teraz bezdenna czern.

Poruszyła palcami i coś odpadło z jej dłoni – stróżka płynnej ciemności pociekła na śnieg u jej stóp.

Wbiłem wzrok w delikatny czerwony wzorek rysujący się czerwienią na bieli.

To była krew. Jej ręce były w niej unurzane. To, co wziąłem za rękawiczki, było w rzeczywistości grubą warstwą krwawej breji.

Dziewczynka się uśmiechnęła. Rozchylając w tym powolnym, teatralnym grymasie wargi, odsłoniła dwa rzędy ostrych zębisk i dziąsła umazane krwią, która zaczęła kapać z kłów na wąskie białe wargi i spływać po brodzie.

Na pewno krzyknąłem, chociaż tego nie pamiętam. Wiem, że odwróciłem się i rzuciłem do ucieczki, choć przecież nie da się biec w raketach śnieżnych. Można co najwyżej posuwać się w tempie trochę szybszego marszu. A jednak próbowałem biec, choć wiedziałem, że to na nic. Czuję, że mnie goni. Zdradzał ją ruch powietrza i odgłosy. Chrapliwe dyszenie i warkot. Była piekielnie szybka.

Potykałem się o śnieg i przepychałem przez gęstwę niskich gałęzi jodeł, które drapały mnie po rękach i twarzy, usiłując przebić ubranie i skórę. Spodziewałem się, że lada chwila prześladowczyni powali mnie na ziemię i zatopi ostre zębiska w moim karku. Zabiła łośia, a teraz postanowiła zapolować na inną zwierzynę. Na mnie.

I wtedy pojawiła się ona. Owa pieśń, zew, sygnał na rogu myśliwski, czy cokolwiek to było. Nabrzmiała wokół mnie jak wiatr i wtedy całkiem poważnie pomyślałem, że to koniec. Że właśnie rozstałem się z życiem. Ta pieśń wzywała potwora do ataku i...

**BANG!**

Huk wystrzału zwałił mnie z nóg. Runąłem twarzą w śnieg, a impet uderzenia wycisnął mi powietrze z płuc. Uderzyłem głową o pień

najbliższego drzewa i wydaje mi się, że na chwilę straciłem przytomność, bo zaraz potem pojawił się przy mnie ojciec. Potrząsał mnie za ramię.

Zanim zdążył mnie powstrzymać, dzwignąłem się na kolana.

– Hej, tylko spokojnie – powiedział. – Nic ci nie jest?

Odwrociłem się, młóćąc ramionami jak cepem, żeby spojrzeć za siebie.

– Gdzie ona jest? – wydyszałem. – Zastrzelełeś ją?

– Chyba nie trafiłem – odpowiedział ojciec, próbując sprawdzić, czy nie jestem ranny. – Uciekła.

Odwrociłem się ponownie do ojca i złapałem go za kurtkę.

– Widziałeś ją, prawda?

Zmarszczył brwi, ale nie wypuścił mnie z uścisku i wciąż obmacywał moją głowę.

– Tak, widziałem. Ale to był raczej samiec, a nie samica.

Wciąż ciężko dyszałem. Nie rozumiałem, o czym mówi.

– Co?

– Ten wilk. Myślę, że to był samiec, a nie samica. No, chyba że ma w pobliżu młode. To by tłumaczyło tę wściekłą agresję u samicy. Tak czy inaczej, w przyszłości nie powinniśmy się tu zapuszczać samotnie, a przynajmniej bez tego – tu wskazał na strzelbę, którą trzymał w ręku. – A co ty w ogóle robisz w lesie? Miałeś być w szopie.

– Wilk? – wyrzuciłem z siebie. – Jaki wilk?! Mówię o dziewczynce, tato! Nie widziałeś dziewczynki?

Ojciec znów się zmarszczył i dotknął mojego czoła.

– Mocno się uderzyłeś? Chodź, obejrzymy...

Ponownie opadłem na śnieg, macając ubranie, a ojciec próbował mnie unieruchomić. Pewnie myślał, że mam jakiś atak. Odepchnąłem jego ręce i podciągnąłem kurtkę. Mroźne powietrze zakłuło mnie w odsłoniętą skórę.

Spojrzałem w dół, na swój bok. Z rany pod najniższym żebrem lała się krew.



Ojciec zaklął i przycisnął dłoń do rany.

– Pewnie upadłeś na ostrą gałąź – powiedział. – Chodź, możesz wstać? Musimy odstawić cię do domu. – Wziął moją rękę w rękawiczce i położył ją w miejscu, którego przed chwilą sam dotykał. – Uciśnij. Nie wiadomo, czy rana jest głęboka.

Pomógł mi wstać i objął ramionami, żebym nie mógł się przewrócić. Zataczając się, ruszyliśmy w stronę domu. Tak bardzo się trząsałem, że aż nogi odmawiały mi posłuszeństwa.

Spojrzałem na ranę w moim boku. To nie było jedno, ale trzy rozcięcia tworzące szarpaną linię. Nie przypominały śladu po uderzeniu ostrą gałęzią.

Wyglądały tak, jakby zadano je szponami.

Las śmieje się do nas i szepcze:  
„Wciąż myślą, że coś ich ocali,  
Ale są w błędzie.  
Bo wy już tu jesteście”.

Idziemy po nich wśród jodeł,  
A gniew w nas płonie jak ogień.  
„On będą nasi”, mówimy.  
„Już wkrótce”.

## Rozdział dziewiętnasty

Kiedy już wróciliśmy do domu, bardzo długo się trząsałem. Nie rozumiałem, co się dzieje. Czy to wszystko mi się przywidziało? Może całkiem ześwirowałem? Jak to możliwe, że ojciec widział wilka, a ja – małą dziewczynkę?

– Chcę się zobaczyć z mamą – wyszczeakałem, kiedy opatrywał mi ranę. Poklepał mnie po ramieniu.

– Jasne. Myślę, że to dobry pomysł. Może przy okazji zanieś jej obiad? Dorotea coś przygotowała, a mama chyba jeszcze nic nie jadła. Posiedzicie sobie, pogadacie. Obojgu wam dobrze to zrobi. Tylko... postaraj się jej nie niepokoić, dobra? Nie mów o tym, co się stało na dworze. Ani jej, ani tobie nie wyjdzie to na zdrowie. Wstrzymaj się z opowiadaniem tej historii, okej? Niech mama trochę wydobrzeje.

Kiwnąłem głową. Zęby wciąż mi szczękały.

Kiedy niosłem na górę obiad dla mamy i dla siebie, wciąż jeszcze się trząsałem. Z trudem udało mi się nie zrzucić dań z talerzy. Coś we mnie nie umiało albo nie chciało się uspokoić. Wciąż widziałem tę dziewczynkę i nie potrafiłem już rozróżnić jej wersji z koszmaru od tej z lasu. Rana w boku przestała krwawić, ale nadal bolała. I doskonale wiedziałem, że znajduje się dokładnie w miejscu, gdzie we śnie przebiło mnie drzewo. To nie mógł być zbieg okoliczności. A może jednak tak? Starłem się przypomnieć sobie, czy podczas ucieczki mogłem oberwać w to miejsce gałęzią. Niewykluczone. Tylko dlaczego nie rozerwała ubrania?

Spróbowałem przestać o tym myśleć. Skoncentrować się na stawianiu

jednej stopy przed drugą, na niezrzuceniu żarcia z talerzy i utrzymaniu talerzy w rękach. Na uspokojeniu szczękających zębów. Próbowałem też wymyślić, o czym będę rozmawiać z mamą.

Nie mogłem powiedzieć jej ani o śnie, ani o dziewczynce, którą wydawało mi się że widziałem w lesie, ani nawet o wilku. Potrzebowałem zupełnie neutralnego tematu. Takiego, na który zareaguje pozytywnie. To zupełny kretynizm, żeby człowiek musiał przełamywać lody w rozmowie z własną matką! W szkole tego nie uczą. Nie usłyszysz tam: „Dzień dobry dzieci, dziś dowiedcie się, jak radzić sobie z załamaniem nerwowym rodziców”. Skąd miałem wiedzieć, co mam robić?

Kiedy dotarłem do końca korytarza, zobaczyłem, że drzwi do sypialni rodziców są uchylone. Podeszedłem bliżej i usłyszałem głosy. Najpierw pomyślałem, że mama mówi do siebie, ale kiedy stanąłem przy drzwiach, udało mi się zajrzeć przez szparę.

W środku była Dorotea.

Mama siedziała na brzegu łóżka ze zwieszoną głową, a stara stała przed nią z rękami na biodrach. Mówiła zbyt cicho, żebym mógł zrozumieć słowa, stojąc za drzwiami, ale widziałem, że mama kiwa głową. Przy każdym z tych dziwnych, gwałtownych kiwnięć całe ciało mamy bujało się na materacu do przodu i do tyłu.

Otworzyłem drzwi barkiem. Dorotea spojrzała na mnie, ale mama nadal wpatrywała się w podłogę.

– Co pani tu robi? – spytałem ostro.

Dorotea cofnęła się i wzruszyła ramionami.

– Sprawdzam, czy pani domu jest zdrowa.

– Na prośbę ojca? – Gospodyni wlepiła we mnie puste ślepa, ale nie odpowiedziała. – Co pani do niej mówiła?

– Pytałam, czy chce coś zjeść.

Spojrzałem na mamę. Podniosła głowę i wbiła wzrok w bezkresny las za oknem. Palcami lewej dłoni drapała się w prawy nadgarstek.

– Nie wierzę – powiedziałem. – Co jej pani mówiła, tak naprawdę?

Dorotea gapiła się na mnie jeszcze przez chwilę, po czym ruszyła ku drzwiom swoim dziwnym chodem, mijając mnie bez słowa.

– Niech się pani trzyma z daleka do mamy – rzuciłem do jej pleców. – Sami się nią zajmiemy. Rozumiesz? Nie zbliżaj się do niej.

Nie dała po sobie poznać, że usłyszała to, co powiedziałem. Zatrzasnąłem drzwi kopniakiem. Mama wciąż wpatrywała się w drzewa za oknem.

– Mamo? – odezwałem się. – Przyniosłem ci obiad.

Miałem wrażenie, że z początku mnie nie rozpoznała. Spojrzała na mnie jak na obcego, który znalazł się w jej pokoju przez przypadek. Przeraziło mnie to. No bo skoro twoja własna matka nie wie, kim jesteś, to jak to o tobie świadczy?

A jednak po chwili pustka w jej spojrzeniu ustąpiła. Cień odpłynął z oczu, a na jej twarzy pojawił się wąły uśmiech. Mama wstała i na chwilę wyciągnęła do mnie ramiona. Przytuliłbym się do niej, gdyby nie talerze i sztucce, które wciąż trzymałem w rękach. Rozejrzałem się i postawiłem je na toaletce.

– Powinnaś coś zjeść – powiedziałem i nagle spostrzegłem, że mama nie tylko schudła, ale jeszcze bardziej posmutniała, jak gdyby była naczyniem, z którego ktoś po trochu wylewał esencję jej samej. Kości policzkowe rysowały się ostrzej, a policzki były bardziej zapadnięte. Jej oczy też zdawały się być większe niż normalnie. Nie podobało mi się to. Nie wyglądała jak moja mama, ale jak oszustka, która umiejętnie się pod nią podszywa.

Mama rzuciła okiem na talerze. Chyba dopiero teraz je zauważyła. – Nie chce mi się jeść.

– Ale... powinnaś.

– Może później.

Kiedy zastanawiałem się nad odpowiedzią, zapadła krępująca cisza. Rozejrzałem się po pokoju, zastanawiając się, co mama robi tu całymi dniami, zamknięta w samotności. Nie dostrzegłem żadnych książek, więc

powiedziałem:

– Może zaprowadzę cię do biblioteki? Jest ogromna, spodoba ci się. – I zaraz przypomniałem sobie, że ojciec już tego próbował. – Albo sam przyniosę ci coś do czytania, chcesz?

Uśmiechnęła się ponownie, a przynajmniej wydaje mi się, że nieznaczące zaciśnięcie ust miało być uśmiechem, ale jej uwaga zaczęła już odpływać, a spojrzenie co chwila wędrowało ku oknu.

– Mamo? Chcesz, żebym ci przyniósł książki?

– Nie musisz się o mnie martwić – odpowiedziała nagle. – On dotrzyma mi towarzystwa.

– Ale tata się o ciebie martwi, przecież to widzę. I ja też.

– Nie martw się – powtórzyła, a jej głos zabrzmiał sennie i odlegle. – Poznamy się lepiej. Muszę tylko pokazać mu powrotną drogę. Teraz już to wiem.

Poczułem na karku lodowaty ucisk, który zaczął spływać zimnem wzdłuż kręgosłupa. Przez chwilę nie mogłem wykrztusić słowa, a kiedy już się odezwałem, mój głos zabrzmiał jak żabi rechot.

– O kim ty mówisz? Dorotea coś ci nagadała? Co takiego?

Mama przeniosła wzrok na mnie. Wyglądała staro.

– Jestem zmęczona – powiedziała.

– Okej. Ale zjesz coś? Proszę. – Nie patrzyła już na mnie. – Mamo?

Stała, milcząc, zwrócona twarzą do okna. Znowu drapała się w nadgarstek, ale tym razem w drugi. Stałem tak kilka minut, zastanawiając się, co robić, a potem wróciłem na dół.

Ojciec siedział przy stole w jadalni i pochłaniał obiad. Gdy wszedłem, podniósł na mnie wzrok.

– I jak, lepiej? – spytał.

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, ale nie wiedziałem, od czego zacząć.

Ojciec zmarszczył brwi.

– Co jest?

– Mama chyba nie zje tego, co jej zaniósłem.

Przez chwilę gapił się w talerz, a potem kiwnął głową.

– Pojdę do niej za chwilę. Może uda mi się ją przekonać.

Cisza.

– Jest w kiepskim stanie – rzuciłem w gęstniejące między nami powietrze.

– To prawda.

– Powinniśmy wezwać lekarza.

Ojciec westchnął i wstał.

– Akurat tego sobie nie życzy.

Ściągnąłem brwi.

– Jak to?

Ojciec potarł nasadę nosa kciukiem i palcem wskazującym. Wyglądał na znużonego.

– No wiesz – powiedział – mama zawsze bała się lekarzy. Zwłaszcza... zwłaszcza od takich przypadłości.

Od „takich przypadłości” czyli... od chorób psychicznych? Najwyraźniej ojciec należał jeszcze do tego pokolenia, które o tych sprawach nie rozmawia. Jasne. Zdrowiej jest nic nie mówić. Takie podejście do sprawy jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziło, prawda?

– Potrzebuje ciszy i spokoju. To wszystko – ciągnął. – W kółko mi to powtarza. Że wydobrzeje, jeśli tylko damy jej spokój, ciszę i pozwolimy się wyspać. A więc będziemy się nią opiekować. Przecież w domu nie stanie jej się krzywda, prawda? – Zaśmiał się, ale jego śmiech był tak samo przepełniony zmęczeniem jak jego twarz. – W końcu nikogo poza nami tutaj nie ma, tak?

Pomyślałem o dziewczynce z lasu, o chłopaku, którego nie było w autobusie i o Dorotei. Ale im więcej myślałem, tym bardziej traciłem pewność. Twarz ojca była szara i napięta od stresu. Nie uwierzyłby,

gdybym mu powiedział, co widziałem, no bo kto by uwierzył w coś takiego? Przecież nie miałem żadnego dowodu, że to prawda. Pomyślałby, że wariuję. Tak jak mama.

– Naprawdę myślę, że powinniśmy wyjechać – powiedziałem. – Proszę cię, tato, po prostu wyjedźmy.

Podniósł oczy na mnie.

– Twoja matka chce zostać – odparł. – Pytałem ją wczoraj wieczorem i powiedziała, że chce zostać. Że... – Znowu wbił wzrok w stół i zabębnił o blat ukryty pod białym obrusem. – Powiedziała, że musi tu zostać.

Ojciec najwyraźniej uznał rozmowę za zakończoną. Wstał od stołu, nie kończąc obiadu.

Kiwnąłem głową i pozwoliłem mu wyjść. Odczekałem, aż na pewno wejdzie po schodach na piętro. Potem na chwilę wyszedłem na korytarz i nasłuchiwałem, czy nie wraca, ale dobiegały mnie tylko odgłosy rozkręcającej się na zewnątrz nowej burzy śnieżnej. W końcu poszedłem do stojącego w holu wejściowym telefonu. Leżała obok niego nasza książka adresowa ze Sztokholmu. Znalazłem stronę z danymi naszej dawnej lekarki rodzinnej. Przez chwilę wpatrywałem się w cyfry. W końcu wybrałem numer.

– Halo? – powiedziałem, gdy odezwał się trzeszczący głos recepcjonistki. – Muszę porozmawiać z panią doktor. To bardzo ważne i zajmie tylko kilka minut. Bardzo panią proszę.

Kobieta po drugiej stronie westchnęła.

– Doktor Nilstrom ma dziś mnóstwo pacjentów. Poroszę się zapisać na wizytę i przyjść osobiście. Nie prowadzimy konsultacji przez telefon.

– Ale ja nie jestem w Sztokholmie – nalegałem. – Wyjechaliśmy do jakiejś dziczy na północy kraju. Śnieg odciął nas od świata i boję się, że mama tu zwariuje. Naprawdę, bardzo potrzebuję porozmawiać z panią doktor, no błagam.

Przez chwilę milczała.

– Proszę poczekać – odezwała się wreszcie, a potem zamiast trzasków



linii telefonicznej i jej głosu zabrzmiała melodyjka na czekanie. Czekałem sto lat, aż wreszcie kobieta znów się odezwała. – Halo?

– Tak? Czy mogę porozmawiać z panią doktor?

– Przykro mi – odpowiedziała recepcjonistka. – Doktor Nilstrom nie może omawiać z tobą problemów medycznych twojej mamy. Ale jeśli mama potrzebuje, niech zadzwoni osobiście.

– Ale ona tego nie zrobi. – Gdy to powiedziałem owładnęło mną poczucie beznadziei. – Wiem, że nie zadzwoni.

– Pani doktor mówi, że możecie z tatą zadzwonić do miejscowej poradni psychiatrycznej. Jeśli naprawdę się obawiacie, że mama może zagrazać sobie albo innym osobom, to są różne środki, które można zastosować. Podyktuję ci numer. Możesz zapisać?

Mówiąc szczerze, po słowie „środki” przestałem słuchać. Czy z mamą było aż tak źle, żeby ją zamykać w wariatkowie – bo przecież o to chodziło, prawda? Na samą myśl zrobiło mi się niedobrze. Przecież mama nie zwariowała. To niemożliwe. Była najtrzeźwiej myślącą osobą, jaką znałem. Ojciec miał rację – potrzebowała tylko ciszy i spokoju. No bo przecież nie zamierzała zrobić sobie krzywdy, tak? A już zdecydowanie nie skrzywdziłaby nikogo innego. Zajmiemy się nią razem, tata i ja. Jeśli powrót do Sztokholmu miał oznaczać jej hospitalizację, to może jednak nie był to taki dobry pomysł.

Recepcjonistka dyktowała mi numer, ale nie słuchałem jej. Podziękowałem i odłożyłem słuchawkę, a sekundę później usłyszałem kroki ojca na piętrze.

## Rozdział dwudziesty

Resztę wieczoru spędziłem, pomagając ojcu odizolować wnętrze domu od świata na zewnątrz. Okna wyposażone były w wewnętrzne metalowe okiennice, które należało założyć i zamocować. Ja je przytrzymałem, a ojciec wkręcał śruby. Kiedy skończyliśmy, wszystkie okna na dole były zasłonięte. Miałem wrażenie, że zamknęliśmy się od wewnątrz w grobowcu. Na zdrowy rozum człowiek w takich okolicznościach powinien dostać kręcka, ale ja poczułem się bezpieczniej. W czasie pracy prawie nie rozmawialiśmy z ojcem. Powinienem być powiedzieć mu o łosiu i dziewczynce, którą widziałem – albo wydawało mi się, że widziałem – ale nie wiedziałem, jak mam to zrobić, żeby nie wyjść na wariata. Im więcej o tym myślałem, tym bardziej byłem przekonany, że ją sobie wyobraziłem, a tak naprawdę gonił mnie wilk. Wiecie, jeden z tych, które „boją się nas bardziej niż my ich”. Taa, jasne.

Kiedy nareszcie praca dobiegła końca, było po północy. Poszedłem na górę, żeby się położyć. Czułem, że ciało mam zmęczone, ale głowa była daleka od snu. Nie mogłem się uwolnić od obrazu dziewczynki stojącej na śniegu z rękami ociekającymi krwią. Rany w boku bolały nadal, mimo zażytych środków przeciwbólowych. Wiatr wył wokół ścian domu, szarpiąc ramami okien, jakby próbował wedrzeć się do środka. Ojciec nie mówił nic o zabijaniu deskami okien na piętrze, ale miałem nadzieję, że weźmiemy się za to w następnej kolejności. Dzięki temu nie widziałbym wreszcie drzew za oknem. To po pierwsze. Miałem dość lasu i bałem się tego, co z nami robi. Podeszedłem do okna, żeby zaciągnąć zasłony. Starłem się nie wyglądać na zewnątrz.

Słyszałem szum gałęzi niestrudzenie ocierających się o siebie na wietrze, ale nie odrywałem oczu od podłogi. Zdawało mi się, że drzewa są

bliżej domu, tak jakby cały las zrobił krok w jego stronę, stłoczył się wokół niego po to, by nas otoczyć, żebyśmy nie mogli się wydostać. Nagle przyszła mi do głowy przerażająca myśl, że jeśli spojrzę za okno, to zobaczę napierającą na szkło masę gałęzi i okaże się, że to nie wiatr usiłuje wtargnąć do środka, tylko same drzewa, a mój koszmar za chwilę stanie się rzeczywistością.

Wycofałem się do łóżka i naciągnąłem kołdrę na głowę. Długo leżałem. Miałem wrażenie, że mijają całe godziny. Wsłuchiwałem się w dochodzące z zewnątrz trzeszczenie i chrobot drzew, zastanawiając się, co jeszcze się wśród nich czai. Kręciłem się i rzucałem jak ryba. Wydawało mi się, że nie zmrużyłem oka, a jednak musiałem zasnąć, bo kiedy spojrzałem na zegarek, było po trzeciej. Drzewa na zewnątrz poruszały się jak wcześniej. Nadal byłem zmęczony, ale nie sądziłem, że zdołam jeszcze raz zasnąć. Wróciłem więc myślą do tego, co – jak mi się zdawało – widziałem w lesie i do mamy, której psychika rozpadała się na naszych oczach. Pomyślałem, że być może to samo dzieje się ze mną. Zastanawiałem się, jak długo jeszcze będziemy uwięzieni w tym domu, który zmieniał się w grobowiec. Wreszcie postanowiłem wstać.

Poszedłem do gabinetu, gdzie wcześniej znalazłem fotografie. Przyszliśmy tam z ojcem, żeby zamontować okiennice, ale byłem tak pochłonięty myślami, że nawet nie spojrzałem na biurko. Po części spodziewałem się, że zdjęcia znikną. Nie zdziwiłbym się, gdyby Dorotea je zabrała. Ale nie. Gabinet był w takim samym stanie, w jakim go zostawiłem, kiedy wydarzył się wypadek Alisy. Nawet zdjęcia, które spadły na podłogę, wciąż tam leżały.

Stałem przy biurku i przypatrzyłem leżącym na blacie polaroidom.

– No siema, Erik – rzuciłem do widniejącego na nich faceta.

Wyciągnąłem krzesło i zebrałem stare czarnobiałe zdjęcia z podłogi. Jedno z nich spadło grzbietem do góry i dopiero teraz zobaczyłem znajdujący się na nim napis. Podniosłem je i przyjrzałem się niestarannie skreślonym literom. Byłem pewien, że ich autorem jest ta sama osoba, która opisała polaroidy na ich odwrocie, bo charakter pisma był podobny.

A więc najpewniej zrobił to sam Erik, zgadza się?

Napis głosił: „Dziewczynka, lat 7. Zaginęła w Storaskogen w roku 1949”.

Z dziwnym uciskiem w piersi odwróciłem pozostałe zdjęcia.

„Chłopiec, lat 10”, napisano na kolejnym. „Po raz ostatni odnotowany w roczniku Storaskogen w roku 1957. Brak imienia uniemożliwia poszukiwanie”.

„Dziewczynka, około 12 lat. Imię nieznane. Zaginęła w 1979. Nie żyje?”

Wpatrywałem się w słowa, jak gdybym w ten sposób mógł sprawić, że wyjawią mi coś więcej, ale oczywiście – nie wyjawily.

W tym lesie bez przerwy giną ludzie.

Głos Dorotei odezwał się gdzieś w tyle głowy, jak puste zawrozczenie wiatru w otaczających dom drzewach. Poczulem się otępiąły. Wstałem powoli, trzymając stare fotografie w ręku. Zebrałem też polaroidy, a potem rozłożyłem wszystkie zdjęcia w rzędzie na biurku.

„Musi być jakieś racjonalne wyjaśnienie”, powiedziałem sobie. Nawet jeżeli te dzieci naprawdę zaginęły, to było to wiele lat temu. Przecież musiało być jakieś śledztwo, no nie? Ktoś musi wiedzieć, co się z nimi stało.

Usiadłem na krześle i przyjrzałem się twarzom widniejącym na czarno-białych fotografiach – nie tylko twarzom członków rodzin na pierwszym planie i dzieci, które miały zaginać, ale też służbie. Wszystkim tym ludziom, którzy tu kiedyś mieszkali. Gdzie byli teraz? No jasne, że się zestarzelili, ale to niemożliwe, żeby wszyscy co do jednego wymarli. Przenosząc spojrzenie ze zdjęcia na zdjęcie, zdałem sobie z czegoś sprawę. Chociaż rodziny właścicieli zmieniały się, to najwyraźniej część pracowników pozostawała przy nich, bo kilka twarzy się powtarzało. To miało sens, bo przecież wiedzieli, jak funkcjonuje dom i plantacja. Po co szkolić nowy personel, skoro stary doskonale wie, co ma robić?

Przyglądając się zdjęciom, znalazłem coś jeszcze. A mianowicie –

znaną mi twarz. Oczywiście, że teraz jej właścicielka była stara, pomarszczona i zgarbiona, ale z całą pewnością nie był to nikt inny.

Na wszystkich fotografiach była Dorotea.

Ułożyłem je chronologicznie, według dat na odwrocie i oto ukazała się moim oczom gospodyni na przestrzeni lat – z każdą dekadą coraz starsza. Na pierwszym zdjęciu z roku 1949 wyglądała młodo. Nie mogła być dużo starsza ode mnie, miała może z osiemnaście lat, ale i tak na jej twarzy nie było cienia uśmiechu. Myślę, że przesiąkła goryczą w bardzo młodym wieku i nigdy się jej nie pozbyła.

Ani śladu zapłaty!  
Nasz gniew wzbiera.  
„Chcą nas oszukać”, mówimy drzewom.  
„Chcą się wykpić od spłaty długu”.

„Spłaca go”, szepczą drzewa.  
„Nie mają wyboru.  
Czy nie pamiętacie?”

Owszem, pamiętamy.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Postanowiłem pójść do kuchni. Nie miałem ochoty tam iść, ale jeśli zależało mi na odpowiedziach, to Dorotea była jedyną osobą, od której mogłem je uzyskać. Inna sprawa, czy rzeczywiście chciałem je otrzymać i czy ona chciała ich udzielić. Ale przecież znała te dzieci. Przeżyła wszystkie zaginięcia. „W tym lesie ciągle giną ludzie”. A więc musiała wiedzieć, co się wydarzyło, no nie?

Jakoś automatycznie założyłem, że kuchnia znajduje się za drzwiami w naszej jadalni, ale byłem w błędzie. Drzwi otwierały się na ciasny korytarz, tak wąski, że mogła się w nim zmieścić jedna osoba z tacą, nic więcej. Zawahałem się, przestępując próg. Ten korytarz sprawił, że poczułem się nieswojo. Nie miał okien. Jedynym źródłem światła była goła żarówka wisząca pod niskim sufitem. Włączyłem ją. Zamrugła nieznacznie, kiedy przechodziłem pod nią, rzucając poszarpane cienie na obdarte ściany.

Drzwi po drugiej stronie niczym się nie wyróżniały, poza tym, że ich klamka była tak wyślizgana, że trudno mi było ją uchwycić. Ale przynajmniej nie zaskrzypiała, kiedy już udało mi się ją obrócić. Drzwi rozwarły się w ciemność wypełnioną kuchennymi zapachami – gotowanego tłuszczu, kiełbasek i miliona innych rzeczy, których nie umiałem zidentyfikować. Przy ściśniętym żołądku cały ten huragan woni przyprawił mnie o mdłości.

Spodziewałem się zastać staruchę w kuchni. Fakt, że była dopiero piąta rano, ale przecież ludzie w jej zawodzie wstają o nieludzkich godzinach, żeby rozpalić w piecu i krzątać się przy garach, zgadza się? Śniadanie

zawsze czekało na nas dokładnie o siódmej, więc gospodyni musiała wstawać przynajmniej odrobinę wcześniej. Ale w kuchni nikogo nie było.

Rozejrzałem się dookoła. Na samym środku stał duży drewniany stół. Był zavalony wałkami do ciasta, garnuszkami pełnymi przyborów kuchennych, deskami do krojenia, blachami do pieczenia. Na środku było puste miejsce, w którym najwyraźniej Dorotea przygotowywała posiłki. Dawno temu, u zarania dziejów, kiedy ewolucja nie zdecydowała jeszcze, czy dać nam palce czy pióra, używany był pewnie cały stół, ale teraz w całym domu było nas tylko czworo. Pod ścianami po lewej i prawej stronie stały wielkie kredensy. Półki ich nadstawek uginały się od naczyń, a w masywnych dołach były drzwiczki i szuflady.

Sama kuchnia była znacznie mniejsza, niż się spodziewałem. Zmieściłaby się wewnątrz mojego pokoju. A jednak z całą pewnością Dorotea spędzała w niej mnóstwo czasu. Wskazywały na to stary fotel na biegunach i mały przyścienny stolik, stojące przy obszernym kominku w tylnej części kuchni. Na stoliku stał srebrny czajnik do herbaty i poobijany srebrny kubek. Wyobraziłem sobie, jak stara przesiaduje tam, w mroku i duchocie, kiwa się w tę i wewtę, i przez cały dzień mamrocze coś w pustkę.

I wtedy dostrzegłem półkę nad kominkiem. Wykonano ją z jednego kawałka drewna, który wyglądał na równie stary jak sama Dorotea. Na półce zalegała zbieranina różności: na wpół stopione świece przypominające rekwizyty z horroru, stare książki w miękkiej oprawie z wyschłymi na wiór, poskręcanyimi stronami, wyglądającymi jak rzeźbiona kość wieloryba (a przynajmniej mam nadzieję, że była to kość wieloryba właśnie) i tym podobne bibeloty.

Była tam też... fotografia. Jedna. Czarno-biała. Stała oparta rogiem o ścianę.

Podszedłem bliżej, lawirując między kaniem stołu a jednym ze starych, masywnych wózków na naczynia. Po pierwsze, rzuciło mi się w oczy podobieństwo tego zdjęcia do tych, które przed chwilą oglądałem. Tutaj również służbę ustawiono przed głównymi drzwiami w dziwnym,



jednobarwnym blasku letniego słońca. Był też na nim kolejny postawny, krzepki okaz pana i władcy tego domu, którego mina mówiła „to wszystko jest moje”. Ale poza nim i otaczającą go służbą w uniformach, nie było na zdjęciu innych osób. W pierwszej chwili pomyślałem, że może nie miał rodziny. A potem zauważyłem, że patrzę tylko na fragment zdjęcia. Większą jego część ktoś zagiął do tyłu. Musiał to zrobić wiele lat temu, bo zagięcie było tak sztywne, że rozginając je, mógłbym złamać odbitkę na dwoje. Żeby zobaczyć resztę zdjęcia, musiałem je odwrócić.

Byli tam kobieta i chłopiec, którzy, sądząc po ubraniach, na pewno nie należeli do służby. Zagięcie miało usunąć ich z fotografii.

Przechodziło w takim miejscu, że przecinało na pół twarz chłopca, przez co była ona prawie niewidoczna. Natomiast z twarzą jego matki było... jeszcze gorzej. Ktoś ją wydrapał, pozostawiając w jej miejscu tylko plamę pożółkłego papieru.

Próbowałem skupić wzrok na chłopcu, ale przez to zagięcie trudno było zobaczyć, jak wyglądał.

Ponownie odwróciłem zdjęcie i przyjrzałem się ludziom, których Dorotea chciała oglądać. Patrząc z bliska, wreszcie ją dostrzegłem. Na tym zdjęciu też była, i to młodsza niż na najwcześniejszym ze znalezionych w gabinecie. Wyglądała na młodszą ode mnie, mogła mieć piętnaście lat, coś koło tego. Stała przy lewym łokciu swojego pana, i była tak malutka, że ledwie sięgała mu do ramienia. Nie patrzyła w obiektyw. Zamiast tego gapiła się na pana z wyrazem zachwyту na twarzy. I z uśmiechem.

Drzwi za moimi plecami otworzyły się. Odwróciłem się i ujrzałem Dorotę. Dopiero po sekundzie zorientowała się, co widzi, i wtedy wpadła w szal. Jakby nagle opadła zasłona. A raczej ciężka, intensywnie czerwona kurtyna.

– Ty! – wysyczała starucha. – Wynoś się stąd! Wynoś się! Poszedł won! Wynocha!

Jej wzrok padł na fotografię w moim ręku. Rzuciła się na mnie, żeby ją wyrwać. Zrobiłem krok do tyłu i uniosłem zdjęcie nad głowę, gdzie nie

mogła sięgnąć.

– Chcę tylko porozmawiać, to wszystko – powiedziałem, gdy chybiła zdjęcia i wpadła z impetem na stół, przewracając naczynie z przyborami kuchennymi. Rozsypały się z hukiem i zaczęły toczyć po stole, a potem spadły na podłogę.

– Nie wolno ci! – wrzasnęła. – Nie masz prawa tutaj wchodzić!

Wciąż próbowała odebrać mi zdjęcie. Jej desperacja była zarazem tragiczna i żalosna. Coś we mnie chciało mi się śmiać, ale myślę, że był to tylko odruch bezwarunkowy. Być może rezultat szoku. Albo przerażenia. Ale byłem zdeterminowany, żeby dowiedzieć się tego, po co przyszedłem, więc zmusiłem się, żeby jej nie wyminąć i nie rzucić się do wyjścia.

– Potrzebuję tylko informacji, nic więcej! – Wskazałem zdjęcie. – Ten chłopiec zaginął, prawda? Zaginął, tak jak inne dzieci, zgadza się?

Nagle znieruchomiała, dysząc ciężko, a jej koścista klatka piersiowa to unosiła się, to opadała. Obrzuciła mnie jednym ze swoich trujących spojrzeń. Staralem się je zignorować.

– Ty wiesz, co się z nimi stało, prawda? Ja też chcę się dowiedzieć. To wszystko.

Spojrzenie Dorotei znów padło na fotografię.

– To zdjęcie jest moje. – Jej głos ociekał jadem.

Wyciągnąłem lekko drżącą rękę ze zdjęciem w jej stronę. Wyrwała mi je i chwyciła obiema rękami. Pomarszczonym kciukiem pogładziła czule wizerunek mężczyzny, który zapewne był jej panem. Pomyślałem, że mógł „być jej panem” na wiele sposobów. Kiedy tu przyjechała, musiała być bardzo młoda, a poza tym wyjaśniałoby to wydrapaną z fotografii twarz jego żony, prawda?

– Jak miał na imię ten chłopiec, Doroteo? Opowiedz mi o nim.

Nagle odchrząknęła flegmę. Przez chwilę myślałem, że opluje mnie, ale gwałtownie odwróciła głowę i splunęła do kominka. Nie spojrzała na mnie ponownie. Na chwilę zapadła dziwaczna cisza.

– Nie pamiętam – w końcu rzuciła krótko. – To było zbyt dawno.

– Gdyby to była prawda, to nie pamiętałabyś też innych ludzi na tym zdjęciu – odparowałem – ale ich pamiętasz. Mam rację? – Wskazałem pana i władcę prężącego się jak król świata na tle wszystkich ludzi, którymi zarządzał. – Na przykład tego tutaj. Jego, zdaje się, dobrze pamiętasz, Doroteo? To dla niego trzymasz tutaj to zdjęcie, prawda?

Obrzuciła mnie spojrzeniem, które – dałbym sobie głowę uciąć – wyrażało czystą nienawiść.

– Ta sprawa mnie nie interesuje – ciągnąłem. – Naprawdę, ani trochę. Ale chcę wiedzieć, co się stało z chłopcem. W jaki sposób umarł?

Dorotea powoli zamknęła i otworzyła oczy.

– On nie umarł. Ona też nie.

Poczułem zimny uścisk wokół serca. W mojej głowie rozbłysło wspomnienie dziewczynki z lasu i z mojego pokoju.

– Jaka *ona*? – udało mi się wykrztusić.

Dorotea wciąż jeszcze patrzyła na fotografię. Pocierała kciukiem miejsce, gdzie dawniej widniała twarz żony jej pana. Ulga wybuchła w mojej piersi jak fajerwerk. Stara nie mówiła o dziewczynce. Oczywiście, że nie. Chodziło jej o matkę chłopca.

– Nie umarła? Aha. – Sam słyszałem buzującą w moim głosie ulgę. – Czyli co, wyjechała? Zabrała chłopca i wyjechali razem?

Dorotea nie odrywała wzroku od trzymanej w kurczowym uchwycie fotografii.

– Są rzeczy gorsze od śmierci – powiedziała. – Dla nas są lepsze. Ale dla nich – gorsze.

Przełknąłem ślinę. Serce znów zaczęło mi walić.

– Jakie? Co masz na myśli?

Spojrzenie, którym mnie uraczyła, mogłoby pokroić mięso.

– Wynoś się z mojej kuchni.

– Nie. Wyjdę, kiedy mi powiesz, co się z nimi stało – odparowałem. – Kim byli? Jak się nazywali? – Miałem nadzieję, że jednak uda mi się

czegoś o nich dowiedzieć. Może nawet tego, dokąd wyjechali. Ale twarz Dorotei była jak kamienna maska.

– Nie pamiętam.

– Kłamiesz – naciskałem. – Dobrze wiesz, kim są. Dlaczego nie chcesz powiedzieć? Mów albo przysięgam, że...

– Że co? – Odsłoniła zęby, robiąc krok w moją stronę. Gdy się poruszyła, dostrzegłem błysk jednego z noży w drewnianym bloku na stole za jej plecami. Oczami wyobraźni zobaczyłem, jak zajadle wydrapuje ostrzem twarz matki chłopca na fotografii. Cofnąłem się.

– O, właśnie. Uciekaj, głupi chłopaku – syknęła fałszywie. – Myślisz, że coś znaczysz? Że jesteś ważny?

Zmusiłem się, by pozostać bez ruchu. Po chwili się odezwałem, a głos mi nie zadrżał, co napełniło mnie dumą.

– Chcę wiedzieć, kim oni są i co się z nimi stało. Opowiesz mi o wszystkich. O każdym, kto tutaj zaginął.

Jej usta wykrzywił demoniczny uśmiech.

– Nigdy. Nie wymówię ich imion. Nigdy więcej ich nie usłyszą. Już zawsze będą tym, czym są.

Tak, zauważyłem, że mówi o nich w czasie teraźniejszym. Przywiodło mi to na myśl chłopaków od Tomasa, tych, którzy wydawali taki sam odgłos, jaki słyszałem w lesie. „Odgłos, który wydają duchy”, chyba tak go określili? Duchy z lasu.

Z trudem przełknąłem ślinę.

– Nie rozumiem? A więc czym oni są? Duchami?

Ponownie wydała z siebie chrząknięcie. Myślałem, że splunie, ale tego nie zrobiła.

– „Duchami” – powtórzyła ze wstrętem. – Oni są lasem. Są varulvami.

– *Varulvami*? – teraz ja powtórzyłem po niej, a uczucie mdłości, które miałem, wchodząc do kuchni, powróciło zwielokrotnione. – Czyli... wilkami?

Spojrzała na mnie z drwiną.

– Nie wilkami, tylko varulvami.

I wtedy, nim zdołałem zareagować, rzuciła się do przodu i mnie popchnęła. Była znacznie silniejsza, niż mogłem się spodziewać. Poleciałem plecami na ścianę i mocno, z ciężkim stuknięciem rąbnąłem głową o półkę kominka.

– Poszedł stąd – powiedziała Dorotea. – Won. WYNOCHA.

## Rozdział dwudziesty drugi

Zerwałem się biegiem. Wymacałem klamkę, obróciłem ją z całej siły i popędziłem wąskim korytarzem. Kiedy znalazłem się w jadalni, zatrzasnąłem za sobą drzwi i oparłem się o nie całym ciężarem. Nasłuchiwałem, czy Dorotea nie idzie za mną, ale nie szła. Serce waliło mi w piersi. Myślałem, że zwymiotuję. Nie tylko dlatego, że Dorotea mnie przestraszyła, ale ponieważ nic z tego wszystkiego nie rozumiałem. Czy to, co mówiła, miało jakiś sens? W podpisach na zdjęciach Erik nie wspomina słowem o zaginięciu matki chłopca. Ale przecież one wszystkie mogły mieć dość życia na tym zadupiu w cieniu swoich wieprzowatych mężów. Czy to nie jest wystarczająco dobrym wyjaśnieniem ich decyzji o zabraniu dzieci i ucieczce w siną dal?

Ale według Dorotei tak się nie stało, prawda? Co, u diabła, miała na myśli, mówiąc, że „oni są lasem”?

Varulvy. To słowo unosiło się wokół mnie jak duch. Tomas powiedział, że miejscowi mówią tak na wilki, ale wersja Dorotei była zupełnie inna. Miałem ochotę uciec do pokoju, schować się pod kołdrą i już spod niej nie wyłazić, ale jeszcze bardziej chciałem się dowiedzieć, co tu się, do cholery, dzieje. Ponieważ nie mogłem wyszukać niczego w internecie ani zadać pytań nikomu sensownemu, trzeba było działać odlskulowo. Ruszyłem do biblioteki. Po drodze upewniałem się co kilka kroków, że Dorotea nie siedzi mi na karku. Byłbym najszczęśliwszy, gdybym już nigdy w życiu nie musiał jej oglądać.

Kiedy dotarłem do biblioteki, puls zdążył mi się odrobinę uspokoić, ale mdłości nie całkiem ustąpiły. Wciąż miałem zawroty głowy i zaciśnięty żołądek i wydawało mi się, że wszystko wokół mnie wiruje. Przez kilka

minut stałem w otwartych drzwiach. Ślizgając się wzrokiem po niekończących się regałach, kombinowałem, od którego zacząć. Sięgały aż do sufitu. Przy regałach stały długie biblioteczne drabiny, z którymi można było sięgnąć po książki z górnych półek. Większość tomów wyglądała na tak samo stare jak te w gabinecie. Miały skórzane albo tkaninowe okładki w kolorze czerwonym i zielonym. Niektóre były wypłowiało-niebieskie. Podszedłem do najbliższego regału i wyciągnąłem pierwszą książkę, na którą trafiłem dłonią. Od czegoś trzeba zacząć. Była to „Trwoga”, dość stara klasyczna powieść Para Lagerkvista, w tych okolicznościach niespecjalnie przydatna. Odłożyłem ją i ruszyłem wzdłuż półek, starając się rozgryźć, w jakim porządku ułożono książki. Po chwili się zorientowałem, że po jednej stronie są powieści, a po drugiej – literatura faktu.

Ponieważ poszukiwałem faktów, skupiłem się na tych drugich. Wyciągałem książki na chybił trafił, poszukując encyklopedii. Musiała tam być. Przypuszczam, że w bibliotece były wszystkie tytuły, które kiedykolwiek wydano po szwedzku. Mniej więcej w połowie wysokości starej, rozklekotanej drabiny nareszcie ją znalazłem – był to pierwszy z wielu tomów. Lustrowałem tomy wzdłuż półki, szukając litery V. Kiedy wreszcie ją znalazłem i sięgnąłem po wolumin, zauważyłem, że jest wciśnięty głębiej od pozostałych. Nieznacznie, może o centymetr – to wszystko. Ale jednak stał głębiej. Masywny tom był oprawiony w zmatowiałą czerwoną skórę. Wyciągając go, musiałem skrócić się na drabinie, żeby móc go szarpnąć i chwycić oburącz, bo ważył chyba z tonę.

Z wysiłkiem zgramoliłem się po drabinie, zepchnąłem mały stos książek z najbliższego stołu i upuściłem tom na blat. Po pierwsze, odnalazłem na ostatnich stronach indeks – byłem pewien, że znajdę tam wyraz varulw. Zajęty szukaniem właściwej strony, dostrzegłem kawałek papieru wystający na górze pomiędzy kartek. Czyżby ktoś zaznaczył którąś stronę? Papier wyglądał na wyrwany z zeszytu w linie. Ale dziwnie zrobiło mi się dopiero, kiedy zobaczyłem, którą stronę wskazuje. Dokładnie tę, której szukałem. Wbiłem wzrok w dekoracyjny es-flores

nagłówka zajmujący połowę poźółkłej strony. Wyraz varulv rozmywał się, przekształcając się w złowieszczy szkic naprawdę przerażającego wilka, z masą nastroszonego futra i wyszczerzonymi, ociekającymi krwią zębiskami.

Złożoną na pół kartkę z zeszytu umieszczono w tym miejscu celowo. Gdy ją podniosłem, coś z niej wypadło i wylądowało na stole przede mną. Gapiłem się na to coś przez sekundę jak wmurowany.

Był to kolejny autoportret z polaroida.

Tym razem Erik nie miał okularów przeciwsłonecznych. Był tak blisko obiektywu, że wreszcie dostrzegłem, jak bardzo jasnoniebieskie miał oczy. Powód, dla którego zdjął okulary, okazał się oczywisty, gdy tylko spojrzałem, co jest za nim. To zdjęcie zrobił w domu. Wnętrze wyglądało na sypialnię – założyłem, że jego własną. Tło było dość ciemne, ledwie można było rozróżnić łóżko, które najwyraźniej ścielił tak często, jak ja swoje, czyli nigdy.

Bardzo długo wpatrywałem się w zdjęcie, zastanawiając się, co Erik próbował na nim uwiecznić. Nie widziałem tam niczego poza bałaganem w sypialni, co, jak mi się wydaje, mogło być dość niezwykle jak na gościa w wieku Erika, ale poza tym wszystko wyglądało tam zwyczajnie. I wtedy zajarzyłem, że rozmazane plamy na zdjęciu były tak naprawdę smużkami.

A konkretnie – smużkami dymu. Jego kłęby unosiły się nad łóżkiem. Na pierwszy rzut oka zdjęcie przedstawiało poranną scenę, w której Erik obudził się i wstał, a skłębioną kołdrę i koce zepchnął z łóżka. Cała pościel była bardzo ciemna. Z początku nie wydało mi się to niezwykle, po prostu założyłem, że jest czarna. A jednak, po dłuższych oględzinach, dostrzegłem, że wcale nie była czarna. To była biała pościel, która poczerniała od dymu i ognia. Zwęgliła się, bo ktoś ją podpałił.

Im uważniej się przyglądałem, tym więcej dostrzegałem szczegółów. Zwęglone, pozwijane koce spoczywające na podłodze i osiadłe na ścianach czarne pasma dymu. Małe, ale dobrze widoczne kropelki wody ściekające kaskadą po poduszce, będące pewnie śladem po akcji gaśniczej, którą podjął Erik, kiedy spostrzegł, co się dzieje. Czarne odciski



ubabranych sadzą dłoni, którymi dusił ostatki płomieni.

Wpatrując się w zdjęcie, dostrzegłem coś jeszcze. Była do ucięta w kadrze matowozłota rama wisząca na ścianie. Lustro. Moje lustro. To znaczy lustro wiszące na ścianie w moim pokoju.

A więc zdjęcie przedstawiało mój pokój.

Odłożyłem je na stół. Nagle odechciało mi się na nie patrzeć. Zamiast niego podniosłem kartkę wyrwaną z zeszytu. Odręczne bazgroły Erika – bo przecież musiałem założyć, że to było jego pismo, prawda? – wskazywały na to, że bardzo się śpieszył albo że trząsł się ze strachu.

„Mam już dość”, pisał. „Nie mogę wygrać, a więc wyjadę. Muszę stąd zabrać Olsa, zanim spadnie śnieg, bo wtedy będzie za późno. Albo wcześniej”

I tyle. Nic więcej. Urwał w pół zdania. Może coś mu przerwało, ale chciał wrócić do notatki, żeby dokończyć to, co zamierzał napisać, ale już tego nie zrobił. A może...

Sam nie wiem, jak miała zabrzmieć moja myśl po tym „a może”. Nie pozwoliłem jej się rozwinąć. Miałem chęć zatrzaskać opasłe tomisko i uciec, ale jednak zmusiłem się, żeby spojrzeć na wpis o varulvach.

Im bardziej zagłębiałem się w lekturze, tym mniej rozumiałem. Gdy Tomas wyjaśniał nam znaczenie tego słowa, to albo nie miał bladego pojęcia, o czym mówi, albo łgał jak pies.

„Varulv” absolutnie nie znaczy „wilk”, a w każdym razie na pewno nie w sensie, który z tym słowem się normalnie kojarzy. Ale co do jednego Tomas miał rację – było to słowo miejscowe. Encyklopedia objaśniała je w następujący sposób:

Varulv (rzecz.)

Legendarna zjawia, właściwa dla tradycji ludowych północnej Skandynawii.

*Według pradawnych podań ludowych varulv jest leśnym duchem powstałym z połączenia człowieka i wilka. Mimo że istota owa z wyglądu*

przypomina wilka, to nie jest ani prawdziwym wilkiem, ani człowiekiem. Do jej powstania dochodzi w wyniku ugryzienia przez varulva, którego ofiara sama staje się varulvem. Według podań przemiana ta jest rezultatem zaniku ludzkiej tożsamości w wyniku utraty pamięci, a ta, zgodnie z pewnymi wersjami mitu, może być odzyskana wyłącznie, jeśli varulv zostanie zawołany po imieniu, które nosił jako człowiek. Jeżeli je pamięta, będzie mógł powrócić do dawnej ludzkiej postaci. W razie, gdy powrót do ludzkiej postaci nie nastąpi, istota owa będzie żyć wiecznie jako varulv, ponieważ mówi się, że są one nieśmiertelne. Wraz ze śmiercią ostatniej osoby pamiętającej ludzkie imię varulva jego los zostaje przypieczętowany.

Chociaż większość istniejących ilustracji i opisów przedstawia varulvy jako istoty budzące strach, to najwyraźniej pierwotnie uważano je za opiekunów wielkich lasów północy. Źródła mitu nie są jasne, ale wydaje się, że poprzedzają one język pisany. Najwcześniejsze podania pisemne sugerują, że społeczności oddawały drzewom swoich członków jako ofiarę duchową. Dzięki niej ludy mieszkające w lasach mogły cieszyć się dostatkiem. Z szacunku dla przyrody każde pokolenie oddawało jej jedną osobę, która musiała przemienić się w varulva. Czyniono tak na znak zrozumienia, że mieszkający w tamtych stronach ludzie pozostają na łasce istot od nich starszych: a mianowicie samych drzew. W sytuacjach nadzwyczajnych, czyli w razie nadmiernego niszczenia lasów przez ludzi, konieczna była większa liczba ofiar tego rodzaju. Podaje się przykłady wzrostu populacji ludzkiej wymagającego intensywniejszego wyrębu lasu w celu pozyskania drewna na budowę domów, jak również jego dewastacji w wyniku pożaru zaprószonego ludzką ręką. W ramach przeprosin i zadośćuczynienia oddawano lasom więcej członków społeczności ludzkiej – często, ale nie wyłącznie, dzieci. Uważano, że w ten sposób odzyskuje się równowagę w relacji pomiędzy lasem a mieszkającymi w jego granicach ludźmi. Ofiary te składano wyłącznie w chwili nadejścia pierwszych opadów śniegu.

Przypuszcza się, że pradawne legendy o varulwach były przyczynkiem

*do powstania współczesnych popularnych opowieści o wilkołakach.*

*Patrz również: Kulning.*

Zepchnąłem tom z kolan. Spadł na podłogę z ciężkim łupnięciem. Nie chciałem go już więcej widzieć. Siedziałem, a w głowie szumiało mi tak, że nie mogłem myśleć. Miałem wrażenie, że w czaszce otwiera mi się czarna dziura, a z każdą próbą ogarnięcia tego, co właśnie przeczytałem, tego, jak to się ma do wydarzeń, które nastąpiły od naszego przyjazdu i powracającego jak echo *tutaj ciągle giną ludzie*, moje myśli osuwały się w bezdenną otchłań.

Drzewa się niecierpliwią. My również.  
Zmierzamy do celu, a one się wiją  
Na wietrze,  
W śnieżycy.

„Zapłacą nam”,  
huczy las.  
„Muszą”.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Zacisnąłem powieki, a potem przycisnąłem je palcami tak mocno, że aż pojawiły się gwiazdy. To wszystko nic nie znaczyło. Absolutnie nic, prawda? To była tylko głupia ludowa opowieść z czasów, których i tak nikt już nie pamięta, nic więcej.

Poza tym, że chłopcy, których przyłapałem na dziwnym śpiewie, byli przekonani, że to odgłos, który wydają duchy z lasu. Poza tym, że sam widziałem coś w lesie. Poza tym, że kiedy tylko poprzedni właściciel zabrał się do masakrowania starych drzew, zaczęły mu się przytrafiać dziwaczne przygody. Poza tym, że coś posiekało na kotlety urządzenia do wycinki, żebyśmy nie mogli pójść w jego ślady. Poza tym, że goniła mnie dziewczynka z paszczą pełną ostrych kłów, a ojciec widział w niej tylko wilka. I poza tym, że drzewa na zewnątrz robiły wrażenie wściekłych.

Poza tym, że w tym lesie ciągle giną ludzie. Ponownie otworzyłem oczy. Tom encyklopedii pozostał otwarty na stronie z przerażającym rysunkiem varulva.

„Chyba tracę rozum”, pomyślałem. „Jak Boga kocham, zaczyna mi regularnie odbijać. Na pewno jest jakieś inne wyjaśnienie, tylko muszę je odnaleźć”.

Zostawiłem tom encyklopedii na podłodze. Nie było mowy, żebym miał przeczytać choćby jedno słowo więcej z tych bzdur. Ani teraz, ani – całkiem możliwe – nigdy, ale podniosłem zdjęcie i notatkę. Potem opuściłem bibliotekę i poszedłem korytarzem do gabinetu. Wciąż było wcześnie, a w domu panowała cisza, ale z zewnątrz dochodziły odgłosy

wiatru i drzew wściekle kiwających się w tę i nazad, jak gdyby chciały rozszarpać świat na strzępy. A może tylko żyjących na nim ludzi.

Pozostałe polaroidy i stare zdjęcia wciąż leżały na biurku. Rozłożyłem je w dwóch rzędach: w górnym polaroidy Erika, a poniżej czarno-białe portrety rodzinne. Umieściłem najnowsze znalezione selfie Erika obok pozostałych i zmusiłem się, żeby ponownie je obejrzeć. Wciąż przypominało mnie o dreszcze. Potem odwróciłem zdjęcia grupowe, żeby jeszcze raz spojrzeć na opisy i daty znajdujące się na odwrocie. Ciekawe, skąd Erik znał daty wszystkich zaginięć? Doszedłem do wniosku, że mógł zadzwonić do miejscowego komisariatu policji i o to zapytać. W końcu policja chyba wie takie rzeczy, no nie? Nawet jeżeli akta są naprawdę stare, to wciąż muszą być w jakichś archiwach. A zresztą wydarzenia tego rodzaju zapadają ludziom w pamięć, prawda? Jeżeli w jednym miejscu na przestrzeni kilku dekad ginie wiele osób, to ktoś musi o tym pamiętać. Postanowiłem, że pójdę za przykładem Erika.

Ale nie zdążyłem. Sięgałem już po słuchawkę, kiedy znów odezwał się ten cholerny dźwięk: sygnał grany na myśliwskim rogu, śpiew czy sam nie wiem co jeszcze. Dobiegał z miejsca bliższego niż kiedykolwiek wcześniej. Wznosił się i falował przejmująco, prawie jak głos człowieka, ale nim nie był. Zastygłem, próbując go ignorować, ale wciąż go słyszałem.

I wtedy dobiegł mnie krzyk:

– Ingdid! INGRID! Gdzie jesteś?

To był ojciec. Usłyszałem trzaśnięcie drzwi do sypialni rodziców i tupot kroków. Ojciec biegał od pokoju do pokoju, otwierał i zamykał drzwi i wołał mamę po imieniu. Wybiegłem z gabinetu i popędziłem korytarzem do holu wejściowego.

Podwójne drzwi wejściowe były otwarte na oścież. Ich skrzydła obijały się o ściany na ryczącym wietrze, który szalał w domu, wdmuchując śnieżycę do wnętrza.

– Tato! – wydarłem się. – TAAATOOO!

Wybiegł na balkon i wychylił się przez balustradę. Kiedy dostrzegł

otwarte drzwi, jego twarz zbladła niezdrowo.

– Widzisz ją tam? Wyszła na dwór?

– Nie wiem. – Staralem się przekrzywić wycie wiatru. Ojciec zbiegł po schodach i ominął dziurę w podłodze.

– Musimy ją znaleźć.

– Na pewno nie wyszła na zewnątrz – powiedziałem. – Nie w taką pogodę. Może poszła do łazienki?

– Nie ma jej w łazience – zazgrzytał ojciec. Podeszedł do drzwi, podnosząc rękę, żeby osłonić oczy przed lodowatymi ukąszeniami niesionych przez zadymkę płatków śniegu.

– No, rusz się i mi pomóż!

Nie mieliśmy na sobie kurtek, ale wyszedłem za nim na dwór. Wiatr był tak silny, że kiedy znalazłem się za drzwiami, prawie mnie przewrócił. Nie byłem w stanie oddychać. Gwałtowny podmuch uderzył mnie w pierś, miażdżąc płuca. Wzięłem dychawiczny oddech i poczułem, jak lodowata tarka powietrza parzy mnie w gardło. Usta od razu zaczęły mi zamarzać.

– TATO! – krzyknąłem. – TATO!

Ciemny zarys jego postaci odwrócił się, wyciągnął rękę i ojciec chwycił mnie za ramię. Pociągnął mnie za sobą ze schodków przed wejściem. Pokonaliśmy chwiejnie ledwie kilka kroków, ale miałem wrażenie, jakbyśmy zanurzali się otchłani. Już nawet dom zniknął mi z oczu. Widziałem tylko chaos śnieżnej burzy, kłębiące się wokół nas gwałtownie pasma bieli. Ojciec trzymał mnie za ramię i nagle zaczął nim potrząsać. Zrozumiałem, że chce, żebym spojrzał na coś, co dostrzegł na ziemi.

Ślady stóp. Oddalały się od domu i już zaczynały zniknąć pod świeżym śniegiem.

Podtrzymując się wzajemnie, ruszyliśmy tam, dokąd prowadziły. Było mi tak zimno, że straciłem czucie w palcach. Śnieżnica pozbawiała tchu, szarpała za ubranie i cięła skórę mrozem. Nie słyszałem nic poza wściekłym wyciem wiatru. Nie widziałem nic z wyjątkiem pędzącego śniegu.

I wtedy dostrzegłem jakiś kształt. A właściwie nawet nie kształt, tylko ciemniejszą plamę pośród kłębow ciemnej bieli, gdzie rozmyta kipiela wirowała trochę słabiej. Był to jeden jedyny stały punkt, dokładnie przed nami.

Mama.

O mało na nią nie wpadliśmy. Chyba klęczała na śniegu. Ojciec puścił moje ramię, złapał mamę i pociągnął w górę, pomagając jej wstać. Zrobiłem tak samo. Chyba coś krzyczała, ale w zawierusze, przy świszczącym wietrze mogło mi się tylko wydawać. I wtedy, na sekundę, śnieg się rozstał. Spojrzałem w górę – drzewa stały wokół nas, a potworna czarna masa ich koron wiła się straszliwie. Zastaliśmy mamę klęczącą u podnóży ich pni. Mama klęczała właśnie przed nimi. Zawołałem ją, ale nawałnica wydarła mi słowa z ust. Potem coś pociągnęło mnie do tyłu, to ojciec zaczął wycofywać się do domu, wlekąc za sobą mamę i mnie. Brnęliśmy, podtrzymując mamę między sobą, potykając się, zatrzymując i ponownie ruszając z miejsca. Myślałem, że nigdy nie odnajdziemy wejścia do domu. Wydawało mi się, że wiatr spycha nas z powrotem między drzewa. Że będziemy tak brnąć i zataczać się oślepieni przez śnieg, krążyć, zapuszczając coraz głębiej w lasu i coraz dalej od domu, aż zgubimy się na amen i już nikt nigdy nie zdoła nas odnaleźć.

W tym lesie ciągle giną ludzie.

Jakimś cudem ojcu udało się doholować nas do domu. Wchodząc do środka, potknęliśmy się o próg, runęliśmy jak dłudzy na podłogę i przez chwilę leżeliśmy jedno na drugim, usiłując złapać oddech, a zadymka wdzierająca się do holu. I wtedy zobaczyłem krew.

– Tato, mama krwawi – powiedziałem wysokim, spanikowanym głosem, gramoląc się na kolana. – Tato!

Ojciec już ją oglądał. Posadził ją na podłodze i wyciągnął do siebie jej ramiona. Jej biała skóra była pocięta w poprzek nadgarstków, a rany broczyły szkarłatem.

– Ona mówi, że on nie może mnie odnaleźć – powiedziała skołowanym



głosem. – Że miałam mu wskazać drogę do mnie. Teraz już mnie odnajdzie. Już wszystko dobrze. Nic mi nie jest. To po to, żeby mógł mnie odnaleźć. Wtedy będzie mógł mi powiedzieć, jak ma na imię.

„On nie wie, jak ma na imię – pomyślałem, a w mojej głowie zabuzowała panika. – Dorotea kłamała, sugerując, że on je zna. Bo on jest jednym z nich. Nie może być inaczej. Jest jednym z zaginionych. On jest..”.

Ojciec zacisnął dłonie na nadgarstkach mamy i spojrzał na mnie. Na jego twarzy malowało się czyste przerażenie.

– Wezwij pogotowie lotnicze – powiedział. – Niech tu NATYCHMIAST przylecą!

Wstałem i pobiegłem do telefonu w holu. Chwyciłem słuchawkę i podniosłem ją do ucha.

Nie było sygnału. Telefon nie działał.

Nad dziurą w podłodze moje spojrzenie spotkało się ze wzrokiem ojca.

Byliśmy zupełnie odcięci od świata.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Pomogłem ojcu zaprowadzić mamę na górę. Nie odezwała się już więcej, tylko drżała z zimna. Ojciec był biały jak ściana. Albo raczej... jak śnieg.

Zapakowaliśmy mamę do łóżka. Krwawienie ustało, bo rany okazały się niezbyt głębokie. Były raczej paskudnymi zadrapaniami. Byłem zszokowany wypadkami, ale szok otępił mnie na tyle słabo, że wciąż czułem się skołowany, jakby wszystko stanęło na głowie. Przecież chodziło o moją mamę. Leżąc na białej pościeli, wyglądała na tak kruchą, jak opuszczone przez rodziców pisklę, które razem uratowaliśmy, kiedy byłem mały. Wydawała się mieć zbyt dużo kości – były widoczne pod skórą. Spozrzegłem, że ma siwe włosy. Ale kiedy osiwiła? Kiedy tu przyjechaliśmy, nie była siwa. Wyszedłem z ich pokoju, zamknąłem za sobą drzwi i przez chwilę stałem, nasłuchując. Ojciec przemawiał do niej cicho. Nie słyszałem słów, ale to nie było ważne. Myślę, że on sam nie miał świadomości, co mówi. Poczułem coś na policzku i kiedy sięgnąłem, żeby to zetrzeć, zorientowałem się, że mam mokrą twarz. Płakałem, nawet o tym nie wiedząc. Poszedłem na dół, żeby jeszcze raz sprawdzić, czy telefon działa, ale sygnału wciąż nie było. Stałem tak ze słuchawką przy uchu, nie słysząc nic poza wyciem wiatru na zewnątrz domu.

Nie mogłem przestać myśleć o tym, co przeczytałem o varulwach. Były w większej części wilkami, tak? Wilki żywią się mięsem. Polują. A co mogło zwabić wilka w jakieś miejsce?

Krew. Jej zapach. To by pewnie zadziało, nie?

Kiedy odkładałem słuchawkę, poczułem, że ktoś mnie obserwuje. Odwróciłem się bardzo powoli. To była Dorotea. Stała w cieniu. Jak demon. Paskudny, pokrecony stwór. W tamtej chwili nienawidziłem jej

bardziej niż czegokolwiek w całym moim życiu.

– Ty to zrobiłaś, prawda? – warknąłem. – Namówiłaś mamę, żeby to zrobiła, bo myślisz, że na zewnątrz czają się nadprzyrodzone siły, które chcą nas dopaść.

Dorotea przyglądała mi się bez słowa swoimi odrażającymi, na wpół martwymi ślepiami.

– Jesteś chora na umyśle – ciągnąłem. – Kiedy się stąd wydostaniemy, zadbam o to, żebyś resztę swojego nędznego, bezsensownego życia spędziła na psychotropach, przykuta łańcuchem do pryczy.

Na to też nie odpowiedziała. Uśmiechała się tylko. Nie był to przyjemny widok.

– Jeśli jeszcze raz się do niej zbliżysz, to cię zbiję – zagroziłem. I każdą najmniejszą cząstką mojego jestestwa czułem, że bym to zrobił. I wiecie co? Starucha miała szczęście, że nie widziałem, gdzie ojciec trzyma strzelbę.

Wróciłem do gabinetu. Nie miałem pomysłu na dalsze działania, więc pomyślałem, że jeszcze raz rzucę okiem na fotografie. Nie mogłem spytać policji o zaginięcia – jeżeli to faktycznie były zaginięcia – ale przyszło mi na myśl, że może jest inny sposób, żeby się o nich czegoś dowiedzieć. Nie robiłem sobie w związku z nim zbyt wielkiej nadziei, ale gdybym wcale nie spróbował, to czułbym się jeszcze gorzej.

Opadłem na krzesło stojące za biurkiem i siedziałem na nim kilka minut, starając się rozwiać wspomnienie krwi kapiącej z nadgarstków mamy. Dotarło do mnie, że kiedy odkryłem zdjęcia, byłem nimi tak zaaferowany, że zupełnie nie pomyślałem o tym, żeby dokończyć przeszukiwanie szuflady, w której były schowane. Wyciągnąłem wtedy czerwony zeszyt, ale nie sprawdziłem, co jeszcze tam się kryje. Ułożyłem więc zdjęcia na stosie po jednej stronie biurka i wyciągnąłem całą szufladę.

Większość jej zawartości stanowiły nudne papierzyska. Ale tym razem wcale mi to nie przeszkadzało. Mówiąc szczerze, grzebiąc w cudzych szufladach, chyba i tak osiągnąłem już szczyt dziwactwa. Byłbym

zadowolony, gdybym nie znalazł niczego poza statystykami wyciętego drewna i fakturami.

Ale nie miałem takiego szczęścia.

Na samym spodzie kupy papierów znalazłem jeszcze jeden zeszyt. Ze cztery razy większy od tego, w którym znalazłem zdjęcia, i znacznie, znacznie starszy. Był oprawiony w zmatowiałą brązową skórę. Na froncie przyklejony był kawałek kruszącego się papieru o wystrzępionych i pozwijanych ze starości krawędziach. Myślę, że ta kartka i strony zeszytu były kiedyś białe, ale teraz całkiem pożółkły ze starości. Na etykiecie, prawdziwym, ale zupełnie wypłowiałym atramentem, zapisano tytuł.

„Plantacja Storaskogen”. Odręcznie pisane litery miały tyle zawijasów, że z trudnością je odczytałem. „Rocznik”. Kiedy otworzyłem zeszyt, jego grzbiet zaskrzypiał.

Rocznik zawierał niekończącą się listę imion, nazwisk i dat. Najwcześniejszy wpis, w pierwszej linijce na samej górze pierwszej strony, podawał rok 1840. Sporządzono go tym samym charakterem pisma co tytuł na okładce: „Sundberg, Hillof. Właściciel Plantacji”.

Poniżej widnieli pozostali członkowie rodziny Sundbergów – kobieta, którą wskazano jako żonę i pięcioro dzieci Hillofa. Jeszcze niżej spisano pracowników rodziny: nadzorcę plantacji, robotników i służbę domową – byli tu wszyscy. Ich nazwiska kładły się na papierze tym samym wyszukany charakterem pisma.

Przewracałem stronę za stroną. Wraz z upływem lat zmieniał się również charakter pisma oraz imiona i nazwiska – przynajmniej niektóre. Inne powtarzały się w kolejnych latach, ale czasami wpisywano je w innym miejscu, odpowiednio do nowego stanowiska na plantacji. Sundbergowie utrzymali się tutaj bardzo długo – kiedy ojciec wykitował, plantację przejęli dwaj synowie. Jak zahipnotyzowany śledziłem bieg historii tego miejsca zaklęty w nazwiskach i datach na pożółkłych stronach.

Aż wreszcie po roku 1920 coś się wydarzyło. Liczba uwidoczniionych

nazwisk zaczęła się zmniejszać. Z każdym rokiem coraz więcej pracowników odchodziło albo ich zwalniano. W roku 1925 Sundbergowie w końcu sprzedali plantację. Nowym właścicielem został Nelius Andersson. Rodzina Anderssonów nie zabawiła tu już tak długo – po pięciu latach pojawiła się inna, a ta sprzedała plantację po dwóch. Do tego czasu liczba nazwisk na listach była już tylko ułamkiem tego, co było wcześniej, kiedy zaczęto prowadzić rocznik. Przerzuciłem kolejną dekadę – zajmowała tylko trzy kartki.

Kolejny właściciel przejął plantację w roku 1938. Nazywał się Lundr Ek. Zauważyłem jego nazwisko, bo zaraz pod nim dwa imiona i nazwiska były zamazane czarnym atramentem tak gorączkowo i skutecznie, że wpisów nie dało się odczytać. Jednak opisów w trzeciej kolumnie nie usunięto. Zamazane nazwiska należały do żony i syna właściciela.

Z trudnością przełknąłem ślinę. Przyglądając się kolejnym nazwiskom na liście, zorientowałem się, że obejmując plantację, państwo Ekowie zatrudnili na służbę kilka nowych osób.

Była wśród nich pokojówka Dorotea Ásviðr, lat czternaście.

Serce zabiło mi mocniej. Przewróciłem stronę. Te same dwa nazwiska były zaczernione w następnym roku. I w kolejnym również. Łącznie wymazywano je z listy przez pięć kolejnych lat. Po roku 1942 nie wpisano ich wcale. W 1943 Lundr Ek sprzedał plantację, mimo że pod koniec zatrudniał znacznie więcej pracowników fizycznych, co mogło wskazywać, że interes nagle mu się rozkręcił. Następny właściciel przyjechał tu z żoną i malutką córeczką. Imienia niemowlęcia odczytać nie mogłem, bo było zaczernione atramentem, tak jak imiona pani Ek i jej syna w poprzednich latach. Imię dziewczynki wymazywano do roku 1949, a potem całkowicie zniknęło z listy.

Sięgnąłem po zdjęcia i odwracałem je kolejno, aż wreszcie trafiłem na to, które mnie interesowało.

„Dziewczynka, około 7 lat. Zaginęła w Storaskogen w roku 1949”.

Przyjrzałem się uważnie dziewczynce na zdjęciu i byłem pewien, że już wcześniej ją widziałem. To była dziewczynka z mojego koszmaru, ta

sama, którą widziałem w lesie, ociekającą krwią łosia. Ta, którą mój ojciec widział w postaci wilka.

Przeniosłem spojrzenie na listę ludzi zamieszkujących Stortaskogen w roku 1949. Była wśród nich Dorotea. Wtedy już awansowała na kierowniczkę pokojówek.

Przewracając wyschłe kartki, miałem wrażenie, że krew w żyłach buzuje mi, jakby przepuszczono przez nią prąd. Wymazanych imion było więcej. Każde z nich porównałem z notatkami na fotografiach sporządzonymi przez Erika. Wszystko się zgadzało. Wiedziałem, że gdyby Erik miał szansę zobaczyć tamto zdjęcie z kuchni, to na nim też dodałby opis, bo pierwsze imię zamazano w roku 1942. Wtedy, kiedy wszystko się zaczęło.

„Chłopiec, około 10 lat. Po raz ostatni odnotowany w roczniku Storaskogen w roku 1957. Brak imienia uniemożliwia poszukiwanie”.

„Dziewczynka, około 12 lat. Imię nieznane. Zaginęła w 1979. Nie żyje?”

Zapiski dotyczyły zaginionych dzieci, które uwieczniono na zdjęciach, ale z rocznika zostały wymazane nie tylko ich imiona. W późniejszych latach zacerniano także inne nazwiska, dorosłych.

I przez cały ten czas Dorotea była w Sotraskogen.

Gapilem się na czarno-białe zdjęcia, próbując ogarnąć to wszystko myślami. Pod nimi leżały polaroidy Erika. Mój wzrok ześliznął się na jego ponurą twarz. Erik patrzył na mnie. Uderzyła mnie pewna potworna myśl, więc wróciłem do rocznika i zacząłem przerzucać strony do najnowszego wpisu. Spodziewałem się zobaczyć nazwisko Erika i jego syna – Olsa. Wziąłem oddech dopiero, kiedy je zobaczyłem – nie było najmniejszego problemu z ich odczytaniem. „Erik Gran, właściciel plantacji. Ols Gran, syn”. Wciąż tam były. Nie zamazano ich. Nie zniknęły.

Sprawdziłem godzinę w komórce. Dzień przeleciał niepostrzeżenie. Było wczesne popołudnie. Dopadło mnie zmęczenie, bo w końcu od trzeciej rano nie spałem. Wygrzebałem się zza biurka i wziąłem z niego rocznik oraz zdjęcia. Nie było mowy, żebym miał je tam zostawić, nie po

tym, co właśnie odkryłem. Postanowiłem, że pójdę się zdrzemnąć, a potem wrócę do rozkminiania, co tu jest grane.

Poszedłem na górę do mojego pokoju i z marszu wpakowałem się do łóżka. Zrzuciłem tylko buty, ale już po chwili coś wyrwało mnie ze snu. Nawet nie wiem, kiedy zasnąłem, ale teraz mój pokój wypełniała smolista ciemność. Z korytarza dobiegały jakieś odgłosy – szuranie nogami i mamrotanie. Od czasu do czasu w ciemnościach rozlegało się echo jęknięcia. Leżałem tak, drżąc ze strachu. I wtedy wyraźnie usłyszałem głos. A raczej dwa głosy. Nakładały się na szuranie i jęki.

– Już dobrze – powiedział pierwszy cicho, prawie szeptem. – Musisz tylko trochę odpocząć, to wszystko. Rano poczujesz się o wiele lepiej. Chodź, zaprowadzę cię do łóżka.

– Nie – odezwał się drugi głos. Był bardziej pobudzony, ale też poszarpany i rwał się w środku. – On mnie odnalazł. Ale nie chce ze mną rozmawiać. Muszę poznać jego imię.

To byli moi rodzice. Pierwszy głos należał do ojca, a drugi – do mamy.

Wpadłem w panikę. Czy mama znowu próbowała wyjść na zewnątrz? Tak szybko wyskoczyłem z łóżka, że aż zakręciło mi się w głowie. Przez chwilę nie mogłem złapać równowagi. Potem ruszyłem w stronę drzwi i uchyliłem je, przytrzymując klamkę. Ojciec prowadził mamę w stronę ich sypialni. Minęli moje drzwi na końcu korytarza, ze mną przyczajonym po drugiej stronie. Kiedy zniknęli mi z oczu, wyśliznąłem się z mojego pokoju i poszedłem w przeciwną stronę. Mama musiała pójść do pokoju znajdującego się na drugim końcu korytarza, bo jego drzwi były teraz uchylone. To był jeden z tych pokoi, do których nie mogłem wejść, kiedy zwiedzałem dom po raz pierwszy, bo były zamknięte na klucz. Zaglądając wtedy przez dziurkę od klucza, zobaczyłem w środku tylko łóżko, więc już później tam nie wracałem.

Prowadząc mamę do sypialni, ojciec obejmował ją ramieniem. Miała zwieszoną głowę. Szła, jęcząc cicho i powłócząc nogami, a potargane włosy opadały na jej wykrzywioną twarz. Widząc mamę w takim stanie, zamarłem. Z bandażami na rękach wyglądała jak dziwaczna na wpół

owinięta mumia.

– On ma na imię... – mruknęła do siebie ponownie kiedy dotarli do sypialni.

– Już dobrze – odpowiedział ojciec kojąco. – Coś ci się przyśniło. To tylko zły sen.

Odczekałem bez ruchu, aż wejdą do środka. Ojciec zamknął za sobą drzwi i dom znowu pograżył się w ciszy. Nic już nie wzdychało, nie skrzypiało, nie jęczało ani nie mamrotało. Wyjąłem z kieszeni komórkę i spojrzałem na ekran. Była prawie północ, więc spałem znacznie dłużej, niż zamierzałem.

Drzwi pokoju, do którego zabłądziła mama, były nadal otwarte. W ich szczelinie majaczyła gęsta ciemność. Ruszyłem powoli w tamtą stronę. Nie chciałem zaglądać do środka, a zarazem czułem potrzebę, żeby to zrobić. Ktoś – przypuszczalnie mama – otworzył drzwi siłą. Zobaczyłem drzazgi na podłodze i wyszarpaną dziurę na ościeżnicy w miejscu, z którego odpadł zamek. Sam niczego nie słyszałem, ale ten hałas pewnie obudził ojca. Pchnąłem drzwi. Odchyliły się cicho. Sięgnąłem do wnętrza pokoju, żeby włączyć światło.

Był to pokój dziecięcy. Stojąc w progu i zaglądając do środka, wróciłem myślą do tego, co mówiła mama, kiedy przechodzili z ojcem za drzwiami mojego pokoju.

On potrzebuje usłyszeć swoje imię.

Pomyślałem o znalezionym wcześniej roczniku z tymi wszystkimi wymazanymi imionami i nazwiskami. Czy jedno z nich należało do dzieciaka, który mieszkał w tym pokoju? Czy był jednym z chłopców widocznych na zdjęciach?

Wchodząc do dziecięcego pokoju, miałem wrażenie, że cały dom wstrzymuje oddech. Wnętrze było prawie puste. W kącie pod ścianą stało wąskie łóżko z metalową ramą, ścianę przy oknie zajmował sięgający do samego sufitu regał na książki, a naprzeciwko niego stała dość obszerna szafa.



Deski podłogi między łóżkiem a szafą zakrywał wytarty, szaroniebieski dywan. Uszyto go prawdopodobnie z koców, takich samych, jakie leżały złożone na nienagannie posłanym łóżku. Wszystko miało tu nutę szarości. A nawet pachniało szarością – stęchlizną, która unosi się w niewietrzonych mieszkaniach starych krewnych. Ale łóżko było zaścielone idealnie: bez jednej fałdy na kołdrze i poduszce. Na jednolicie białych ścianach nie było żadnych obrazków. Biały regał na książki zastawiony był wielotomową encyklopedią dziecięcą. Oprócz tego w pokoju nie było już nic. Żadnych innych książek, nawet starych. Ani zabawek.

Z każdego kąta wyzierał smutek. Pokój był tak surowy, że czuło się w nim samotność stanowiącą stały element życia w tej głuszy. Nic dziwnego, że po przyjeździe tutaj mama dostała ataku nerwowego. Nie dowiedziała się, „jak mu na imię” – bo nie było tu niczego, co mogłoby być wskazówką. Żadnych akcentów osobistych. Ani nawet żadnych przedmiotów, które kojarzyłyby się z dziećmi.

Usłyszałem odgłos za plecami. Odwróciłem się. W drzwiach, z założonymi rękami, stała Dorotea. Gdyby spojrzeniem dało się unicestwić człowieka, to już by mnie nie było. Najwyraźniej moja groźba nie zrobiła na niej żadnego wrażenia. Staliśmy tak, mierząc się wzajemnie wzrokiem. Nie zamierzałem pokazać jej, że mnie przeraża.

– Czyj to pokój? – spytałem.

– Nie twój – plunęła jadownicie starucha.

– Wszystkie są moje – odciąłem się równie ostro.

Wykrzywiła usta w paskudnym uśmiešku, który miał chyba znaczyć, że się mylę i że jestem kretynem. Taki niewysilony komunikat „dwa w jednym”. Ale wiedziałem, że stara ma rację. Ten dom nie należał do mnie. Do moich rodziców też nie. Zbudowano go na ziemi, gdzie wcześniej rosła puszcza, i właśnie do niej należał. Tak oczywiście widziała to Dorotea. A ja zacząłem powoli rozumieć, do czego ta ropucha była zdolna posunąć się w przeszłości, żeby udowodnić prawdziwość tego punktu widzenia.

– Jak on miał na imię? – zaatakowałem ją kolejnym pytaniem. – Ten chłopiec, który tu mieszkał.

– Jaki chłopiec? – odpowiedziała pytaniem, wciąż wykrzywiona w uśmiešku.

– No, nie wiem – odparłem. – Może ten pierwszy, którego wydałaś w ofierze lasom. Bo właśnie tak było, zgadłem?

W jej spojrzeniu nic się nie zmieniło. Nadal wpatrywała się we mnie tak, jak gdyby nie rozumiała, co do niej mówię. Kupiłbym to od każdej innej staruszki, ale nie od tej. Słyszała każde moje słowo i doskonale rozumiała, o co mi chodzi, tylko wcale się tym nie przejęła.

– Kim on jest? – naciskałem. – Jak ma na imię?

Starucha wzruszyła ramionami i odwróciła się z zamiarem opuszczenia pokoju.

– Jest też dziewczynka, prawda? – powiedziałem, kiedy była już przy drzwiach. – Widziałem ją.

Dorotea znieruchomiała przy drzwiach, ale nie odwróciła się.

– Jak się nazywali? – rzuciłem, zanim zdążyła wyjść na korytarz. – Znałaś ich imiona, Doroteo.

Nie odpowiedziała, ale też nie poruszyła się. Potem wzruszyła ramionami i po chwili zostałem sam w tym nabrzmiałym samotnością pokoju.

Coś kazało mi podejść do okna. Wykonane z ciężkiego, szarego materiału zasłony były zaciągnięte. Odchyliłem jedną nieznacznie i wyjrzałem na zewnątrz.

Był tam! Ten sam chłopak. Stał w kręgu światła rzucanym przez jedną z lamp zamontowanych na ścianie domu i patrzył na mnie. Miał ręce skrzyżowane na piersi i nagie ramiona. Był ubrany jeszcze lżej, niż kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy tyle tygodni wcześniej, kiedy siedział w kucki przy wrzeszczącym drzewie. Teraz miał na sobie tylko podkoszulek i szorty. Stał w śniegu sięgającym mu do połowy łydki i trząsł się. To na pewno był on! A więc to był właśnie jego pokój? To

miało sens.

I wtedy pomyślałem: „To zupełnie bez sensu. Jego tam nie ma. On tam nie może być. Jest tylko wytworem wyobraźni”. Zasłoniłem oczy rękami. „Dość tego”, rozkazałem sobie. „Nie możesz zwariować. Ochłoń! Nie możesz zacząć wierzyć w te same bzdury, w które wierzy Dorotea. To nieprawda. Ona miesza ci w głowie, żebyś w to wszystko uwierzył. Właśnie na tym jej zależy”.

Otworzyłem oczy.

Chłopak nadal tam był. Biel jego skóry zlewała się z bielą śniegu.

Nie mogłem oderwać spojrzenia od jego drżącej, żalostnej postaci i kiedy tak gapiłem się na niego, zdałem sobie sprawę, że... chłopak nie jest sam. Miał towarzystwo. Dwa kształty poruszały się w zupełnej ciemności pod jodłami tak wolno, że w pierwszej chwili wydawały się tylko głębszymi cieniami. Wypłynęły w stronę domu, oddzielając się od drzew jak olej oddziela się od wody, aż wreszcie przybrały rozpoznawalną formę i stanęły po obu stronach chłopaka. Były to dwie dziewczynki. Jedną z nich widziałem wcześniej w lesie, unurzaną we krwi łosia. Drugą znałem tylko z czarno-białej fotografii rodzinnej, którą widziałem wcześniej tego dnia.

„Dziewczynka, około 12 lat. Imię nieznane. Zaginęła w 1979. Nie żyje?”

Patrzyłem na nich z góry, a oni patrzyli na mnie. Czy oni naprawdę tam byli? To niemożliwe, prawda? To nie mogła być prawda. Absolutnie nie! To tylko moja głowa tworzy te kształty z kłębiących się cieni. To są tylko zwidy, które znikną, kiedy otworzę okno, prawda?

Użyłem całej siły woli, żeby nie uciec, ale po prostu musiałem się dowiedzieć, jak jest naprawdę. Roztrzęzionymi rękami szarpnąłem do góry ciężkie odsuwane okno. Wychyliłem się na zewnątrz. Drobinki lodu w zimnym powietrzu zaczęły kąsać mnie w twarz. Serce waliło mi młotem.

„Proszę, niech ich tam nie będzie”, modliłem się w duchu. „Niech ich tam nie będzie. Niech ich nie będzie. Nie ma was tam. Nie możecie tam

być. Po prostu nie”.

Kiedy spojrzałem w dół, świat wokół mnie runął jak walące się drzewo.

Nadal tam byli. Troje dzieciaków, które nie mogły istnieć. Ubranych lekko wśród szalejącej zimy. Połknąłem dosyć lodowatego powietrza, żeby zamrozić sobie gardło, ale nie byłem w stanie oddychać.

Ja gapiłem się na nich, a oni na mnie. A jednak nie. Nie patrzyli na mnie. Ich wzrok był utkwiony w ścianę obok mnie.

Kątem oka złowiłem jakiś ruch. Odwróciłem głowę. Na ścianie, na wysokości okna, czaił się jeszcze jeden dzieciak. Sama skóra i kości, ostry i kanciasty od stóp do głów. Uczepił się palcami cegieł, tak głęboko wbijając pazury w ścianę, że nie było ich widać. Oczy miał czarne, wypełniała je sama rozszerzona źrenica. Otworzył usta. Zobaczyłem w nich dwa rzędy ostrych jak brzytwa kłów. Wtedy wyszczerzył się, rzucił na mnie i zamachem szponiastej ręki sięgnął mojej twarzy. Jego pazur zgrzytnął o moją kość policzkową, żądłąc ostrym bólem.

Wrzasnąłem w panice i odskoczyłem do pokoju. Podczas upadku boleśnie obiliśmy sobie kość ogonową. Cofałem się na rękach, ślizgając się i rozjeżdżając na dywanie. Zasłona uniosła się w nagłym podmuchu powietrza. Za oknem wiły się wrzecionowate gałęzie drzew. Nie wstając, rozpaczliwie próbowałem dopaść drzwi.

„Weźcie ich”, syczą drzewa.  
„Muszą spłacić dług”.

„Nie wolno nam wejść do środka”, odpowiadamy.  
Kążymy wśród gałęzi.  
„Oni muszą wyjść do nas.  
Muszą zabłądzić,  
tak jak dawniej my”.

## Rozdział dwudziesty piąty

Wypadłem na korytarz z wrzaskiem. Tata wybiegł z sypialni rodziców i zamknął za sobą drzwi.

– Co się dzieje? – krzyknął, a ja zatoczyłem się w jego stronę.

Złapałem go za łokieć i pociągnąłem za rękaw. – One tu są, w domu! – wymamrotałem. – Weszły do środka! Pozabijają nas. On tutaj jest. On chce...

Ojciec strząsnął moją dłoń i chwycił mnie za ramiona.

– Ale co się stało? I coś ty sobie zrobił z twarzą?

Sięgnąłem ręką do policzka. Gdy na nią spojrzałem, palce były umazane we krwi.

– Gdzie masz strzelbę? – krzyknąłem na ojca, starając się pociągnąć go w głąb korytarza. – No, gdzie ona jest?! One tu idą!

– Spokojnie – powiedział, spoglądając w korytarz nad moją głową. Odwróciłem się, ale niczego tam nie było. – Uspokój się i powiedz mi, co się stało.

Nie umiałem się uspokoić. Spodziewałem się lada chwila zobaczyć tego... chłopaka i jego piekielnych towarzyszy pędzących w naszą stronę z wyszczerzonymi kłami i rozcapierzonymi szponami. Pokręciłem głową.

– Poszedłem do pokoju, gdzie znalazłeś mamę. Otworzyłem okno i oni weszli do środka. Są w domu. Potrzebujemy broni, tato. Błagam cię...

Ojciec puścił moje ramiona i ruszył w głąb korytarza, tam skąd uciekłem. Złapałem go za łokieć, ale znowu strząsnął moją rękę.

– Nie możesz tam wejść! Tato, nie idź tam!

Nie zatrzymał się. Pokonał korytarz zamaszystym krokiem i wszedł do tego pokoju. Zamarłem w oczekiwaniu na krzyk, ale się go nie doczekałem. Nic nie przerwało ciszy.

– Nikogo tu nie ma – dobiegł mnie głos ojca z głębi pokoju. – Chodź i sam zobacz. Wszystko jest w porządku.

Potrzebowałem minuty, żeby ruszyć się z miejsca. Ale w końcu się zmusiłem. Powoli podszedłem do drzwi i zajrzałem do środka. Ojciec stał przy otwartym oknie. Poza małą, pomarszczoną poduchą śniegu z parapetu, która spadła na podłogę, w pokoju nic się nie zmieniło. Był pusty. Łóżko, regał na książki i żalony dywan skotłowany na drewnianej podłodze w miejscu, gdzie się pośliznąłem. Poczułem zimne podmuchy wiatru z otwartego okna, który rozwiewał zasłony. Ale poza tym niczego tu nie było. Ani pałającego żądzą mordy chłopaka-potwora, ani wilka. Pokój był pusty.

– No, chodź – odezwał się ojciec, wskazując ruchem głowy okno.

Spróbowałem opanować strach. Powoli przeszedłem przez pokój i stanąłem przy samym oknie.

– Co tam widzisz? – spytał ojciec. – Wyjrzyj i powiedz mi, co widzisz.

Zrobiłem, jak kazał. Wystawiłem głowę na zewnątrz i spojrzałem w dół przez wirujące płatki śniegu na usypaną na ziemi pod oknem zaspę. Nie było tam absolutnie nic. Żadnych śladów stóp. Tylko śnieg i las, który wydawał się ze mnie śmiać.

– No widzisz? – powiedział ojciec bardzo zmęczonym głosem. Potem położył mi ręce na ramionach i odwrócił mnie twarzą do siebie. – Posłuchaj – powiedział cicho – wiem, że tu jest koszmarnie. To odcięcie od świata jest przerażające. To, co się dzieje z mamą, również. Ale musimy wziąć się w garść, dobrze? Ty i ja. Potrzebuję, żebyś był silny.

– Tato. – Miałem pewność, że to, co widziałem, było prawdziwe, że sobie tego nie ubzdurałem. – Ty też mnie posłuchaj. To się wydarzyło naprawdę, jestem absolutnie pewien. Zadrapanie na mojej twarzy tego

dowodzi i...

– Błagam cię... – przerwał mi. Jego głos zdradzał totalne wyczerpanie.  
– Muszę sprawdzić, co u mamy. Sam też muszę się przespać. Rano wszystko będzie lepiej. Tak to zwykle jest. Idź się zdrzemnij. Proszę cię.

I zostawił mnie samego w pustym pokoju. Przez kilka minut stałem bez ruchu. Rana na policzku piekła i czułem, jak czarna dziura kłębiąca się w mojej głowie zaczyna pochłaniać mnie całego. Myśli wirowały zagubione i porozklejane.

„Nie weszli do środka.

Nie weszli do środka.

Są na zewnątrz. Myślę, że naprawdę tam są. Że naprawdę istnieją. Ale do środka nie weszli”.

Te myśli huczały mi w głowie, gdy wracałem chwiejnie do mojego pokoju. W uszach mi szumiało i nie mogłem przestać się trząść. Chyba za sprawą szoku. Zwinąłem się w kłębek pod ciężką kołdrą i spróbowałem racjonalnie ogarnąć myślą wszystko to, co się stało. Takjakby dało się zracjonalizować spotkanie z dzieciakiem-potworem uczepionym ściany na wysokości pierwszego piętra w domu na zupełnym odludziu.

Nie mogli wejść do środka. Nie było takiej opcji. Nie zdołaliby wymknąć się z pokoju na korytarz niezauważeni przeze mnie ani przez ojca.

„Nie weszli do środka”.

Uczepiłem się tej myśli panicznie, tak jak rozbitek na wzburzonym morzu czepia się tratwy ratunkowej. Okno było otwarte, żadna fizyczna bariera nie powstrzymywała potwora przed wtargnięciem do wnętrza i rozerwaniem mnie na strzępy szponami, które wyrosły mu zamiast paznokci, a jednak tego nie zrobił. Dlaczego?

„Dlatego, że ześwirowałeś”, odezwał się głos w mojej głowie. „To wszystko dzieje się w twojej wyobraźni”.

Ale przecież policzek wciąż mnie szczypał. To nie działo się w mojej wyobraźni, prawda? Rana była prawdziwa. Coś musiało ją zadać...



Coś z zewnątrz.

„Nie weszli do środka.

Miejsce varulvów jest w lesie...

Varulv to leśny duch...

Nigdy nie wypowiem jego imienia...

Ale on potrzebuje je usłyszeć...”

W głowie wirowały mi strzępy tego, co usłyszałem od Dorotei i mamy, pomieszane z tym, co wyczytałem w encyklopedii. Były w ciągłym ruchu, tak że nie mogłem połączyć ich w sensowną całość. Ale jedną myśl udało mi się uchwycić: miejsce varulvów jest w lesie. Istnieją po to, żeby go chronić. Czy wyjaśnienie mogło być aż takie proste? Varulvy nie mogą wejść do domu, bo jego wnętrze nie należy do ich terytorium? Co mówiła na ten temat encyklopedia? Że mogą ponownie stać się ludźmi, jeżeli usłyszą swoje imiona. W przeciwnym razie pozostaną varulwami na zawsze. Pozostaną własnością lasu. Pozostaną na zewnątrz. Nie mogą wejść do domów. Chyba właśnie tak brzmiała odpowiedź, prawda?

Przez resztę nocy nie zmrzyłem oka. Wszystkie obrazy, na które wystawiłem mój mózg w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, wirowały jak na karuzeli, nie dając mi zasnąć. Leżałem w łóżku, przysłuchując się rykowi śnieżnej nawałnicy. Wydawała się być szczególnie zjadła. Godziny wlekły się powoli, minuta za minutą. Gapiłem się na gęste cienie w rogu pokoju, wyobrażając sobie, że widzę tam inne kształty, niż widziałem w rzeczywistości: drzewa przebijające się przez ściany, które błyskawicznie rosły i wyciągały się w moją stronę, zmieniając wnętrze domu w las – terytorium varulvów, które teraz mogły dostać się do pokoju, ukryte między gałęziami. Byłem śmiertelnie zmęczony, ale nie mogłem zasnąć.

„Nie weszły do środka.

Nie mogą wejść do środka”.

Tej nocy postanowiłem, że już nigdy nie wyjdę z tego domu. A jeśli już, to po to, żeby wyjechać stąd na zawsze. Bo właśnie w tym tkwił

sekret, prawda? Trzeba po prostu siedzieć w murach. To dlatego Dorotea namówiła mamę, żeby wyszła na zewnątrz i pokaleczyła sobie ręce.

Varulvy nie mogą wejść do domu, więc stara musiała wymyślić sposób, żeby wywabić nas na dwór. Nie zamierzałem pozwolić, żeby potwory dopadły mnie albo moją rodzinę.

Także tak. Jeśli się jeszcze nie pokapowaliście, to właśnie mówię wprost, że tej nocy sięgnąłem dna paranoi. Izolacja wpędza człowieka w szaleństwo. Tak jak bezustannie padający śnieg. I brak snu. Oto co robi z człowiekiem strach.

Następnego ranka postanowiłem poczekać na ojca na korytarzu. Wreszcie usłyszałem, jak wychodzi z sypialni. Nie miałem ochoty w pojedynkę schodzić na dół i stanąć oko w oko z Doroteą. Doszedłem do wniosku, że bezpieczeństwo tkwi w przewadze liczebnej. Nas dwóch przeciwko jednej starej babie? Paskuda nie miała szans, prawda?

– Tato?

Aż podskoczył, ale nie puścił trzymanej w ręku klamki. Dopiero kiedy się odwrócił, spostrzegłem rzeczy rozrzucone na podłodze korytarza wokół drzwi sypialni: krzesła, koca, ubrania, a nawet toaletkę, na której, zaraz po naszym przyjeździe, mama rozłożyła swoje kosmetyki i przybory toaletowe. W sypialni rodziców nie pozostało już chyba nic poza łóżkiem, na którym przypuszczalnie wciąż spała mama. I dywanem, który też jeszcze leżał na podłodze. Ojciec podskoczył dlatego, że w chwili kiedy się odezwałem, próbował bezgłośnie zamknąć drzwi sypialni. Tym razem trafił w dziurkę, a ja zobaczyłem, że czuje się winny.

– Mnie też się to nie podoba – odpowiedział na pytanie, którego mu nie zadałem. – Ale boję się, że znowu gdzieś wyjdzie albo zrobi sobie coś krzywdę.

– Nie możesz zamykać jej na klucz – powiedziałem. Poczułem na ramionach ciężar uczucia, które wypełzło z najgłębszych zakamarków mojej świadomości, gotowe ściągnąć mnie w otchłań. Przełknąłem ślinę.

– Tato, to jest po prostu...

- To dla jej dobra – przerwał mi.
- Posłuchaj, tato – powiedziałem i poczułem, że robi mi się niedobrze.
- Przysięgam ci, że tej nocy widziałem na zewnątrz...

Powstrzymał mnie, podnosząc dłoń.

– Przestań – powiedział. – Proszę cię. Cokolwiek ci się wydaje, że widziałeś, po prostu zamilcz. Wystarczy, że mam na głowie twoją matkę. Nie dokładaj mi dodatkowych zmartwień, okej?

– Ale...

– Mówię poważnie – uciął. – Cokolwiek widziałeś... Cokolwiek wydaje ci się, że widziałeś, było tylko wytworem wyobraźni. W tym domu są tylko cztery osoby. W promieniu wielu kilometrów nie ma żadnych innych ludzi. Wiesz, że to prawda.

Patrzyliśmy na siebie jakąś minutę. Co miałem mu powiedzieć? Przecież wiem, co widziałem. I wiem, że to było totalnym wariactwem.

– W porządku – odezwałem się w końcu. – Ale do końca zimy nie wychodzę na zewnątrz. Możesz na mnie krzyczeć, ile chcesz. Możesz zagrozić, że mnie też zamkniesz na klucz. Ale po prostu tam nie wyjdę. I ty też nie powinienesz. Żadne z nas nie powinno wychodzić.

Ojciec przetarł twarz dłonią, pod którą dostrzegłem siwiejące włosy na jego brodzie.

– Musimy wychodzić. Przynajmniej po to, żeby przynieść drewno.

– Możemy palić meblami.

– Nie możemy.

– Właśnie, że tak. Przecież to nawet nie są nasze meble. Były już w tym domu. Wygląda na to, że były tu, zanim jeszcze kupił go Erik. Dlaczego, tato? Czy zadałeś sobie kiedyś to pytanie? Dlaczego wyjechał stąd w takim cholernym pośpiechu, że nie zabrał ze sobą swoich gratów?

Ojciec oparł ręce na biodrach. Na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka. Próbował się skupić. Myślę, że był totalnie zmęczony. Skąd wiedziałem, jak się czuł? Bo patrząc na niego, miałem wrażenie, że patrzę w lustro.

– Nie możemy spalić mebli – powiedział. – Łatwiej nam będzie sprzedać dom, jeżeli pozostanie w pełni wyposażony. Umeblowanie go od nowa kosztowałoby fortunę. Właśnie dlatego wszystkie te kłopoty wciąż tutaj są. Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Po prostu tak to działa.

Przez kilka sekund jedno z jego słów odbijało się echem w moich uszach, aż wreszcie je powtórzyłem.

– Sprzedać?

Ojciec wzruszył ramionami, a potem zwiesił je na znak, że czuje się pokonany. Równie dobrze mógł zacząć wymachiwać białą flagą.

– Miałeś rację. Nie powinniśmy byli tu przyjeżdżać. Wrócimy do Sztokholmu najszybciej, jak to będzie możliwe.

Miałem ochotę go uściskać, ale oczywiście tego nie zrobiłem.

– To jest... to jest dobry pomysł – powiedziałem zamiast tego. Poczulem taką ulgę, że aż nogi mi zmiękły. – Naprawdę, świetny pomysł, tato.

– Dlatego nie możemy palić meblami i musimy wyjść na zewnątrz, żeby przynieść więcej drewna na opał.

– Dobra – powiedziałem. – Więc przeniesiemy do domu całe drewno z szopy. Wszyściuteńko. I to dzisiaj. Co do szczapy. A potem nie wystawimy nosa za drzwi. Wyjdziemy na dwór dopiero wtedy, kiedy będziemy wyjeżdżać z tego piekielnego zadupia. Zgoda?

Ojciec stał i gapił się na mnie. Chciał znać przyczynę. Chciał spytać, dlaczego wyjście na dwór stanowi dla mnie taki wielki problem, ale nie mógł sobie na to pozwolić.

– Na zewnątrz czają się potwory, tato – powiedziałem. – Erik zaczął wycinać las i tym je rozgniewał. One chcą nas dopaść i to nie po to, żeby pogrozić nam palcem.

Ojciec pokręcił głową.

– Proszę cię. Po prostu...

– Chcę tylko, żebyśmy nie wychodzili na zewnątrz – przerwałem mu. – To nie jest żadna wariacka zachcianka, prawda? Zresztą kiedy już

przyniesiemy to całe drewno to nie będzie powodu, żeby wychodzić na dwór, tak? Przecież sami nie pójdziemy ścinać drzew? Nie planujemy też zimowych przechadzek po lesie. No i łatwiej nam będzie mieć mamę na oku, jeżeli obaj będziemy cały czas w domu. Zgadza się? Wtedy nie będziemy musieli jej trzymać... pod kluczem.

Ojciec odwrócił się i popatrzył na drzwi ich sypialni z bólem. A potem pokiwał głową.

– Dobrze – powiedział. – Tak zrobimy.

## Rozdział dwudziesty szósty

Dorotea zorientowała się, co jest grane, dopiero kiedy przywieźliśmy drugi transport drewna. Uwijała się wokół nas jak jakiś wściekły owad, a my wnosiliśmy kolejne kłody z sań do domu. Układaliśmy je w chaotyczny stos obok kominka w głównej sali. Wygląd wnętrza mieliśmy już obaj w głębokim poważaniu, a poza tym ścigaliśmy się z zachodzącym słońcem. Jeśli już miałem wychodzić z domu, to na pewno nie w smolistą ciemność po zmroku.

– Bałagan! – zaskrzeczała Dorotea, kiedy wywaliliśmy kolejny ładunek bierwion na wypolerowaną podłogę. – Co wyprawiają?! Bałagan!

– Odsuń się – rozkazałem jej, wychodząc po kolejny ładunek.

– Nie wolno przynosić już więcej! – piekliła się, szurając obok ojca do samych frontowych drzwi.

– Przyniesiemy resztę drewna, Doroteo. – Ojciec stwierdził fakt. – Wszyscy będziemy bezpieczniejsi, jeżeli w środku zimy żadne z nas nie będzie musiało wychodzić z domu.

Słyszając to, stanęła jak wryta. Ten szok na jej twarzy sprawił, że zachciało mi się uśmiechnąć.

– Coś ci nie pasuje, Doroteo? – spytałem z miną niewiniątka, kiedy ojciec zniknął w zadymce za drzwiami. – Przecież to dobry pomysł, żeby nie wychodzić, prawda? W końcu zimy są tutaj tak srogie. No i... w tym lesie ciągle giną ludzie, nieprawdaż?

Przymrużyła oczy, wysuwając czubek języka, żeby zwilżyć suche wargi. Fiksowała mnie wzrokiem.

– Myśli, że jest cwany – wycodziła szeptem. – Ale lasu nie przechytry. Nikomu się to nie udało. Las weźmie, co mu należy.

Wtedy już wiedziałem, że się nie mylę. Jeśli tylko nie opuścimy domu – będziemy bezpieczni. Varulvy nie mogły wejść do środka, chyba że stara wypowie ich ludzkie imiona, ale robiąc to, odebrałaby je lasowi. Wtedy stałyby się na powrót tylko dziećmi – zapomnianymi, wyrwanymi ze swojego czasu i bezużytecznymi.

– Jak brzmią ich imiona, Doroteo? – odpowiedziałem szeptem. – Powiedz mi.

Obnażyła zęby. Spodziewałem się zobaczyć potworne kły, ale moim oczom ukazały się dwa rzędy zwykłych żółtych zębów starego człowieka.

– Zapomnij – syknęła. – Nigdy nie poznają swoich imion.

Zostawiłem ją i wyszedłem za ojcem na śnieg. Zadymka uderzyła mnie w twarz, ale zdążyłem się już przyzwyczaić, więc prawie nie zwróciłem na nią uwagi. Byłem skołowany, jak we śnie, ale na powierzchni skóry czułem dziwne elektryczne mrowienie. Czy te wszystkie rzeczy działały się naprawdę?

To nie miało znaczenia. Nie liczyło się nawet to, że wszyscy mogliśmy postradać rozum, tak jak Dorotea. Wystarczyło po prostu nie wychodzić z domu do czasu, kiedy naprawią linię telefoniczną. Bo wtedy nas ewakuują. Wyjedziemy stąd i wrócimy do Sztokholmu, a mama wyzdrowieje i nie będzie pamiętać, że cokolwiek się tutaj wydarzyło.

Potykałem się i ślizgałem, ale brnąłem za ojcem, odgarniając śnieg z oczu. Usiłowałem skupić uwagę na szopie przed nami i nie zwracać uwagi na majaczącą nieco dalej czarną ścianę drzew, które wiły się na wietrze. Poprzez szum nawałnicy dobiegł mnie jakiś dźwięk. Unosił się w powietrzu i opadał jak melodia wygrywana na instrumencie, którego nie umiałem rozpoznać. Była to ta sama nawiedzona, melodyjna pieśń. Cięła wypełnione śniegiem powietrze jak sierp i przebijając ciemność, płynęła w stronę lasu. W świetle padającym od otwartych drzwi stała rozmyta sylwetka Dorotei. Wydawało mi się, że trzyma zwinięte w trąbkę dłonie przy ustach, ale potem opuściła je wzdłuż boków. Wraz z kolejnym lodowatym podmuchem wiatru dziwna pieśń ucichła. A może tylko mi się zdawało, że ją słyszałem?

– No, chodź – krzyknął ojciec niecierpliwie. – Przecież chciałeś uwinąć się w jeden dzień.



Nie ukryją się przed drzewami.

Las nie wybacza.

Dług zostanie spłacony.

Będą należeć do drzew,  
tak jak my do nich należymy.

Jesteśmy śnieżycą.

Krążymy.

Czekamy.

## Rozdział dwudziesty siódmy

Mijały dni, a zaspasy wokół domu rosły coraz wyżej, jak gdyby śnieg usiłował pogrzebać nas żywcem. Ojciec ciągle sprawdzał telefon, ale linia była nadal zerwana. Natomiast Dorotea bezustannie próbowała wywabić mnie na dwór.

„Rury z wodą zamarzną”, mówiła. „Musisz wyjść i je okryć”. Albo: „Potrzebuję zapasów z zewnętrznej spiżarni. Sama ich nie przytargam. Musisz mi je przywieźć. Weź sanki”.

A ja niezmiennie odmawiałem. A raczej zawsze odpowiadałem pytaniem. „Jak brzmią ich imiona, Doroteo?”. „Jeżeli podasz mi wszystkie imiona, to wtedy wyjdę na dwór”.

Nie chciała ich zdradzić, więc trwaliśmy w klinczu. Gdyby mogła, pewnie męczyłaby o te wszystkie rzeczy ojca, ale on każdą wolną chwilę spędzał przy mamie. Tak jak ona, schudł. Z każdym dniem miał dłuższą brodę.

Na dworze szalały kolejne zadymki. Gdy przestaliśmy wychodzić z domu, śnieżyce przybrały na sile. Być może pogoda była na nas tak samo wściekła jak Dorotea. „A może ta starucha i pogoda to jedno i to samo?” – pomyślałem, leżąc w łóżku i słuchając wiatru walącego w moje okno jak obłętniczy taran. „Być może Dorotea jest częścią lasu, tylko wewnątrz domu. Ma dopilnować, żebyśmy zapłacili za mrzonki o tym, że to miejsce może kiedykolwiek należeć do nas”.

Próbowałem przekonać ojca, żebyśmy ją zamknęli pod kluczem.

– Ona jest niebezpieczna, tato. Namówiła mamę, żeby wyszła na śnieg

i pocięła sobie rękę. A teraz knuje jak może, żeby mnie też wywabić na dwór.

Ojciec pokręcił głową.

– Wiem, że jest dziwaczna i gburowata, ale to ze starości. Starzy ludzie się nie zmieniają.

Wiedziałem, że jest w tym coś więcej, ale zawsze, kiedy próbowałem to wyjaśnić, ojciec kończył dyskusję. I wiem, dlaczego to robił. Serio.

Wyciągnąłem polaroidy Erika i rocznik plantacji z kryjówki pod moim materacem. Dawno ich nie oglądałem. Bo i po co? Ale kiedy ponownie ułożyłem zdjęcia w rzędzie na moim łóżku, zorientowałem się, że kryje się w nich głębszy sens. Ciężarówka z naczepą złamana w scyzoryk na jeziorze zmusiła Erika do długiego powrotu do domu na piechotę. Podobnie drzewo, które rozbiło samochód terenowy. Pożar w szopie na drewno też wyciągnął go z domu. Wszystkie te „wypadki” miały na celu zatrzymać Erika na dworze wystarczająco długo, żeby varulvy mogły go odnaleźć.

Zastanowiło mnie, gdzie w czasie wypadków był jego syn – Ols. Na zdjęciach go nie widziałem. Gdyby ojciec mi nie powiedział, to w ogóle nie dowiedziałbym się, że Erik miał syna. Być może Erik zrobił z synem to samo, co mój ojciec zrobił z mamą – zamknął go w pokoju, a jedyny klucz trzymał przy sobie.

Na tę myśl zrobiło mi się głupio, ale też pomyślałem o drzwiach do mojego pokoju. Tak jak pozostałe drzwi, były zamykane na zamek, ale klucza do nich nigdy nie miałem. Ciekawe, czy mieli go ojciec albo mama? A może w ogóle nie wiedzieli, gdzie jest? Pomysł, żeby zamykać się na klucz od wewnątrz, bardzo do mnie przemawiał, bo wtedy przynajmniej Dorotea nie mogłaby mnie dopaść.

To była jedna z tych nocy, kiedy dopiero po obudzeniu orientowałem się, że zasnąłem. W jednej chwili oglądałem zdjęcia i kombinowałem, jaką taktykę może zastosować Dorotea, żeby zmusić nas do wyjścia na dwór, a w następnej otworzyłem oczy. Musiałem się porządnie wiercić we śnie, bo przeturlałem się po zdjęciach. Rozsypały się wszędzie. Rocznik

znalazł się pod moim biodrem. Usiadłem na łóżku i przetarłem zapuchnięte oczy.

Dym? Przez sekundę myślałem, że wyobraźnia płata mi figle, że przed samym przebudzeniem śnił mi się pożar, więc teraz mój mózg dostrzegał dym, mimo że go nie było. I wtedy z kąta pokoju dobiegł mnie ostry trzask.

To nie był sen.

Ogień był prawdziwy.

Właśnie wtedy.

Właśnie tam.

W moim cholernym pokoju!

Zerwałem się na równe nogi. Ciemnoszare kłęby unosiły się z rogu. Dym kłębił się pod sufitem i płynął grubą falą, która rozlewała się nad moim łóżkiem. W ślad za dymem strzelały w górę płomienie. Tańczyły migotliwie i rosły, z każdą chwilą coraz śmieiej pełznąc w górę po ścianach. Coraz łapczywiej lizały i pożerały wiekową tapetę, która oddawała im się, skwiercząc i trzaskając. Nie zdążyłem zebrać myśli, a płomienie sięgały już na wysokość kolan, na wysokość brody, a potem...

Musiałem krzyczeć. Na pewno krzyczałem, choć nie pamiętam, żebym wydawał z siebie jakikolwiek dźwięk. Żar owinał się wokół mojej twarzy jak koc. Dusił mnie i oślepił. Oczy zaszły mi łzami i wszystko się rozmazało. Rzuciłem się do drzwi, a wściekły żywioł, sycząc i skwiercząc polował na mnie, kłapiąc ognistą paszczą. Już chwyciłem za klamkę, kiedy coś – myślę, że był to głos mojej podświadomości – wrzasnęło na mnie. Znieruchomiałem.

„Ona właśnie tego chce. W ten sposób wywabi nas wszystkich z domu”.

Odwróciłem się twarzą do płomieni i wtedy zobaczyłem szklankę z wodą na szafce nocnej przy łóżku. Cofnąłem się o dwa kroki w głąb pokoju, chwyciłem wodę i rzuciłem ją w ogień razem ze szklanką. Równie dobrze mógłbym splunąć. Płomienie nawet nie przygasły.

Wiem, że wtedy już darłem się, ile sił w płucach, bo słyszałem się w jakiś dziwny sposób, jakby z zewnątrz, z bardzo daleka. Podbiegłem do okna i podważyłem je. Uniosło się w ramie. Zimne powietrze wdarło się do pokoju, rozdmuchując płomienie, które rozciągnęły się i rozchwiały. Zerwałem z łóżka koc i zacząłem zgarniać nań wielkie garści śniegu z okna. Czarne jodły na zewnątrz przyglądały mi się w bezruchu i ciszy.

Prześląknięty wodą z topniejącego śniegu zacząłem wlec koc w stronę ognia. Wtedy drzwi pokoju otworzyły się i stanął w nich ojciec. Jedną rękę podniósł do twarzy, żeby osłonić ją przed dymem. Krzyczał coś, ale mój mózg zarejestrował jego słowa dopiero później. Rzuciłem koc ze śniegiem w płomienie. Rozległ się syk i gorąca para buchnęła mi w twarz. Coś ugryzło mnie w palce. Spojrzałem w dół i zobaczyłem jasnopomarańczowy płomień na mojej skórze. Wypalił linię w poprzek knykci. Skóra gotowała się, skwiercząc. Cofnąłem się i straciłem równowagę. Ojciec nie przestawał krzyżeć.

To zabrzmiało dziwnie, ale wcale nie czułem bólu. Myślę, że byłem za bardzo nakręcony adrenaliną i strachem. Jeszcze raz rzuciłem się w stronę łóżka, zerwałem z niego kołdrę, popędziłem do okna i zacząłem ładować na nią tyle śniegu, ile się dało. Skwierczał w zetknięciu z płonąca skórą na mojej dłoni. Wtedy poczułem czyjeś ręce na moich ramionach. Zaczęły wlec mnie do tyłu, odrywając od akcji gaśniczej.

– Musimy stąd wyjść! – usłyszałem w uchu krzyk ojca.

– Nie! – Wyrwałem się z jego uchwytu i wróciłem do wleczenia kołdry ze śniegiem. Rzuciłem ją na gasnący ogień, a potem opadłem na dłonie i kolana i zacząłem desperacko oklepywać pozostałości płomyków. Kłęby dymu z ugaszonych płomieni wnosiły się i gromadziły pod sufitem. Słyszałem ciężki oddech ojca. Sam też oddychałem z trudnością. Położyłem głowę na zdrowej ręce i dysząc, próbowałem złapać powietrze. Smród spalenizny był wszechobecny, ale piekielny żar zastąpiły lodowate podmuchy z otwartego okna.

Ojciec pociągnął mnie w stronę drzwi. Przewróciliśmy się obaj, potykając o łóżko. Złapał moją rękę i zaczął się jej przyglądać

z przerażeniem na twarzy. Ja też się przyjrzałem. Chociaż w poprzek przecinała ją czerwona pręga, a tu i ówdzie zwisały strzępy skóry, nic nie czułem. Byłem odrętwiały. Ojciec podbiegł do okna, zebrał wielką garść śniegu, wrócił i obłożył nim moją ranę.

– Co się stało? – spytał.

Pokręciłem głową, oszołomiony.

– No... wybuchł pożar.

– Ale jak wybuchł?

– Nie wiem.

– Palileś papierosy? Skąd je wzięłeś?

Popatrzyliśmy na siebie wzajemnie. Kiedy byłem mały, nosił mnie na barana. Udawał, że jest słoniem, kołysał się z boku na bok, opuszczał głowę i podnosił ramię przy nosie, udając, że jego ręka jest trąbą. Sięgał nią za głowę i karmił mnie słodyczami albo próbował łaskotać pod pachami.

Nagle zachciało mi się powrócić do tamtych czasów. Rozpłakałem się.

Mój wybuch chyba trochę zbił ojca z pantafelku. Zresztą, mówiąc szczerze, ja też byłem nim odrobinę zaskoczony. Nieczęsto pokazuję innym, gdzie mam miękkie. Tak naprawdę, to wcale go nie mam.

– Już dobrze – powiedział. – Wszystko dobrze. Już dobrze, jesteś bezpieczny. Synku. – Podciągnął mnie i posadził na łóżku. Potem podszedł do okna i zgarnął kolejną garść śniegu na moją ranę. – Powiedz mi, jak to się stało. Słucham.

– Przecież już mówiłem – wyrzuciłem z siebie, łapiąc oddech. – To przez Dorotę.

– To nie mogła być ona – odparł.

– A więc kto inny? – krzyknąłem.

Ojciec podniósł rękę.

– Uspokój się.

– Mam się uspokoić? Rozejrzyj się.

– To był wypadek – powiedział. – Zasnąłeś przy zapalanej świeczce i przewróciłeś ją przez sen. – Popatrzył wokół, dostrzegł coś na podłodze i poszedł to podnieść. Podniósł rękę, żebym mógł się przyjrzeć. Miał w niej ogarek grubej świeczki. – Widzisz?

Nagle odechciało mi się płakać. Ale też nie mogłem mu przywalić. Dlaczego musiał być zawsze takim idiotą? Dlaczego nie mógł po prostu zrozumieć?

– To nie moje, tato. Nie paliłem tu świeczki. To nie ja zaproszyłem ogień. A zresztą, skoro ta świeczka leżała tam... – wskazałem na podłogę pod lustrem wiszącym na ścianie, tam, gdzie znalazł ogarek – to jak mogła podpalić przeciwny kąt pokoju?

Ojciec zmarszczył brwi. Widziałem, że wreszcie załapał.

– Nie ma innego wyjaśnienia.

– Właśnie, że jest. No przecież ci powtarzam. To była Dorotea. Ona jest niebezpieczna, tato.

– Po co, u licha, miałyby podpalać własny dom? Co? – Ojciec był tak samo poirytowany jak ja. – Wyjaśnij mi. Ściągnęłyby niebezpieczeństwo również na siebie. Nie mówiąc o tym, że sama zostałyby bezdomna.

– Zgasiłaby ten pożar. Ona chce, żebyśmy wyszli na dwór. Próbowала nas... mnie zmusić, żebym wyszedł z domu. Robiła to już wcześniej! Spójrz. – Zacząłem macać zdrową ręką w poszukiwaniu polaroidu z moim pokojem, kiedy jeszcze należał do Erika, ale nie mogłem go znaleźć. Nie było go na łóżku ani na podłodze pod nim. – Zabrała go! – Trzeba przyznać, że teraz już zacząłem trochę brzmieć jak czubek. – Nie ma go. Był tu, kiedy szedłem spać!

Ojciec chwycił mnie za ramiona, zmuszając, żebym się uspokoił.

– Przestań – powiedział. – Słuchaj, rozumiem, że to wszystko, co się stało, jest szokujące. Byłeś niesamowicie dzielny, gasząc ten ogień. Ale chcę, żebyś mi obiecał, że jeśli kiedykolwiek stanie się coś podobnego, to nie będziesz nic robił. Masz uciekać. Okej? Bo na zewnątrz nie ma nic, co mogłoby cię skrzywdzić, a tutaj nie ma niczego, co by było warte twojego

życia. Rozumiesz mnie?

Wbiłem w niego wzrok. To była najbardziej ojcowska z jego przemów od wielu lat. Przypomniała mi, jak jeszcze za dzieciaka byłem przekonany, że tata wie wszystko. Kiedy to się zmieniło? A noszenie na barana? Kiedy ostatni raz wziął mnie na barana? Bo przecież kiedyś był ten ostatni raz, nawet jeśli żaden z nas nie pamiętał kiedy. Takie ostatnie zaistnienia muszą mieć miejsce bez przerwy, a my zauważamy je dopiero, kiedy jest już za późno. Przykład: pod siekierą pada ostatnie krzywe drzewo w lesie, które rosło tu od tak dawna, od jak dawna istnieją lasy. To się po prostu dzieje, a my żyjemy dalej. Zastępujemy tę ostatnią rzecz innymi rzeczami i zapominamy o tym, że kiedyś było tu co innego. Zapominamy, że to coś było ważne. Być może nigdy tego nie wiedzieliśmy, a rzeczy, które przestaną istnieć, już nigdy nie odzyskamy. Pewnego dnia zniknie najważniejsza rzecz, jaka kiedykolwiek istniała, a my zorientujemy się, co jest grane dopiero, kiedy będzie za późno.

Ale gdybyśmy wiedzieli o tym z wyprzedzeniem? Co bylibyśmy gotowi zrobić, żeby zachować ginące istnienia na zawsze?

Tata poklepał mnie po ramieniu, przerywając ciszę.

– Chodź. Przeniesiemy cię do innego pokoju i opatrzę ci rękę. Tym bałaganem zajmiemy się jutro.

– Chcę być blisko ciebie i mamy – powiedziałem. – Proszę.

Uśmiechnął się.

– Jasne. Da się to załatwić.



## Rozdział dwudziesty ósmy

Zanim znaleźliśmy nowy pokój dla mnie, ojciec chciał znów sprawdzić, czy telefon działa. Fakt, że poprzedniego dnia sprawdzał go z piętnaście razy z tym samym rezultatem – telefon milczał – jakoś go nie zraził.

– Nigdy nie wiadomo – powiedział. – A zresztą, śnieżycy ustała. Więc jeśli kiedyś mają naprawiać zerwaną linię, to chyba właśnie teraz, no nie?

Szedłem za nim do najbliższego telefonu w holu na dole z czymś na kształt uśmiechu. O moim ojcu można powiedzieć niejedno, ale na pewno nie to, że brakuje mu optymizmu. A może to właśnie w nim kryje się tajemnica jego uporczywości? Ojciec po prostu chce wierzyć, że prawdą jest najlepszy z możliwych wariantów sytuacji. Chyba popieram takie podejście.

I rzeczywiście – przynajmniej tym razem miał rację.

– Jest sygnał! – krzyknął, mimo że stałem tuż obok.

– Dzwon na policję – powiedziałem z biciem serca. – Niech nas stąd zabiorą!

Już wykręcał numer. Tak mocno ścisnął słuchawkę, że aż kostki mu pobielały. Wstrzymałem oddech i wbiłem wzrok w jego twarz. Gdy tylko ktoś odebrał – rozświetliła się.

– Tak... – powiedział. – Tak, dzień dobry. Tu Martin Stromberg z plantacji Storaskogen koło Norrbotten. Kilka tygodni temu dzwoniłem w sprawie przestępstwa... Nie! Proszę mnie nie przełączać, ja nie w tej... Potrzebujemy ewakuacji. Śnieg odciął nas od świata. Brakuje nam zapasów. Mieliśmy pożar, żona jest chora... Tak. Tak.

Przez chwilę milczał. Zorientowałem się, że kurczowo trzymam go za rękaw na ramieniu. Wyraz jego twarzy trochę się zmienił. Znowu

wstrzymałem oddech.

– Okej – powiedział. – Jak długo to potrwa...? Okej. Świetnie. Dziękuję. Będziemy czekać.

Odłożył słuchawkę.

– Już tu jadą, tak? – spytałem trochę spanikowany wyrazem jego twarzy. – Od razu nas ewakuują, tak?

Pokiwał głową i znów klepnął mnie po ramieniu z lekkim uśmiechem.

– Tak. Ale nadciąga kolejna burza śnieżna. Nie mogą latać w zamieci. Musimy poczekać, aż przejdzie. Mówią, że będą tu za jakieś dwa, góra trzy dni.

Zwisłem jak marionetka, której ktoś poucinał sznurki.

– Aż trzy dni?

– Przeżyjemy. – Ojciec wrócił do swojego zwykłego nastawienia „spoko-spoko”. – To przecież nie tak długo.

– W porządku. Przeżyjemy, o ile nie będziemy wychodzić z domu.

Ojciec westchnął, ale wciąż się uśmiechał.

– Dobra. Nie będziemy wychodzić. A teraz chodź, znajdziemy apteczkę i nowy pokój dla ciebie. Martwię się o twoją rękę.

Wybraliśmy pokój sąsiadujący z ich sypialnią. Był mały i miał niewiele mebli, ale pasowało mi to. Ojciec wyjął kilka dodatkowych koców z narożnej szafki i rozścielił je na łóżku. Potem usiadłem, a ojciec otworzył apteczkę i znalazł w niej maść na oparzenia i bandaż. Mówiąc szczerze, ręka nie bolała mnie aż tak bardzo. Ucierpiała mniej, niż na to wyglądało. Ale i tak było mi miło, że ojciec się o mnie troszczy. Miałem dziwne poczucie, że zaczynamy od nowa. Za trzy dni, może mniej, miało nas tam już nie być. Rodzice przyjechali tam ze mną po to, żeby zacząć nowe życie, ale być może to właśnie powrót do naszego dawnego życia miał być prawdziwym nowym początkiem.

– Tato. – Wziąłem głęboki wdech i zawahałem się, ale wiedziałem, że jeżeli teraz nie zadam tego pytania, to druga okazja może się nie nadarzyć.

– Co do mamy... Ta jej choroba... zaczęła się, zanim tu przyjechaliśmy,

prawda? Wtedy miała się lepiej, ale jednak coś jej dolegało, prawda? Co jej jest?

Ojciec westchnął. Przez chwilę milczał, dokończył wiązać bandaż na mojej ręce, a potem usiadł na łóżku obok mnie.

– Mieliśmy ci powiedzieć – odezwał się – ale jakoś nie było odpowiedniej chwili.

Poczułem, że robi mi się niedobrze.

– Powiedzieć co?

– Spodziewaliśmy się drugiego dziecka – odpowiedział, składając dłonie. – Ty pojawiłeś się, kiedy byliśmy bardzo młodzi. Uznaliśmy, że to będzie dobry moment, żeby powiększyć rodzinę, zanim zrobimy się za starzy, żeby móc wychować drugie dziecko. Ale w tym roku mama poroniła. Lekarze sądzą, że nie będzie mogła mieć więcej dzieci.

Akurat tego absolutnie się nie spodziewałem. Mrugnąłem zaskoczony, bo poczułem napływające do oczu łzy. W uszach mi szumiało.

– Oboje byliśmy zdruzgotani, ale mama... obwiniała siebie. Myślała, że to dlatego, że zbyt dużo pracuje. Powtarzałem jej ciągle, że to bzdura, że to absolutnie nie jest jej wina i że nikt nie może nic poradzić na taki stan rzeczy. Ale to nie pomagało. Zaczęła do kogoś chodzić – to znaczy do lekarza – ale on przepisał jej antydepresanty, a sam wiesz, co mama sądzi o lekach.

Owszem. Kręciła nosem nawet na środki przeciwbólowe.

Ojciec splótł palce.

– Powiedziała, że potrzebuje zmiany. To ona znalazła ten dom w Internecie i zakochała się w myśli o tym, żeby tu przyjechać. Mnie się to nie uśmiechało, nie byłem przekonany, czy wyprowadzka tak daleko od wszystkiego, co znamy, to dobry pomysł, ale ta myśl wydawała się ją uszczęśliwiać, więc się zgodziłem. Myślałem, że jakoś nam się tutaj poukłada.

Kiwnąłem głową. Tak, to było do niego podobne.

– Mogłem się domyślić... – ciągnął. – Powinienem był wiedzieć, że

izolacja jej zaszkodzi, a nie pomoże.

– To nie twoja wina – powiedziałem. – Przecież na początku mama miała się dobrze, prawda? Dopiero po wypadku Alisy...

– O to też obwinia siebie. Jakby nagle stała się odpowiedzialna za te wszystkie dzieci. – Ojciec ściągnął brwi. – A teraz bez przerwy mówi o jakimś chłopcu. Wspominała o nim jeszcze przed wypadkiem. Mówiła mi, że widziała go na poddaszu, ale Dorotea powiedziała jej, że ma bujną wyobraźnię. Mama przestraszyła się, że Dorotea ma rację i że zaczyna mieć zwidy.

– Byłem przy tej rozmowie – powiedziałem. – Ta ropucha była dla niej wstrętna. – Ściągnąłem brwi i zastanowiłem się przez chwilę. Czy to możliwe, żeby mama naprawdę coś tam widziała? Przecież byłem pewien, że varulvy nie mogą wejść do domu.

– Tak czy inaczej – ojciec westchnął ciężko – przeprowadzka okazała się katastrofą w każdym sensie tego słowa. Dokładnie tak, jak pamiętam, że mówiłeś, zanim wyjechaliśmy ze Sztokholmu.

– Przepraszam, tato – powiedziałem. – Może nie byłbym takim niezdolnym gnojkiem, gdybym zwracał większą uwagę na mamę...

Położył mi dłoń na ramieniu.

– Przestań. W ten sposób można oszaleć. Gdybanie nikomu nie pomoże. Ważne jest to, co będzie potem. Więc tak: wszyscy troje wrócimy do Sztokholmu i obaj zrobimy, co w naszej mocy, żeby pomóc mamie wyzdrowieć. Zgoda?

Uśmiechnąłem się.

– Jasne. Zgoda.

Ojciec wstał.

– Spróbuj złapać trochę snu. Gdybyś nas potrzebował, to jesteśmy w pokoju obok.

Powiedzieliśmy sobie dobranoc. Siedziałem jeszcze jakiś czas po jego wyjściu. Dotarło do mnie, że przez cały ten czas byłem strasznym samolubem. „Ale – powiedziałem sobie – wszystko się zmieni”. Za trzy

dni, cokolwiek wydarzy się wcześniej, wydostaniemy się stąd i wrócimy do Sztokholmu. A ja stanę się lepszym człowiekiem.

Już miałem się położyć w moim nowym łóżku, kiedy przypomniałem sobie o zdjęciach i o roczniku. Zostały w poprzednim pokoju i nagle przyszło mi na myśl, że nie powinienem ich tam zostawiać. Adrenalina zdążyła już opaść i czułem się kompletnie wycieńczony, ale przynajmniej już się nie bałem. Lada chwila ma nas stąd zabrać policja. Gdyby teraz coś nam się stało, to niechybnie by się o tym dowiedzieli, więc nawet Dorotea nie mogła być na tyle świrnięta, żeby wywinać kolejny numer. „Jesteśmy bezpieczni”, pomyślałem. „Jeśli tylko przez następne trzy dni zostaniemy w domu, będziemy bezpieczni”.

Szybko pozbierałem rozsypane na podłodze zdjęcia. Było wśród nich również to, które miałem za zaginione. Powiew zdmuchnął je na podłogę pod łóżkiem. Włożyłem wszystkie zdjęcia do rocznika. Zabrałem też moją komórkę. Staralem się nie patrzeć na wielką czarną łatę zwęglonej tapety na ścianie. W pokoju nadal śmierdziało spalenizną, a unoszący się w powietrzu gryzący posmak dławik, wdzierając się do nosa i głębiej, do gardła. Odwracałem się właśnie do wyjścia, kiedy w starym, pełnym skaz lustrze dostrzegłem swoje odbicie. Zastygłem. Odbijałem się pod złym kątem. Moje odbicie było pochylone w innym kierunku niż zwykle.

Podszedłem do lustra. Za nim, po prawej stronie, zobaczyłem szczelinę. Wcześniej myślałem, że lustro jest przymocowane płasko do ściany, a teraz okazało się, że jeden bok odstaje. Został odsunięty. Zrozumiałem dlaczego. To wcale nie było lustro, tylko drzwi. Po drugiej stronie miały zawiasy, osadzone tak blisko ściany, że trzeba było przyjrzeć się z bliska, żeby w ogóle je zobaczyć, a ja nigdy tego nie zrobiłem.

Wsunąłem palce w szczelinę i pociągnąłem za krawędź. Lustrzane drzwi odchyliły się cicho, odsłaniając wąski korytarz prowadzący w smolistą czerń.

Przejście dla służby. Podobne musiały być w całym domu. Łączyły różne pokoje i biegły za ścianami głównych korytarzy. To wyjaśniało, jak Dorotea zniknęła w jednym miejscu i pojawiała się w zupełnie innym.

Ciekawe, gdzie była w tej chwili? Może czaiła się w ciemności, świdrując mnie tymi swoimi wodnistymi ślepiami? Na tę myśl ciarki przeszły mi po plecach, więc szybko zamknąłem lustro, odcinając się od ciemności. Ale teraz przynajmniej wiedziałem, jak tu weszła, żeby wzniecić pożar. Wycofując się do przejścia za lustrem, musiała upuścić ogarek świeczki, którym się posłużyła. Może spłoszyłem ją, kiedy się obudziłem? Tak czy inaczej, postanowiłem, że rano pokażę moje znalezisko ojcu, może to go przekona, że miałem rację co do Dorotei. Razem zwiedzimy sobie ten korytarz. Nie tylko ten! Zwiedzimy je wszystkie. Znajdziemy każdy tajemny zakamarek i wszystkie kryjówki tej starej wiedźmy.

Spróbowałem sobie przypomnieć, czy jakiś mebel w pokoju rodziców mógł kryć podobne drzwi, ale chyba raczej nie. Ojciec wywalił stamtąd większość gratów, na pewno nie zostawił lustra. A więc na razie byli bezpieczni. A jednak postanowiłem, że się nie położę. Zamiast spać, będę pilnować ich drzwi, tak na wszelki wypadek. (To była część tego planu, według którego miałem się stać lepszym człowiekiem.)

Gdy wychodziłem ze spalonego pokoju, coś usłyszałem. Odgłos był cichuteńki. Najlżejszy z możliwych szmer kroku. Mógłby go wydać duży pająk skradający się po kartce papieru. Zbliżał się do mnie, centymetr po centymetrze. Pomyślałem, że to Dorotea, bo odgłos przypominał jej szurający chód. Wcisnąłem telefon to kieszeni i rozpląszczyłem się na ścianie. Żołądek mi stęzał, wypełniając się niepokojem. Zauważyłem zbliżające się światło. Było blade, wątle i migotliwie. Kładło się na ścianach, odkrywając nierówności i przetarcia tapety, których wcześniej nie widziałem. Nagle cały dom wydał mi się jedną wielką trumną, w której wszyscy mieliśmy zgnić i rozpaść się w bezkresnych ciemnościach.

Szuranie zbliżało się coraz bardziej, to słyszalne, to zupełnie bezgłośnie.

Światło dotarło do końca korytarza.

To nie była Dorotea.

Żółty poblask świecy wydobył z ciemności małego chłopca. Zamarłem, nie oddychając nawet, ale on nie spojrzał w moją stronę. Minął koniec

korytarza, idąc od strony sypialni moich rodziców. Patrzył wprost przed siebie. Nie miał butów, szedł ostrożnie na palcach, starając się nie wydać żadnego odgłosu. Opanował tę sztukę prawie do perfekcji.

Serce łomotało mi w piersi boleśnie. Chłopiec nie mógł być varulvem. A więc kim był? Duchem? Ale czy duchy potrzebują oświetlać sobie drogę świeczką? I odkąd to duchy muszą się skradać, żeby nie narobić hałasu?

„Brzytwa Ockhama”, usłyszałem w myśli głos ojca. To jedno z jego ulubionych powiedzonek. „Najprostsze wyjaśnienie jest zwykle prawdziwe”.

Skoro więc chłopak nie był varulvem ani duchem, to czym jeszcze mógł być?

Kiedy zniknął mi z oczu, odłożyłem rocznik na jeden z niskich stolików i zacząłem ślizgać się w skarpetkach w stronę końca korytarza. Sprzedam wam darmową radę: jeśli chcecie poruszać się bezgłośnie po wypolerowanej na wysoki połysk drewnianej podłodze, to nie idźcie po niej normalnym krokiem, boso ani w butach. Włóżcie skarpetki i ślizgajcie się, jakbyście się odpychali, jadąc na deskorolce. Koniec rady. Ma się ten łeb na karku, nie? Brawo ja.

Chłopak opuścił już korytarz, ale wciąż jeszcze widziałem bladożółty poblask jego świecy. Wszedł do pokoju, do którego mama włamała się tej nocy, kiedy widziałem za oknem varulvy. Stałem na końcu korytarza, czekając, aż chłopak wyjdzie z pokoju, ale nie wyszedł. A jednak wątle migotanie świecy nie zniknęło. Ciekawe, co mógł tam robić, przecież w tym pokoju niczego nie było? Czyżby siedział na podłodze i czytał sobie encyklopedię? I wtedy światło nagle zniknęło. Zalała mnie absolutna ciemność.

W popłochu wyciągnąłem telefon z kieszeni. Słabą bladożółtą poświatę zastąpiła błękitna.

„Chrzanić to”, powiedziałem sobie, pokonałem korytarz i wszedłem do pokoju.

Chłopak zniknął. Wystawiłem głowę na korytarz i rozejrzałem się

w obie strony, ale przecież nie było opcji, żeby wyszedł z pokoju niezauważony.

Stałem tak, główkując. W domu panowała absolutna cisza.

A jednak nie.

Dosłyszałem kroki. Ich odgłos był naprawdę bardzo cichy, ale kiedy już złowiłem je uchem, nie miałem wątpliwości, że to były właśnie kroki. Jeszcze raz podszedłem do drzwi i wyjrzałem na korytarz, ale nikogo tam nie było. Wróciłem do pokoju, stanąłem przy ścianie obok małego łóżka i przyłożyłem do niej ucho. Kroki dobiegały zza niej, ale było je słychać coraz słabiej.

Zajrzałem pod pusty regał na książki i pod szafę. Odsunąłem nogą dywan, a nuż kryła się pod nim kłapa w podłodze? Nic pod nim nie było. Zastygłem na chwilę. Gdzie jeszcze miałem szukać? Za łóżkiem? Ale ono zasłaniało ścianę do wysokości jednego metra i nie było za nim śladu drzwi.

Ale i tak ukląknęłam i zajrzałam pod nie. Jak brzmi ten cytat z Sherlocka Holmesa, który tak uwielbia ojciec? „Gdy odrzucisz to, co niemożliwe [w oryginale ten cytat podany jest z błędem (the possible), być może celowo?], wszystko pozostałe, choćby najbardziej nieprawdopodobne, musi być prawdą”. I rzeczywiście. W ścianie za łóżkiem osadzone były małe drzwi. Można było wczołgać się pod łóżko, otworzyć je i wpełznąć do ukrytego korytarza, ale ten pomysł niezbyt mi się uśmiechał, więc wstałem i szarpnąłem za ramę łóżka. Odsunęło się od ściany.

Ukląknęłam i podważyłam krawędź drzwi. Otworzyły się cicho i bez oporu – ewidentnie były niedawno otwierane.

Dało się tam wejść tylko na czworakach, głową do przodu. Przyświecając sobie trzymanym w ręku telefonem, ruszyłem naprzód i przecisnąłem się przez wąski otwór. Obiłem sobie głowę przy tym i otarłem ramiona. Na szczęście zaraz za ścianą dało się już normalnie stanąć. Kiedy tylko się wyprostowałem, zobaczyłem przed sobą schody. Prowadziły w dół.

Pomyślałem, że powinienem wrócić i wyciągnąć ojca z łóżka, ale po



chwili zrezygnowałem z tego pomysłu. To fakt, że się bałem, ale przecież sam byłem w stanie poradzić sobie z jednym małym dzieciakiem. W końcu nie był złym duchem, prawda? Po raz pierwszy od przyjazdu do Storaskogen poczułem, że panuję nad sytuacją, więc podjąłem wyzwanie. Ruszyłem w dół po schodach, tak jakby wszystko w tej sytuacji było absolutnie normalne.

Wiem, że nie było. Nie macie mnie chyba za kompletnego głąba?

Znalazłem chłopaka u stóp schodów. Klęczał na wielkiej stercie starych koców. Spiętrzył je nierówno, tak, że powstało coś na kształt wielkiego ptasiego gniazda. Klęczał w samym jego środku. Świeczkę odstawił na starą drewnianą skrzynię obok góry koców. Wpatrywał się we mnie oczami tak wielkimi z przerażenia, że wydawały się zajmować większość jego twarzy.

Na dwie sekundy zatrzymałem się na przedostatnim stopniu. Nie wiedziałem, co mam dalej robić, ale dwóch rzeczy byłem absolutnie pewien. Po pierwsze, chłopak mieszkał w ścianach tego domu od dawna, a po drugie, zrobiło mi się go żal. Tak szczerze, głęboko i rozpaczliwie, bo niezależnie od tego, kim był i co tam robił, wyglądało na to, że jest mu z tym cholernie źle.

Włożyłem telefon do kieszeni i zrobiłem dwa kroki w głąb korytarza. Wąskie drzwi z prawej strony dostrzegłem dopiero, kiedy je minąłem. Gdybym był bardziej rozgarnięty, to miałbym je na oku.

– Cześć. – W tej głuchoj ciszy mój głos zabrzmiał dziwnie. – Nie ma się czego bać. Przyszedłem się tylko przywitać. Okej?

Patrzył przeze mnie, a w jego oczach zabłysło nowe przerażenie. Poczulem zimny powiew za plecami, a kiedy się odwracałem, coś śmignęło w moją stronę, przecinając powietrze ze świstem. Nie wiem, co to było, ale okazało się twarde. Przekonałem się o tym, kiedy gruchnęło mnie w czaszkę i pozbawiło przytomności.

Las obserwuje.  
My też patrzymy.

„Musimy mieć ich wszystkich”,  
ryczą drzewa.  
„Mają dług.  
Muszą go spłacić do końca.  
Muszą go spłacić teraz”.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Nie mam pojęcia, jak długo byłem nieprzytomny. Świadomość wracała mi powoli, w rozbłyskach bólu, ciemności i zimna, które zdawało się sięgać głębiej niż do kości.

Zanim jeszcze pojawiła się przytomność, dotarł do mnie ten fetor. Duszący, brutalny smród, który wdzierał się do nosa i do ust. Był gęsty i przerażająco prawdziwy. Otworzyłem oczy, ale wokół panowała ciemność. Bez grama światła. I to nie taka, że wystarczyło poczekać, aż oczy przywykną do mroku. Nie. Otaczała mnie całkowita, nieprzenikniona czerń.

Wyobrażacie sobie, jakie to uczucie? Rzadko się je miewa. Tak ciemno nie bywa nawet w środku nocy. Choćby dlatego, że są gwiazdy. Nie oświetlą drogi, ale przynajmniej je widać. Żeby doświadczyć prawdziwej ciemności, trzeba się zamknąć w piwnicy bez żadnych okien i lamp, bez latarki ani telefonu. Uwierzcie mi – to jest przerażające.

Oprzytomniałem i spróbowałem wstać, ale nie udało mi się całkiem wyprostować. Głowa spoczywała mi na lewym barku, który opierał się o coś twardego. Miałem wrażenie, że wepchnięto mnie do kredensu. Takiego wilgotnego, zimnego i śmierdzącego jakby ślimakami, tyle że znacznie, znacznie gorzej.

Podniosłem głowę. W polu widzenia zamajaczyło mi światło iskrzące się elektryczną tęczą. Poczulem smak krwi w ustach. Cały byłem obity i posiniaczony.

Wpadłem w panikę, bo nie mogłem poruszyć ramionami.

Zorientowałem się, że są związane w nadgarstkach. Spróbowałem przyciągnąć je do siebie, w nadziei, że je rozdzielę. Ale cienka linka była mocna. Udało mi się tylko otrzeć nadgarstki i wywołać piekielną falę bólu w poparzonej dłoni. Krzyknąłem, przepychając głos przez suche, bolące gardło, ale miałem wrażenie, że krzyczę w poduszkę, którą ktoś przyciska mi do twarzy. Krzyk zamierał, gdy tylko opuścił moje usta. Spróbowałem się obrócić, ale czując pod stopami coś ostrego i nierównego, przestraszyłem się, że jeśli zrobię krok w niewłaściwym kierunku, mogę spaść w przepaść. To, co miałem pod nogami, też było śliskie. Poruszając się, słyszałem wilgotne mlaskanie. Każdy mój ruch wyzwał podmuch zgniłych, wstrętnych oparów. Chciało mi się wymiotować, ale się powstrzymałem.

„Przestań panikować”, rozkazałem sobie w myślach. „Uspokój się. Policz do dziesięciu i przestań panikować!”

Nic z tego. Nie jestem typem, który łatwo poddaje się rozkazom, choćby i własnym. A jednak nie przestawałem się wić, wiercić i wrzeszczeć aż do ochrypnięcia. Przy którymś szarpnięciu ramionami straciłem równowagę. Poleciałem do przodu i rąbnąłem w coś głową. A więc miałem przed sobą jeszcze jedną ścianę.

To uderzenie mnie zamroczyło.

Wzdrygnąłem się cały, jakby ktoś mną potrząsnął i znów się ocknąłem, półwisząc bezwładnie, oparty zgiętymi kolanami o ścianę, bo przestrzeń wokół mnie była tak wąska, że powstrzymała upadek na podłogę, więc nadal byłem mniej więcej w pionie. Gardło wciąż jeszcze bolało mnie od krzyków, które niedawno skuteczniałem, a więc straciłem przytomność na krótko. Z wysiłkiem stanąłem na nogach i spróbowałem opanować panikę, zanim całkiem mną zawładnie. W tym celu podjąłem próbę oceny sytuacji.

Jestem w pułapce.

Mam ranę na głowie.

Jest zupełnie ciemno.

Mam związane ręce.

Zimno mi.

To podsumowanie niespecjalnie pomogło w walce z paniką.

Z początku nie wydawało mi się, że zdołam coś poradzić na którykolwiek z powyższych punktów, ale wtedy przypomniałem sobie o telefonie. Zanim odezwałem się do chłopca, schowałem go do kieszeni. Gdybym miał ręce związane za plecami, to by był kompletny kanał, ale nie były związane z tyłu, tylko z przodu. Dostrzegłem iskierkę nadziei. Sięgnąłem do kieszeni, modląc się, żeby telefon tam był. I tak! poczułem jego kształt.

Spróbowałem rozplątać palce przynajmniej na tyle, żeby jakoś wyłuskać telefon. Nie było to łatwe, między innymi dlatego, że trząsałem się jak galareta, a poparzona ręka bolała cholernie. A jednak, centymetr po centymetrze, komórka wysuwała się z kieszeni, aż wreszcie...

...wyśliznęła mi się z palców.

Zakląłem i spróbowałem ją złapać, ale byłem zbyt wolny. Poczułem jak odbija mi się od kolana i pomyślałem, że przepadła na zawsze, ale wtedy uderzyła mnie w łydkę i zawisła. Słuchawki! Komórka była owinięta kablem, ale same słuchawki nadal tkwiły w kieszeni. Złapałem telefon i wyjąłem wtyczkę z gniazda. Wymacałem na telefonie przycisk „On” i udało mi się wpisać PIN, chociaż nadal trząsałem się jak osika.

Brak sygnału. Oczywiście.

Z trudnością przełknąłem ślinę. Przynajmniej miałem odrobinę światła. Na początek dobre i to. Może teraz uda mi się znaleźć wyjście z tej dziury. Odsunąłem telefon od twarzy i mrugając, zaczekałem, aż powidok ekranu się rozmyje. A potem się rozejrzałem.

Pierwsza rzecz, którą zobaczyłem, była biała. To znaczy nie całkiem – była w większości biała, ale miejscami oblepiały ją szare grudki i splątane kępki czegoś, co mój skołatany mózg wziął za wełnę.

Ale się mylił. To były włosy. Obok mnie stał szkielet. Czubek jego czaszki znajdował się na wysokości mojej brody.

Tak właśnie odkryłem, co się stało z Erikiem.

Zacząłem krzyczeć.

Przyznam szczerze, że darłem się dość długo. Nie, żeby się to na coś zdało. Kula mojego wrzasku unosiła się w powietrzu przede mną. Chyba ponownie zemdlałem, bo nie pamiętam, kiedy przestałem krzyczeć. Odzyskałem przytomność z głową przy ścianie po lewej stronie. Osunąłem się na kolana tak nisko, jak tylko pozwalała na to ograniczona przestrzeń pułapki, czyli na szczęście niezbyt nisko, bo wtedy klęczałbym w szkielecie Erika.

W sekundzie, w której przypomniałem sobie, z czym dzielę tę studnię, fala paniki wezbrała we mnie jak tsunami. Panika to poważna sprawa. Jak ciężarówka z kapustą, która pędzi w twoją stronę, kiedy przechodzisz na czerwonym. Jeśli w ciebie przypieprzy, to rozwali cię na milion kawałków. Spróbowałem opanować nerwy. Odwróciłem się w stronę przeciwnej ściany, żeby nie zobaczyć gnijącego trupa i ponownie zaświeciłem telefon.

Nie wiem, gdzie się znajdowałem, ale było tam wąsko. Ściana, na którą patrzyłem – kamienna, nie drewniana – była niewiele szersza od moich barków, gdybym mógł podnieść niezależnie obie ręce, to nie musiałbym nawet prostować ich w łokciach, żeby dotknąć ścian. Byłem trochę otumaniony, ale doszedłem do wniosku, że ściana przede mną może mieć około metra szerokości, a z tego, co zdążyłem zobaczyć, zanim dopadła mnie panika, pozostałe trzy były do niej podobne.

Podniosłem telefon i w ślad za bladą poświatą spojrzałem w górę. Ściany pięły się wysoko nad moją głową. A więc to był jakiś wąski komin. Przez chwilę pomyślałem, że może to jest tunel, tylko zmysły mnie oszukują i wcale nie stoję, a leżę na boku. Spróbowałem się podczołgać i zaraz zrobiło mi się głupio, bo grawitacja rozwiała wszelkie wątpliwości. Dół miałem pod nogami, a górę wręcz przeciwnie. Zorientowałem się też, że „tunel” nie jest prosty. Wznosił się pod małym kątem. Zdaje się, że na samej górze, co najmniej pięć metrów nade mną, była kłapa.

Zsyp! Znajdowałem się w jakimś zsypie. To chyba dobrze, no nie? Bo

zsyppy prowadzą z jednego miejsca do drugiego. A więc musiało tu być inne wyjście.

Sęk w tym, że aby je odnaleźć, trzeba się rozejrzeć. I to porządnie. Nie wystarczyło oklepać ścianę przede mną. Musiałem przyjrzeć się temu, co było za mną i pode mną. A to znaczy, że musiałem spojrzeć na trupa. Musiałem spojrzeć na Erika.

Oparłem czoło o ścianę. „Dobra”, powiedziałem sobie. „To tylko trup, nic strasznego. Zbierz się i działaj”.

Przekonanie się do tego zajęło mi jakiś czas. Wyłączyłem telefon i przez dobrą chwilę stałem w ciszy i ciemności, starając się udawać, że w całej tej sytuacji nie ma absolutnie nic obłąkanego. Trzeba tylko wziąć się w garść, przetrząsnąć gnijące zwłoki ofiary morderstwa i wydostać się z tej dość niekorzystnej sytuacji, żeby nie stać się następnym trofeum seryjnego mordercy. Spoko wodza, normalka. Przechodzimy dalej, proszę wycieczki. Dziękujemy, do widzenia, wracajcie do domu.

Dom. Pomyślałem o naszym domu w Sztokholmie. O moim dawnym, nudnym jak flaki z olejem, życiu. W tamtej chwili ponad wszystko w całym wszechświecie zapragnąłem znów chodzić do szkoły i codziennie robić absolutnie to samo.

„Jeśli się stąd wydostanę”, obiecałem sobie, „to już nigdy, przenigdy nie popełnię takiego błędu”.

Tak, tak, wiem. Ostatnie słowa bywają nadęte. Ale nie idźmy w tę stronę, okej?

Ponownie włączyłem podświetlenie telefonu, zwarłem poślady i odwróciłem się.

Erik gapił się na mnie z całą siłą swojej odrażającej martwoty. Na *modus operandi* przyjęty przez Doroteę wskazywało pokaźne wgniecenie w czaszce, wokół którego po żółtobiałym sklepieniu kości rozchodziła się piórkowata siateczka pęknięć. Na głowie trzymały się jeszcze ochłapy skóry z kosmykami blond włosów. Dłuższych niż na zdjęciach.

Ubranie wisiało na Eriku w strzępach. Nie odniosłem wcześniej

wrażenia, że był niski, ale teraz, mimo że „staliśmy” naprzeciwko siebie, Erik sięgał mi zaledwie do brody. Potem spojrzałem w dół i zobaczyłem dlaczego. Ciało załamywało się na wysokości kolan. Jego stopy i kostki były zagrzebane pod spiętrzoną wokół Erika stertą kamieni. Skalny gruz pokryty był oślizłą mazią.

Ta maź to też był Erik.

Wydaje mi się, że po dokonaniu tego odkrycia też jakiś czas krzyczałem. I to nie tyle z powodu mazi – choć przyznacie, że włącząc w gnijącą zupę krem z człowieka, każdy ma prawo sobie pokrzyczeć – ale raczej z powodu kamieni. Bo jeśli nawet na dnie szybu było jakieś wyjście, to ta hałda kamulców totalnie je blokowała. Nawet gdybym nie miał związanych rąk i nawet gdybym jakoś zniósł babranie się w potrawce z Erika, to gdzie miałbym je odłożyć? W tej dziurze prawie nie było miejsca, żeby się ruszyć. Nie było miejsca, w które mógłbym odłożyć kamulce na inną stertę.

Kiedy więc następny buldożer paniki zmiażdżył mi płuca, rozwałkował mnie na naleśnik i odjechał w ciemność, ponownie przyjrzałem się kłapie w suficie.

Spróbowałem wspiąć się na ścianę. Wyobraźcie sobie przez chwilę: ja w scenie ucieczki ze studni. Pięć metrów to żadna wysokość, nie? Otóż nawet gdyby wystarczyło wspiąć się tylko o metr, to i tak było to zadanie niewykonalne. W każdym razie dla mnie. Za diabła nie mogłem oswobodzić dłoni, więc pozostawała mi wspinaczka z użyciem jednej ręki, ale sprawa miała się o tyle gorzej, że dłonie miałem związane wewnątrz do siebie, więc nie było opcji, żebym zdołał ucześcić się czegokolwiek choćby jedną z nich. W końcu postanowiłem spróbować numeru z filmu, gdzie Jackie Chan opiera się plecami o jedną ścianę, kładzie nogi na ścianie przeciwległej i „idzie” w górę, klinując się coraz wyżej i wyżej. W tym celu musiałem schować telefon w kieszeni, co już samo w sobie było wyczynem. I znów byłem tylko ja i totalna czerń. I gnijący radośnie Trup Erik cichociemny.

Technika Jackiego Chana sprawdzała się przez jakieś pięć minut. Albo



też – jeżeli wolicie spojrzeć na sprawę w innym wymiarze czasoprzestrzeni – na odcinku pięciu centymetrów. Wtedy dotarły do mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, że sprawnością fizyczną niewiele przewyższam kolegę spod celi, a po drugie, że Jackie zapewne miał pod kostiumem jakiś ochraniacz, dzięki któremu mur nie ścierał mu pleców na tatar. Tymczasem mnie T-shirt chronił przed ścianą mniej więcej tak dobrze, jak wosk chroni ser przed tarką. Te kamienie były naprawdę cholernie szorstkie. Próbowałem to jakoś znieść. Zacisnąłem zęby, zaparłem się stopami płasko o ścianę i zacząłem napierać.

I zjechałem w dół. Nogi ugięły się, jakby ktoś kopnął mnie pod kolanami i, zahaczając w locie o szkielet, runąłem na dno. Wysoko nie miałem, ale na dnie szybu były tylko kamulce i kawałki Erika. Rąbnąłem kością ogonową o kamień tak mocno, że aż mnie skręciło. Na skraju pola widzenia zobaczyłem gwiazdy. Były jasne jak supernowe, tyle że wcale ich nie było.

Ponowne wstanie na nogi zajęło mi jakieś dziesięć minut. Bolało mnie absolutnie wszystko.

Wydłubałem telefon z kieszeni. Kiedy wcisnąłem przycisk, pojawił się komunikat „Pozostało 20% baterii”.

I chyba wtedy pozwoliłem sobie na łzy.

## Rozdział trzydziesty

Ciemność jest dziwaczna. Kiedy człowiek spędzi w niej trochę czasu, zaczyna mu się wydawać, że widzi różne rzeczy. Ja też zacząłem widzieć obrazy, jakby tęcze, ale trochę podobne do gwiazd. Pojawiły się po upadku na kamienie. Wzorki, które musiały być wytworem mojego mózgu: zygzaki, kropki i fale. Jeden z takich zestawów ułożył się w kształt drzewa, właśnie takiego, jakie widziałem za oknem mojego pokoju tego ranka, kiedy zaczął padać śnieg: biały obrys na czarnym tle.

Przeszedł mnie dreszcz. „Te cholerne jodły nawet tutaj są w stanie mnie dopaść”, pomyślałem.

Spróbowałem wziąć się w garść. Stojąc na coraz bardziej zmęczonych nogach, z coraz mocniej ciążącą głową, starałem się rozkminić, gdzie jestem. Z pewnością blisko domu. To na pewno Dorotea przywaliła mi w łeb, a sama, czy nawet z pomocą chłopaka, nie zdołałaby przenieść mnie daleko.

Ciekawe, dlaczego nie zostawiła mnie w tamtym ukrytym korytarzu? Mogli zablokować wejścia i już nikt nigdy by mnie nie zobaczył. Pewnie dlatego, że tam ściany były za cienkie. Zacząlbym się drzeć i rodzice by mnie usłyszeli. A nawet gdybym tam umarł, to zapach...

O tak, dobrze wiedziałem, jaki to by był zapach. Chociaż z czasem wrażenie odrobinę osłabło. Ciężki odór ślimaków i gnijącego ciała zszedł na dalszy plan. Podobnie jak ciemność, stracił na ważności.

Z początku wyłączałem telefon po to, żeby bateria wystarczyła na dłużej. A potem dotarło do mnie, że to nie ma żadnego znaczenia. Zresztą i tak przywykłem już do ciemności.

No, prawie przywykłem.

Pokrzyczałem sobie jeszcze i powrzeszczałem. Poryczałem się. A potem powtórzyłem wszystko od nowa. I znowu. I jeszcze raz.

Nikt mnie nie usłyszał. Nikt się nie pojawił.

W końcu straciłem orientację jak długo tkwię w tej norze. Kiedy po raz pierwszy włączyłem komórkę, nie pomyślałem, żeby sprawdzić godzinę, a teraz telefon padł już prawie na amen. Wydusiłem z baterii jeszcze sekundę światła, żeby po raz ostatni rozejrzeć się po moim więzieniu. Tak na wszelki wypadek.

Ostatnią rzeczą, którą zobaczyłem, zanim bateria zdechła, były wpatrzone we mnie oczodoły gnijącej, kościstej twarzy Erika.

Stałem tak, czekając na śmierć.

Nie wiem, ile czasu minęło, zanim pojawiło się światło. Jego migotliwe, niebiesko-białe promienie zaglądały do zsypu. Były tak ostre, że aż kłuło w oczy. Za nimi wdarł się jednostajny ryk, rozrywając ciszę wokół mnie jak trzęsienie ziemi. Zacisnąłem powieki, bo światło mnie oślepiało, ale nie mogłem zakryć uszu, żeby odciąć się od hałasu. A on trwał i trwał, i nie chciał się skończyć. Spadał na mnie z góry, wyciskając resztki powietrza z płuc.

Myślałem, że nie żyję, a to, co się dzieje jest następnym etapem, przez który wszyscy muszą przejść. Może dokładnie to samo przytrafiło się Erikowi?

I wtedy coś oparło się na moim ramieniu. Było lekkie i odepchnęło mnie od ściany. Zanim zdążyłem zaryć twarzą w Eriku, ten twardy przedmiot z góry złapał mnie pod pachą, szarpnął i, wpijając mi się w łopatkę, pociągnął mnie w górę po ścianie.

Hałas stał się lodowaty. Uderzył mnie w twarz tysiącami szpilek. Na sekundę światło osłabło, odsuwając się na bok. Zmrużyłem oczy i zobaczyłem w górze dwie czarne postacie w białym obrysie kwadratowego włazu. Znałem te sylwetki – linię ich barków, kształt głów i krzyczące usta, których nie słyszałem w nawałnicy dźwięku.

Mama i tata.

Ukłucia zimna okazały się być płatkami śniegu. Znowu szalała wściekła śnieżycą. Z wyciem łomotała mnie po uszach. Przez chwilę wydawało mi się, że wyciągnięto mnie na prawdziwy świat z butelki, ale ten prawdziwy świat właśnie rozpadał się wokół nas na kawałki.

Musiałem na chwilę zemdleć, bo pamiętam dopiero, jak się ocknąłem, leżąc na plecach w śniegu. Mama i tata pochylali się nade mną. I miałem swobodne ręce.

– Erik! – próbowałem przekrzyczeć ryk nawałnicy. – Tam jest Erik...

Nie słyszeli mnie. Wiatr porywał słowa z moich ust i rzucał je w śnieżycę. Ojciec mówił coś do mnie, ale ja jego też nie słyszałem. Dopiero teraz zobaczyłem, że jest bez kurtki, co w taką pogodę było naprawdę głupie. A potem zdałem sobie sprawę, że oddał ją mnie.

Pomogli mi wstać, ale nie byłem w stanie utrzymać się na nogach, więc każde z nich założyło sobie po jednym z moich ramion na barki. I wtedy zobaczyłem tego chłopca. Stał tuż przede mną, okutany w jeden z płaszców mamy. Chciałem spytać, czy oni też go widzą, ale wkrótce okazał się, że nie ma takiej potrzeby. Potykając się, chłopak wszedł do domu, który znajdował się wprost przed nami.

W porównaniu do nawałnicy, która wypluła nas do domu, jego wnętrze było absolutnie ciche. Słyszałem, że wiatr szarpie się na zewnątrz, jakby usiłował wedrzeć się do domu, ale też szumiało mi w uszach. Był to ten szum, który słyszy się w totalnej ciszy. Drzwi, przez które weszliśmy, prowadziły do spiżarni, z której wchodziło się do kuchni. Widziałem wszystko przez świetlistą mgłę. Posadzili mnie na jednym z foteli przy kominku obok stolika z serwisem do herbaty. Kiedy się zorientowałem, gdzie jestem – a mianowicie w bujanym fotelu Dorotei – wstąpił we mnie duch walki i postanowiłem wstać, więc znaleźli dla mnie inne krzesło. Kiedy teraz o tym myślę, to wydaje mi się, że wszystko działo się w milczeniu, ale przecież to niemożliwe, prawda? Na pewno cały czas coś mówili. Prawdopodobnie ja też gadałem, ale pamiętam tylko szum. I światło, boleśnie kłujące w oczy. Górna lampa prawie mnie oślepiła, więc ojciec wyłączył ją i zamiast tego zapalił świecę. To przywiodło mi na

myśl chłopca. Odwróciłem się, żeby zobaczyć, czy jest z nami. Chciałem zapytać, dlaczego tu jest, dlaczego teraz już wszyscy możemy go zobaczyć, gdzie się podziewał i jak to możliwe, że wciąż jeszcze żyje, ale nie pamiętam, żebym zadał któreś z tych pytań na głos. Prawdopodobnie wybełkotałem coś bez sensu. Mama siedziała obok w kucki i uspokajająco głaskała mnie po nogach i ramionach. Tata usiłował obejrzeć moją głowę. W którymś momencie uniósł moją twarz dłonią i spojrzał mi w oczy, a sekundę później przyciągnął mnie do siebie w uścisku. Wciąż czułem ręce mamy na moich nogach – przytulała mnie tam, gdzie było miejsce, bo resztę zawłaszczył ojciec. Chciałem jej powiedzieć, że się cieszę, że wreszcie wstała z łóżka. I że lepiej wygląda, choć to nie była prawda, ale najważniejsze, że tu była. Nie odpłynęła do Nibylandii tak jak wtedy, kiedy próbowałem z nią rozmawiać ostatnim razem. Była z nami. Ze mną.

Stopniowo zacząłem odzyskiwać słuch. Dźwięki powoli zastępowały szum. Słyszałem już pomruk głosów. Mówili do mnie. Słowa stawały się coraz głośniejsze. Usłyszałem, jak ktoś gwałtownie łapie oddech i po kilku minutach zorientowałem się, że to ja.

– Już dobrze – mówili jedno przez drugie. – Już wszystko dobrze. Jesteśmy przy tobie. Jesteś bezpieczny. Jesteś bezpieczny.

Ach, jak dobrze było usłyszeć ich słowa. Zęby nadal mi dzwoniły, więc ojciec, mimo że wciąż miałem na sobie jego kurtkę, owinął mnie jeszcze kocem. Mama włożyła mi coś do rąk. Okazało się, że to kubek gorącej kawy. Picie jak picie, ale to, że mogłem ogrzać nią ręce, było genialne. Nareszcie wszechogarniająca mgła zaczęła ustępować.

– Już dobrze. – Znów usłyszałem głos taty. – Jesteś bezpieczny.

– Jesteśmy przy tobie – dodała mama.

Próbowałem coś powiedzieć, ale szczeka mi się trzęsła. Byłem ogromnie zmęczony, ale w głowie kłębiło mi się zbyt wiele ważnych pytań. O Erika. O Dorotę. I o chłopca.

Był z nami. Stał za ojcem i gapił się na mnie tymi swoimi wielkimi oczami osadzonymi w chudej buźce. Zamrugalem powiekami,

zastanawiając się, czy zniknie, czy może zmieni się w wilka, jeżeli nie przestanę się w niego wpatrywać, ale nic takiego się nie stało. I wtedy przypomniałem sobie, że on istnieje naprawdę. Przypomniałem sobie, że zszedłem za nim po schodach tym sekretnym korytarzem. Przypomniałem sobie jego gniazdo-legowisko z koców w sekretnym pomieszczeniu między ścianami.

– Kim jesteś? – To były pierwsze słowa, które zdołałem z siebie wydusić. – Jak masz na immm... – Przerwałem, bo szczeka znów wpadła mi w dygot i zamknęła się z kłapnięciem.

– Wszystkiego się dowiesz – odpowiedział ojciec. – Ale teraz musisz się rozgrzać. Bogu dzięki nie doznałeś wstrząśnienia mózgu. W każdym razie tak mi się wydaje. A nawet jeśli, to łagodnego. Fakt, że porządnie oberwałeś, ale nie masz trwałego urazu, jesteś tylko w szoku.

Nie słuchałem go. Wpatrywałem się w chłopaka, a on gapił się na mnie.

– Ale on naprawdę istnieje – powiedziałem. – Kim on jest? Co on tutaj robi? I jak...

Mama pochyliła się nade mną i objęła mnie w ciasnym uścisku.

– Ćśś. Wszyscy mamy mnóstwo pytań. Ale one mogą poczekać, aż lepiej się poczujesz.

Przeniosłem wzrok na nią. Mimo wszystkiego, co się wokół działo, tylko jedno pytanie wydało mi się istotne.

– Jesteś już zdrowa? – zapytałem.

Wiem, że to było głupie pytanie. Wiem, że takie choroby nie znikają z dnia na dzień jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ale jednak mama była z nami i rozmawiała ze mną. Uśmiechnęła się wcześniej kilka razy i ten uśmiech wyglądał na prawdziwy. To musiało coś znaczyć, prawda?

Mama znowu się uśmiechnęła.

– Nie bardzo. Ale być może pewnego dnia wyzdrowieję.

Jesteśmy drzewami.

Jesteśmy śniegiem.

Jesteśmy zimą.

Nie wybaczymy.

Nigdy.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

Ten chłopiec to był Ols, syn Erika. Nie wiem, dlaczego od razu się nie pokapowałem. Teraz wydaje mi się to absolutnie oczywiste.

Ocknąłem się na sofie w salonie, a mama siedziała obok i mnie przytulała. Musiałem zasnąć w kuchni. Mama powiedziała, że ojciec mnie tu przeniósł.

– Dorotea zabiła mu tatę, a jego uwięziła. Nieszczęsny chłopaczyna – powiedziała mama. – Tak go sterroryzowała, że biedak wciąż prawie wcale się nie odzywa. Nie ma pojęcia, dlaczego to zrobiła. W ogóle nic nie rozumiem.

Ala ja rozumiałem. Na swój popieprzony sposób ten cały obrazek bardzo dobrze trzymał się kupy. Polaroidy, ostatnia notatka Erika. W mojej obolałej głowie wszystko zaczęło układać się w równie spójną, co popierniczoną całość.

Plan Dorotei, według którego Erik miał zostać wydany varulvom za masakrę drzew, wziął w łeb. Co gorsza, Erik odkrył ten plan, a w każdym razie jego część. Sprzedał plantację i szykował się do wyjazdu w siną dal, więc Dorotea go zaciukała. Ale wciąż potrzebowała ofiary, żeby przebłagać las. I dlatego uwięziła Olsa.

Nasza obecność musiała jej skomplikować sprawę, bo bez przerwy wsadzaliśmy nos w nieswoje sprawy. Odkrywaliśmy sekrety, które nigdy nie miały wyjść na jaw. Widzieliśmy rzeczy, które nie były przeznaczone dla naszych oczu.

Wpadłem w dygot. Skórę miałem ciepłą, ale w środku poczułem chłód.



Przyśniła mi się martwa twarz Erika. Zdałem sobie sprawę, że gdybyśmy się stąd wynieśli przed pierwszym śniegiem razem z Tomaszem i jego dziećmi, to prawdopodobnie Dorotea już dawno złożyłaby Olsa w ofierze. Ale zobaczyliśmy go wcześniej.

– Wtedy na poddaszu to był Ols, prawda? – odezwałem się. – To właśnie jego tam widziałś.

Mama pokiwała głową.

– Tak. Kiedy dał się zobaczyć, Dorotea była na niego taka wściekła, że wygnała go na cały dzień do lasu. Biedak był przerażony, że pożrą go wilki. Wtedy byłam już w takim stanie, że zaczęłam sama wątpić w to, co widzę. W końcu wmówiłam sobie, że go nie widziałam, że mam halucynacje. A ona ciągle przychodziła i gadała do mnie, szeptała. Przez nią czułam się coraz gorzej...

Zatrzymałem się myślą przy „wygnała go do lasu”. To miało sens. Bo przecież tego pierwszego dnia w lesie właśnie jego tam widziałem, no nie? A więc Dorotea spróbowała wydać go varulvom, ale one z jakiegoś powodu go nie tknęły. Może jeszcze wtedy tu nie dotarły? Śnieg zaczął już padać, ale było go jeszcze bardzo niewiele. Albo może musiała znaleźć jakiś sposób, żeby dać znać varulvom, że ofiara jest gotowa?

Czyżby ta dziwaczna, przejmująca pieśń miała z tym coś wspólnego? Czy to Dorotea ją intonowała? Czy właśnie taka była jej funkcja: żeby wezwać varulvy do naszego domu?

– Gdzie jest tata? – spytałem. – A Dorotea? Ona jest naprawdę niebezpieczna...

Mama objęła mnie ramieniem, przycisnęła do siebie i pocałowała w głowę. Chociaż starała, być delikatna, to i tak zabolalo. Ale nie powiedziałem jej o tym.

– Nic się nie martw – powiedziała. – Tata zamknął ją w jednym z pokojów na piętrze. W tych okolicznościach wydawało się to rozsądne.

Chciałem zerwać się z kanapy, ale ramiona i nogi ciążyły mi, jakby były zrobione z ołowiu. – Musicie sprawdzić, czy nie ma tam ukrytych

drzwi! – wyrzuciłem z siebie resztką tchu. – W całym domu są ukryte korytarze dla służby, i...

Mama łagodnie usadziła mnie z powrotem na kanapie.

– Spokojnie. Tata wszystko sprawdził. Dorotea się nie wydestanie, bez pomocy jej się to nie uda.

Kolejna fala zmęczenia pchnęła mnie na oparcie.

– Okej.

Zamknąłem oczy, ale pod powiekami wciąż majaczył mi obraz czaszki Erika, więc ponownie je otworzyłem. Wtedy pojawił się ojciec z tacą pełną parujących kubków. A za nim, jak cień, wpłynął Ols.

– Aha! – wykrzyknął ojciec radośnie. – Obudziłeś się! Łykniesz czegoś gorącego? Udało mi się jakoś ogarnąć kuchnię. To istna matnia...

Siedząc sobie i popijając gorącą czekoladę, jak gdyby wszystko było w najlepszym porządku, straciłem poczucie rzeczywistości. Nie umiałem pogodzić tej sielanki ze wszystkimi horrorami, które wydarzyły się, odkąd przyjechaliśmy do Storaskogen. Podobne uczucie ma się w pierwszym słonecznym tygodniu po długiej zimie – kiedy nagle przestaje się w ogóle pamiętać, że przed chwilą było inaczej. Ma się wtedy pewność, że lato będzie trwać wiecznie.

Ale przecież wszystkie te rzeczy się wydarzyły. Co do jednej. Tak czy nie?

– Jak mnie znaleźliście? – zapytałem, mocno ściskając kubek w dłoniach, żeby wchłonąć jego ciepło. – Krzyczałem w nieskończoność. Usłyszeliście mnie w końcu?

– Nie – powiedział ojciec. – To dzięki Olsowi i mamie.

Spróbowałem coś sobie przypomnieć, ale pamiętałem tylko, że odezwałem się do Olsa w sekretnym przejściu, a potem już nic.

– Co to była za dziura? Chyba jakiś... zsyp, tak?

– Zgadza się – odpowiedział ojciec. – Stary zsyp na opał. Prowadzi do piwnicy. Dorotea nie musiała nieść cię daleko. Wydaje nam się, że wtaszczyła cię na stary wózek kuchenny i wywozła przez spiżarnię na

zewnątrz, tylnymi drzwiami. Kłapa jest zaraz obok.

– Zapewne tak samo „poradziła sobie” z... – mama zmitygowała się i popatrzyła na Olsa – ...wcześniej. Ale tym razem Ols wszystko widział. Był bardzo dzielny. Przyszedł do mnie po pomoc. Właśnie tak było, prawda, kochanie?

Ols gapił się na nią w ciszy znad swojego kubka.

Mama widywała go, odkąd tu przyjechaliśmy, ale w tym mrocznym, nieszczęsnym klimacie domu na końcu świata była przekonana, że traci zmysły i stacza się w obłąd. Uznała, że mały chłopiec blakający się po korytarzach jest wytworem nasilającego się szaleństwa. Ale mimo to postanowiła go nie ignorować. Próbowwała z nim rozmawiać. A im więcej do niego mówiła, tym częściej on się pojawiał, wpędzając ją w jeszcze gorsze samopoczucie.

Cieszę się, że moja mama należy do ludzi, którzy nie pozwolą na to, żeby inni, czyli się przy nich odrzuceni, nawet jeśli ci inni są duchami. A cieszę się głównie dlatego, że gdyby zignorowała „ducha”, gdyby zamknęła oczy i odwróciła się w nadziei, że on zniknie, a ona o nim zapomni – to prawdopodobnie ja też bym już nie żył. Tkwiłbym na dnie kamiennego zsypu, gnijąc ramię w ramię z Erikiem.

– To znaczy tak naprawdę Ols nic mi nie powiedział – odezwała się mama. – Jak zwykle pojawił się przy łóżku w zupełnej ciszy, ale tym razem wyciągnął rękę i złapał mnie za rękaw. Byłam w takim szoku, że głowa mała. Wcześniej cały czas myślałam, że jest zjawą ze światła i cieni wypełniających moją głowę, ale kiedy wreszcie mnie dotknął, to okazał, tak samo prawdziwy jak ty i ja.

Szarpał mamę za rękaw i coś pokazywał. Mama obudziła ojca, który na widok obcego chłopca w ich sypialni też zupełnie zbaraniał. Ta reakcja była dla mamy dowodem, że chłopiec nie jest halucynacją. Razem zeszli za nim na parter. Na zewnątrz ryczała kolejna śnieżna nawałnica. Ols poprowadził ich przez kuchnię prosto do drzwi wyjściowych, a stamtąd na dwór, w zadymkę, do ledwie widocznej kłapy w ziemi znajdującej się jakiś metr od tylnej ściany domu.

Zaprowadził ich do mnie.

– Co powiedziała policja? – spytałem. – Bo dzwoniście po policję, prawda? Żeby zgłosić... to, co znalazłem? I to, co mi się przytrafiło.

Ojciec zerknął na mamę, a ona ścisnęła mnie za ramię.

– Próbowaliśmy, – powiedział – ale telefon milczy. Pamiętasz, że zapowiadali burzę śnieżną? Musiała zerwać linię. Takiej nawałnicy jeszcze tu nie było.

Ojciec nie przesadzał. Dobrze słyszałem wycie, zawodzenie i ryk nawałnicy próbującej wtargnąć do domu. Poruszyłem się niespokojnie.

– Ale nic się nie bój – dodał ojciec. – Wiemy, że są w drodze. Kiedy tylko przejdzie ten front pogodowy, to się tu zjawią i wtedy wszystko im opowiemy. Poza tym mam myśl – ciągnął ojciec. – Kiedy poczujesz się lepiej, powinienesz spisać wszystko, co pamiętasz. Co tylko przyjdzie ci do głowy, nawet jeżeli nie wydaje się istotne. Policja i tak będzie cię o to wypytywać. Jeżeli wszystko zapiszesz, to nie będziesz musiał im tego w kółko powtarzać.

Pomyślałem, że to bardzo dobry pomysł.

## Rozdział trzydziesty drugi

To będzie ostatnia rzecz, którą napiszę o tych wydarzeniach. Przed dwoma dniami wyciągnęli mnie ze zsypu, a śnieżycą nareszcie wydaje się mieć ku końcowi. Już jutro powinna tu być policja. Każdą wolną chwilę poświęciłem na pisanie. Wykorzystałem zeszyt Erika, ten, w którym znalazłem zdjęcia. Byłoby szkoda, gdyby się zmarnował. Głowa nadal boli mnie w miejscu, w które trafiła mnie Dorotea, a umysł pośpiesznie podsuwa mi wspomnienia ze szczegółami. Przynajmniej nikt mi nie zarzuci, że coś zataiłem, no nie? Przelałem na papier absolutnie wszystko, nawet te kawałki, przez które wyglądam na kompletnego czubka. A więc cokolwiek będzie się odtąd działo, leży po stronie policji. A my niedługo wrócimy do Sztokholmu. Będziemy bezpieczni, setki kilometrów stąd.

Siedzę na łóżku i wyglądam przez okno. W tej chwili drzewa stoją nieruchomo, pokryte grubą poduchą śniegu, który spadł zeszłej nocy. Nie przerażają mnie już tak bardzo. Myślę, że spisując te wspomnienia, zdołałem zrobić sobie porządek w głowie. Już wiem, że to wszystko były przywidzenia. Nigdy nie było żadnych varulvów. Nie widziałem też dziewczynki, która jest wilkiem. Prawdziwe były tylko drzewa, śnieg i świrięta staruszka. To z ich powodu zapadłem w szalony sen na jawie. Przynajmniej będę miał co opowiadać Poppy i Larsowi, kiedy już wrócę do Sztokholmu.

W pokoju obok słyszę głos mamy. Czyta Olsowi bajkę na dobranoc, ale wiem, że ta noc nie będzie dla niego zbyt dobra. Biedak słabo sypia, bo ma koszmary. Ciągle mu się śni, że wilki przychodzą go porwać. Dorotea powtarzała mu to bez przerwy i teraz Ols nie umie przestać w to wierzyć. Biedny dzieciak. Mówię mu, że nawet jeśli wilki tu przychodzą – jeżeli w ogóle tam są – to nic mu nie będzie. Musimy po prostu przeczekać

w domu, bo varulvy nie mogą wejść do środka.

A on na to, że jego tata też tak myślał, ale się mylił. Niespecjalnie mogę mu powiedzieć, że jego ojca nie wykończyły varulvy, tylko Dorotea. To wszystko jej sprawka. To ona zabiła deskami drzwi do piwnicy. Nie chciała, żeby ktokolwiek tam wchodził właśnie ze względu na Erika. Za wewnętrznymi drzwiami, które też zabiła deskami, jest korytarz prowadzący do piwniczki pod kuchnią i do zsypu, gdzie gnije Erik. Fetor był tak potworny, że stara nie mogła ryzykować, żeby ktoś zszedł do piwnicy i zaczął tam węszyć.

Biedny Erik. Gdyby zdecydował się na wyjazd kilka dni wcześniej...

Dorotea jest nadal zamknięta. Ojciec próbował z nią rozmawiać – weź tu mu i zaufaj! – ale stara milczy. A raczej śpiewa – a więc to zdecydowanie ona wydawała z siebie tę dziwną pieśń. Zawodzenie rozchodzi się po domu jak dym, ale nie możemy nic na to poradzić. Musielibyśmy staruchę zakneblować. Sugerowałem, żeby to zrobić, ale rodzice się nie zgodzili.

W głębi lasu faktycznie mieszkają wilki. Myślę, że jest ich tam całkiem sporo. Słyszałem, jak wyją. Wiem, że grasują między drzewami, ale zbyt dobrze kryją się wśród drzew, żeby dało się je zobaczyć. Wydaje mi się, że w jednej sprawie Tomas miał rację: one naprawdę boją się nas bardziej niż my ich.

Ciągle myślę o tych wszystkich ludziach, których Erik uznał za zaginionych. Ciekawe, co się z nimi stało? Czy ktoś z nich naprawdę zaginął? A może po prostu stwierdzili, że nie są stworzeni, żeby żyć w tym miejscu, i wyjechali? Spytam o to policję, kiedy już przyjedzie. Nie wiem, co mi powiedzą, ale sądzę, żeby zdołali wydusić prawdę z Dorotei. Ona jest jak jedno z tych starych drzew: żyje w świecie, który stracił kontakt ze światem ludzi. Ciekawe, czy w ogóle kiedyś go miał? Stara mieszka tu całe życie. Podobnie jak ciemność, śnieg i izolacja potrafią narobić w głowie niezłego bigosu. Myślę, że było tak: pewnego razu plantacja zaczęła podupadać, a zakochana w swoim panu gospodyni zaprowadziła dziecko do lasu. Kiedy sytuacja się poprawiła, dziewczyna

pomyślała, że to dzięki złożonej przez nią ofierze i tak wpakowała się we własną pułapkę, po prostu musiała robić to nadal.

Poniekąd myślę, że byłoby nawet fajnie, gdyby te mity i legendy okazały się prawdą. Oczywiście nie w tej potwornej wersji, którą wyznaje Dorotea, ale kiedy pomyśleć, że może istnieje sposób, żeby chronić lasy, taki, o którym większość z nas nie ma bladego pojęcia... To byłoby całkiem niezłe, prawda? Przecież ktoś musi stanąć po ich stronie. W przeciwnym razie wyginą, zostaną zapomniane i nikt nie zatroszczy się o nie, zanim będzie za późno.

Niewykluczone, że duchy lasu rzeczywiście istnieją. Może, kiedy my wszyscy już dawno będziemy gryźć piach, one zostaną tutaj i do końca świata będą swobodnie przemierzać bezkresne, poryte śniegiem lasy?

Być może. Niech tylko trzymają się z dala od tego domu, a wszyscy wyjedziemy z tego cało.

Las nie zapomina.

Las nie wybacza.

To nie jest koniec.

To dopiero początek.

Odbierzemy swój dług.



# Załącznik I

Piątek, 28 października 2016

godz. 14.44

Do: Bengtsonn.R@northernstarnewspapers.com

Od: S.Norling@polisen.s

Załączam pisemną relację i materiały, o których rozmawialiśmy przez telefon w zeszłym tygodniu. Proszę wybaczyć opóźnienie, ale zlokalizowanie dokumentów zajęło dłużej, niż oczekiwałem, ponieważ po zamknięciu pierwszego śledztwa wszystkie materiały związane z tą sprawą trafiły do „działu spraw nierozwiązanych”, a wszystkie akta „spraw nierozwiązanych” są po pięciu latach przenoszone do archiwum zewnętrznego. Proszę również wybaczyć, że przesyłam PDF. Cyfrowa wersja oryginału została co prawda sporządzona, ale się zapodziała. Załączony plik PDF zawiera skany zachowanego notesu, w którym spisano relację i który do dzisiaj, przechowywany wraz z obszernymi materiałami związanymi ze sprawą. Notes zachował się prawie w całości, z wyjątkiem okładki i pierwszej strony, które najwyraźniej w którymś momencie zaginęły.

Jak się pan przekona, relacja jest dość długa i momentami dziwna. Napisano ją z perspektywy bardzo osobistej. Tym niemniej, stanowi ona zdecydowanie najlepsze wprowadzenie do wydarzeń poprzedzających przyjazd policji do posiadłości, a mających miejsce w roku, kiedy ją spisywano. Niestety nie zawiera ona prawie żadnych wskazówek odnośnie do wydarzeń, które nastąpiły później.

Załączam także skan rocznika, o którym mowa w relacji.

Mimo iż śledztwo przeprowadzono z całą rzetelnością, sprawa pozostaje nierozwiązana.

Mam nadzieję, że te informacje pomogą panu w badaniach nad historią zaginięć w Storaskogen.

Z poważaniem,  
Sira Norling  
Zastępca Szefa Biura  
Policja w Pitei

# Załącznik II

Funkcjonariuszka Marje Theorin, wydział policji w Pitei

Raport z interwencji

28 listopada 2007

Rankiem 26 listopada 2007 wraz z trzema innymi funkcjonariuszami przybyliśmy do domu na plantacji Storaskogen. Jej właściciel, Martin Stromberg, skontaktował się z policją rankiem 23 listopada 2007, żeby poprosić o ewakuację w związku z wcześniejszym nadejściem zimy, zaistniałym w domu pożarem i chorobą żony. Został poinformowany, że nasze przybycie opóźni się ze względu na zapowiadaną dla tamtej okolicy burzę śnieżną.

Ponieważ w dniu przyjęcia tego zgłoszenia miałam służbę, przed wyjazdem na interwencję detektyw nadkomisarz Claesson poprosił mnie o sprawdzenie informacji o obojgu państwie Strombergach i o plantacji. Odnalazłam raport o przyjęciu do szpitala w Pitei Alisy Svarssen, dziewczynki, która została ranna podczas kursu stacjonarnego w Soraskogen we wrześniu 2007 r., niedługo po przybyciu na miejsce rodziny Strombergów. Znalazłam również raport policyjny, według którego na początku października 2007 Martin Stromeberg złożył doniesienie na nauczyciela prowadzącego ten kurs, w którym oskarża go o zniszczenie mienia.

Rankiem 26 listopada nadkomisarz Claesson polecił mi zatelefonować do Storaskogen w celu powiadomienia Strombergów o naszym wyjeździe i spodziewanym czasie dotarcia na miejsce. Pomimo wielu prób nie udało mi się skontaktować z nikim w domu. W tym czasie wzrósł stopień ostrzeżenia pogodowego dla tamtej okolicy – zapowiedziano gwałtowne śnieżyce. Biorąc to pod uwagę, nadkomisarz Claesson ocenił, że zdążymy ewakuować rodzinę, zanim front burzowy nadpłynie do Storaskogen.

Gdy dotarliśmy na miejsce, stwierdziliśmy, że drzwi wejściowe są otwarte.

Mimo tego oraz pomimo hałasu lądującego śmigłowca nikt nie wyszedł nam na spotkanie.

Zbliżyliśmy się do domu i stwierdziliśmy, że drzwi musiały być otwarte od dłuższego czasu, ponieważ wiatr naniósł do wnętrza znaczną ilość śniegu.

Weszliśmy do środka, nawołując mieszkańców, ale nikt się nie pojawił.

Dom był zupełnie wyziębiony. W żadnym z palenisk nie palił się ogień. nadkomisarz zarządził wstępne przeszukanie w obiekcie, które przeprowadziłam wraz z moim partnerem, funkcjonariuszem Segerssonem. Czynność ta zajęła około dziewięćdziesięciu minut. Nie znaleźliśmy nikogo w domu.

Nie stwierdziliśmy śladów walki ani przemocy, ale w jednym z pokoi odkryliśmy pozostałości pożaru. Załączone zdjęcie wskazuje, że ugaszono go kocami, które nadal leżały w miejscu, z którego rozprzestrzenił się ogień. W tym pokoju odkryliśmy również pierwszy z wielu ukrytych korytarzy dla służby. By go zamaskować, wejście do niego umieszczono za ściennym lustrem, które zastaliśmy otwarte. Te korytarze również przeszukaliśmy, ale nie znaleźliśmy ani rodziny, ani gospodyni.

Po przeszukaniu domu rozpoczęliśmy przeszukanie przyległego terenu. Jedyne znalezione ślady wydawały się należeć do psa (zdjęcia w załączniku), ale nie można wykluczyć, że padający śnieg przykrył ślady ludzkie.

Należący do rodziny właścicieli samochód był wciąż na miejscu.

Przeszukaliśmy budynki gospodarcze. W żadnym z nich nie znaleźliśmy oznak obecności ludzi, chociaż w jednym z budynków odkryliśmy zniszczenia, w związku z którymi Martin Stromberg złożył swoje pierwsze doniesienie.

Za domem, w pobliżu tylnych drzwi prowadzących do kuchni, zlokalizowaliśmy szyb wyglądający na stary, nieużywany już zsyp, przez który zwalano do piwnicy drewno opałowe. Najwyraźniej pokrywę niedawno otwierano i zamykano, ponieważ nie zacinała się. Po zdjęciu pokrywy wraz z funkcjonariuszem Segersonem odkryliśmy na dnie zsypu szczątki ludzkie w stanie zaawansowanego rozkładu.

Po dokonaniu tego odkrycia nadkomisarz Claesson zarządził ponowne przeszukanie domu. Tym razem odkryliśmy, że piwnica, do której prowadzi szyb, była wcześniej zabita deskami, podobnie jak pomieszczenie na dnie zsypu (zdjęcia w załączniku). W czasie drugiego przeszukania znalazłam również zeszyt z relacją i dawny rocznik. Innych śladów obecności rodziny Strombergów ani ich gospodyni nie znaleźliśmy.

Ponieważ czas interwencji był ograniczony w związku z nadchodzącym

frontem burzowym, nadkomisarz Claesson zarządził powrót do Pitei. Dochodzenie w pełnym zakresie miało zostać wznowione, kiedy tylko pozwoli na to pogoda. Przez odlotem nadkomisarz polecił nam zrobić jak najwięcej zdjęć obiektu.

Z miejsca interwencji zabraliśmy ze sobą przedmioty, które uznaliśmy za potencjalnie istotne dla śledztwa. Między innymi był wśród nich znaleziony przeze mnie dokument oraz zbiór fotografii.

## Załącznik III

Varulv (rzecz.)

Legendarna zjawia, właściwa dla tradycji ludowych północnej Skandynawii.

*Według pradawnych podań ludowych varulv jest leśnym duchem powstałym z połączenia człowieka i wilka. Mimo że istota owa z wyglądu przypomina wilka, to nie jest ani prawdziwym wilkiem, ani człowiekiem. Do jej powstania dochodzi w wyniku ugryzienia przez varulva, którego ofiara sama staje się varulvem. Według podań przemiana ta jest rezultatem zaniku ludzkiej tożsamości w wyniku utraty pamięci, a ta, zgodnie z pewnymi wersjami mitu, może być odzyskana wyłącznie, jeśli varulv zostanie zawołany po imieniu, które nosił jako człowiek. Jeżeli je pamięta, będzie mógł powrócić do dawnej ludzkiej postaci. W razie, gdy powrót do ludzkiej postaci nie nastąpi, istota owa będzie żyć wiecznie jako varulv, ponieważ mówi się, że są one nieśmiertelne. Wraz ze śmiercią ostatniej osoby pamiętającej ludzkie imię varulva, jego los zostaje przypieczętowany.*

*Chociaż większość istniejących ilustracji i opisów przedstawia varulvy jako istoty budzące strach, to najwyraźniej pierwotnie uważano je za opiekunów wielkich lasów północy. Źródła mitu nie są jasne, ale wydaje się, że poprzedzają one język pisany. Najwcześniejsze podania pisemne sugerują, że społeczności oddawały drzewom swoich członków jako ofiarę duchową. Dzięki niej ludy mieszkające w lasach mogły cieszyć się dostatkiem. Z szacunku dla przyrody każde pokolenie oddawało jej jedną osobę, która musiała przemienić się w varulva. Czyniono tak na znak zrozumienia, że mieszkający w tamtych stronach ludzie pozostają na łasce istot od nich starszych: a mianowicie samych drzew. W sytuacjach nadzwyczajnych, czyli w razie nadmiernego niszczenia lasów przez ludzi, konieczna była większa liczba ofiar tego rodzaju. Podaje się przykłady wzrostu populacji ludzkiej wymagającego intensywniejszego wyrębu lasu w celu pozyskania drewna na budowę domów, jak również jego dewastacji w wyniku pożaru zaprószonego ludzką ręką. W ramach przeprosin i zadośćuczynienia oddawano lasom więcej członków*

*społeczności ludzkiej – często, ale nie wyłącznie, dzieci. Uważano, że w ten sposób odzyskuje się równowagę w relacji pomiędzy lasem a mieszkającymi w jego granicach ludźmi. Ofiary te składano wyłącznie w chwili nadejścia pierwszych opadów śniegu.*

*Przypuszcza się, że pradawne legendy o varulwach były przyczynkiem do powstania współczesnych popularnych opowieści o wilkołakach.*

*Patrz również: Kulning.*

## Załącznik IV

Kulning (rzecz.)

Pradawna forma skandynawskiej muzyki wokalne, wykorzystywana przez pasterzy ze względu na zdolność do pokonywania dużych odległości.

*Śpiew kulning najczęściej wykorzystywano na wysokogórskich halach, gdzie doliny i górskie zbocza na których wypasano zwierzęta, naturalnie wzmacniają dźwięk. Używano go również w bezkresnych lasach północy, zarówno do zaganiania żywego inwentarza, jak i do komunikacji z odległymi osadami. Zgodnie z tradycją każda rodzina miała własną pieśń.*

*Według niektórych relacji śpiew kulning miał odstraszać drapieżniki. Inne źródła podają jednak wersję przeciwną, według której kulningu używano do komunikacji z duchami lasu, na przykład wtedy, kiedy społeczność była gotowa do złożenia ofiary. W tym kontekście kulning służył również do przywracania duchom lasu ich ludzkiej postaci, ponieważ odpowiadając na wezwanie, varulv wchodzi w stan pośredni między wilkiem a człowiekiem, w którym, jeżeli usłyszy swoje ludzkie imię, jest w stanie je zrozumieć.*

*Patrz również: Varulv*



# Podziękowania

W pierwszej kolejności muszę podziękować mojej wspaniałej agentce Elli Kahn za to, że uwierzyła w szkic tej książki i zachęciła mnie do jej ukończenia, a potem znalazła dla niej najlepszy z możliwych domów wydawniczych – Stripes. Dziękuję Ruth Bennett z wydawnictwa za redakcję i Paulowi Coomeyowi za zaprojektowanie uderzającej okładki. Ogromnie dziękuję Margarecie Olsson i Katarinie Arnold za poświęcenie czasu na przeczytanie książki i za ich wiedzę o lokalnej kulturze. I wreszcie – chociaż tak naprawdę powinnam wymienić go w pierwszej kolejności, bo bez jego wsparcia nie powstałaby żadna z moich książek – dziękuję mojemu mężowi Adamowi Newellowi za wycieczki badawcze i nieustające zachęcanie do pracy.